Walczyłem na barykadzie
Poruszający wywiad z bohaterem powstania '44

Eksplozje w Aleksandrii
Jak włoscy komandosi zniszczyli angielskie pancerniki

Tajemnica Batorego
Sensacyjne kulisy śmierci polskiego króla

CENA 9,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

NR 8(102)/2021 SIERPIEŃ 2021

HISTORIA

DO RZECZY
MIESIĘCZNIK LISICKIEGO

ISSN 2299-5595
DO RZECZY HISTORIA
Nr indeksu 326 031

Tajemnice III Rzeszy

CZY HITLER BYŁ NARKOMANEM

ipn.poczytaj.pl

Do poczytania
w wakacje

eprasa.pl af56fd269

ADRES: HISTORIA DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: historia@DORZECZY.PL
www.SUPERHISTORIA.PL
PROWADZĄCY: PIOTR WŁOCZYK
REDAKCJA MIESIĘCZNIKA **„HISTORIA DO RZECZY"** JEST INTEGRALNĄ CZĘŚCIĄ REDAKCJI TYGODNIKA DO RZECZY".

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPOŁEM:
Redaktorzy:
Maciej Rosalak, Tomasz Stańczyk, Piotr Włoczyk
Studio graficzne:
Wojciech Niedzielko (szef studia),
Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Włodzimierz Zakrzewski
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Marzena Dobosz**
Okładka: **Getty Images/Krzysztof Wyrzykowski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac**
z zespołem: **Antoni Trzmiel** (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej), **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Paweł Zdziarski**

WYDAWCA: Orle Pióro sp. z o.o.
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

spółka notowana na GPW
PMPG POLSKIE MEDIA SA

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY:
reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS:
(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż),

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Nowakowska, Monika Doroś
tel.: 539 953 631, 508 040 664
prenumerata@pmpg.pl
DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

ISSN 2299-9515
Nr indeksu 296031

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl.
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerem: 801 800 803 lub 22 717 59 59 – czynne w godz. 7–18.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów.
Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w miesięczniku „Historia Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w miesięczniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/.

Ze starych klisz / Warszawa, 12 marca 1936 r.

Uroczystość z okazji osiągnięcia przez pilota Kazimierza Burzyńskiego miliona kilometrów w służbie lotnictwa

FOT. NAC

Od redaktora

Piotr Zychowicz

Narkotyki na froncie

Jak zmusić człowieka do tego, żeby codziennie narażał swoje życie i odbierał życie innym? Jak przełamać w nim instynkt samozachowawczy i moralne opory? Patriotyzm? Oczywiście. Ideologiczna indoktrynacja? Owszem. Pieniądze? Czemu nie. Na wojnie wszystkie te środki mogą jednak okazać się niewystarczające. Dużo lepszym sposobem są narkotyki.

Niemieccy żołnierze podczas drugiej wojny światowej byli na haju. Dowództwo zaopatrywało ich w pervitin, czyli metaamfetaminę. Silny narkotyk, który powodował, że nie odczuwali strachu i zmęczenia. Zamieniali się w maszyny do zabijania. Będąc w stanie narkotycznego pobudzenia, żołnierze dokonywali brawurowych czynów, za które potem otrzymywali Krzyże Żelazne.

Podobne metody stosowali alianci. Narkotyzowali się brytyjscy i amerykańscy lotnicy, którzy brali udział w wielogodzinnych, nocnych lotach nad Rzeszę. Dzięki amfetaminie mogli dłużej działać na pełnych obrotach bez snu. Ich zmysły się wyostrzały, mieli lepszy refleks.

To samo dotyczy żołnierzy sił lądowych. W 1944 r., podczas lądowania w Normandii, Amerykanie brali tabletki benzedryny, jak nazywano wówczas amfetaminę. Pod koniec wojny w USA produkowano 13 mln tabletek tego specyfiku rocznie.

Z kolei Sowieci mieli prostszy sposób – przed kolejnym straceńczym natarciem każdy żołnierz Armii Czerwonej dostawał sto gramów wódki.

Gdy dziś patrzymy na sukcesy armii z okresu drugiej wojny, pamiętajmy, że wielu żołnierzy było na dopingu. W Wehrmachcie było to na porządku dziennym. Czynniki oficjalne zamykały oczy na niepożądane skutki uboczne narkotyków, które wyniszczały organizmy żołnierzy. Pervitin był prawdziwą wunderwaffe.

Przykład szedł z góry. Na szczytach władzy III Rzeszy branie narkotyków było normalnością. Herman Göring był nałogowym morfinistą. Wszystko wskazuje na to, że narkotyki znajdowały się również w „cudownych koktajlach", które podawał Adolfowi Hitlerowi jego osobisty lekarz.

To by tłumaczyło, dlaczego Hitler w ostatnim okresie trwania wojny coraz bardziej odrywał się od rzeczywistości. Popadał w stany chorobliwej euforii, które przeplatały się z okresami depresji i apatii.

Historia drugiej wojny światowej nadal skrywa wiele tajemnic. Jedną z nich jest bez wątpienia powszechne branie narkotyków. Sprawa, która przez wiele lat była tematem tabu. ©℗

eprasa.pl baf56fd269

/ TEMAT NUMERU

.06 PIOTR ZYCHOWICZ
Czy Hitler był narkomanem?

.10 NORMAN OHLER
Wunderwaffe w pigułce

.14 JAKUB OSTROMĘCKI
Akcja T4

.18 TOMASZ STAŃCZYK
Dering: oprawca czy zbawca?

/ CZASY I LUDZIE

.22 SŁAWOMIR KOPER
Uremia czy arszenik

.28 JERZY SUŁKOWSKI
Piekło przy Krasińskiego 20

.30 MIACIEJ ROSALAK
„Ziutek" z „Parasola"

.34 PIOTR ZYCHOWICZ
Pięć błędów Janusza Walusia

.38 MIKOŁAJ IWANOW
Wasilewska. Stalin w spódnicy

.42 MAREK GAŁĘZOWSKI
Męczeństwo kobiet w łagrach

.46 ARKADIUSZ KARBOWIAK
Ukraińscy esesmani

.50 PIOTR SEMKA
Kochanka Lenina

.52 RADOSŁAW GOLEC
Największy blef Hitlera

.80 TYMOTEUSZ PAWŁOWSKI
Motopompa

/ CO CZYTAĆ

.58 KRZYSZTOF MASŁOŃ
Dwie twarze Brzechwy

/ FELIETONY

.66 JACEK BARTOSIAK
Liczmy na siebie

.68 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
Kłamanie prawdą

.69 PIOTR SEMKA
Do pięć po dwunastej

.83 SŁAWOMIR CENCKIEWICZ
Wygrałem!

/ KRESY

.70 TOMASZ STAŃCZYK
Wilno i Napoleon

/ BATALIE I WODZOWIE

.74 MACIEJ ROSALAK
Żyzne pole krwawej bitwy

/ KOMIKS

.82 KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI I MACIEJ JASIŃSKI
Klucz do Moskwy

eprasa.pl baf56fd269

Historia

w naszym wydaniu -

PORUSZAJĄCA

I AUTENTYCZNA

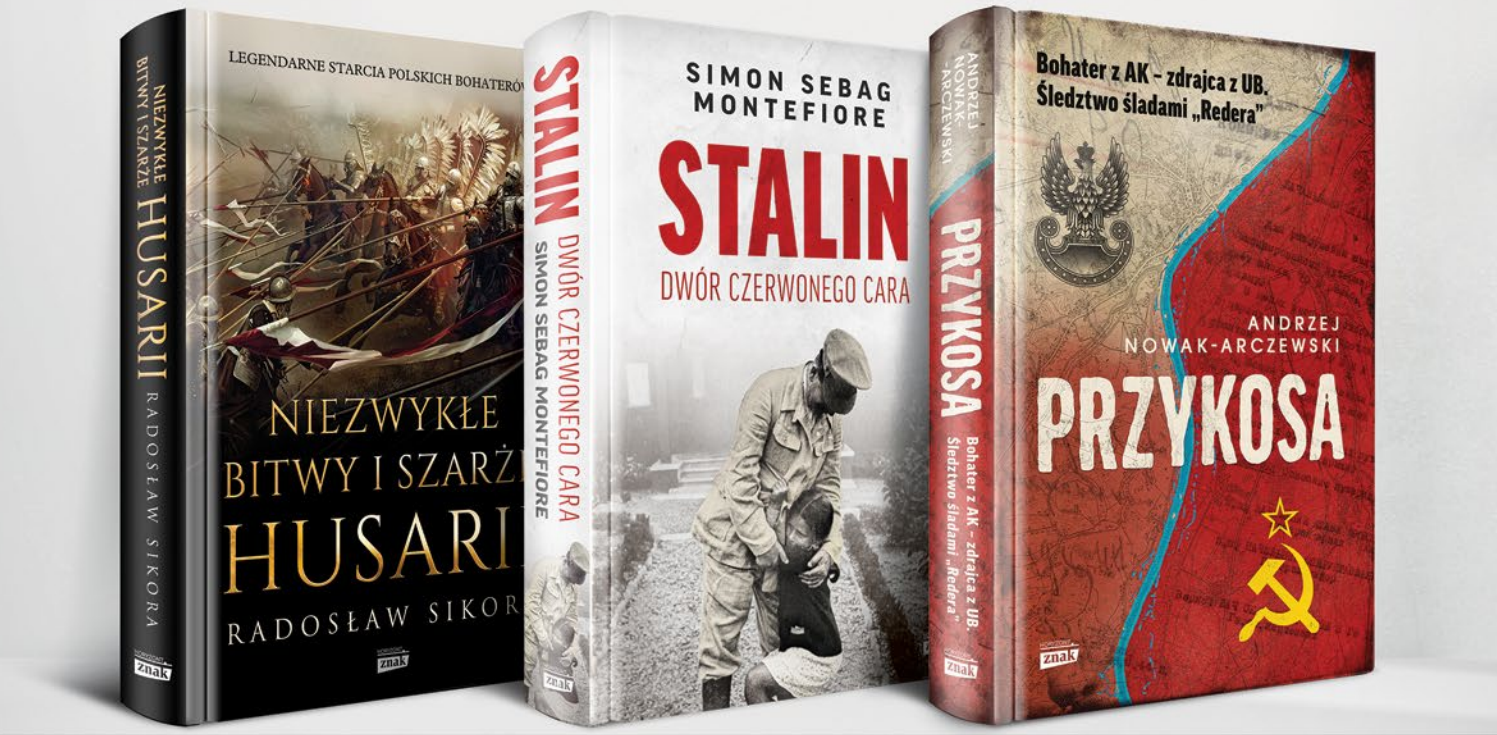

HORYZONT znak

eprasa.pl baf56fd269

Tajemnica III Rzeszy / Stan zdrowia dyktatora

Czy Hitler był narkomanem?

Piotr Zychowicz

Wódz III Rzeszy popadał w stany skrajne: od apatii do euforii. Czy osobisty lekarz Theodor Morell faszerował go amfetaminą?

Dnia 18 lipca 1943 r. Adolf Hitler był w wyjątkowo złej formie. Blady jak ściana, w nocy nie zmrużył oka. Miał nabrzmiały brzuch i potężne gazy. W ostatnim czasie wszystko, co był w stanie przełknąć, to ser i szpinak. Wódz tysiącletniej Rzeszy ledwo powłóczył nogami.

Problem w tym, że nazajutrz miał wyruszyć w podróż samolotem na spotkanie z Benitem Mussolinim. Wezwał więc do siebie osobistego lekarza Theodora Morella i poprosił go o ratunek. Morell wyciągnął z neseseru strzykawkę i zaaplikował Führerowi jeden ze swoich koktajlów.

Według zapisku w karcie „Pacjenta A" – jak Morell nazywał Hitlera – w strzykawce znajdował się eupaverin. Dodatkowo Morell miał podać Hitlerowi tabletki vitamultin. I stał się cud! Hitler błyskawicznie odzyskał siły. Przez całą podróż był niezwykle pobudzony i podniecony.

W trakcie spotkania gadał przez cały czas jak najęty, nie dając dojść do słowa speszonemu Mussoliniemu. Po zakończeniu narady Hitler był sobą zachwycony. Był również zachwycony zdolnościami swojego lekarza.

– To, że dałem radę, to pana zasługa! – powiedział po powrocie Morellowi.

Skąd ta błyskawiczna przemiana? Jak Morellowi udało się tak szybko postawić Führera na nogi? Jak wytłumaczyć tę nagłą zmianę – od apatii i wyczerpania organizmu do stanu euforii? Czy Morell rzeczywiście podał Hitlerowi tylko eupaverin? A może – jak przypuszczało otoczenie dyktatora – nafaszerował go narkotykami? Na przykład metaamfetaminą?

Te pytania rodzą kolejne: Czy Adolf Hitler kierował III Rzeszą na haju? Czy Morell regularnie aplikował mu narkotyczne zastrzyki? Czy to tłumaczy coraz bardziej wariackie i szalone decyzje, które podejmował Hitler wraz z upływem kolejnych lat wojny? Jego oderwanie od rzeczywistości i hurraoptymizm, który nie opuszczał go nawet w 1945 r.? Bajania o cudownej broni V1 i V2, która miała odmienić losy wojny, przesuwanie na mapie nieistniejących dywizji…

Na pytania te próbuje odpowiedzieć w książce „Wojna lekarzy Hitlera" Bartosz T. Wieliński. Skomplikowane relacje między Hitlerem a Morellem na-

eprasa.pl baf56fd269

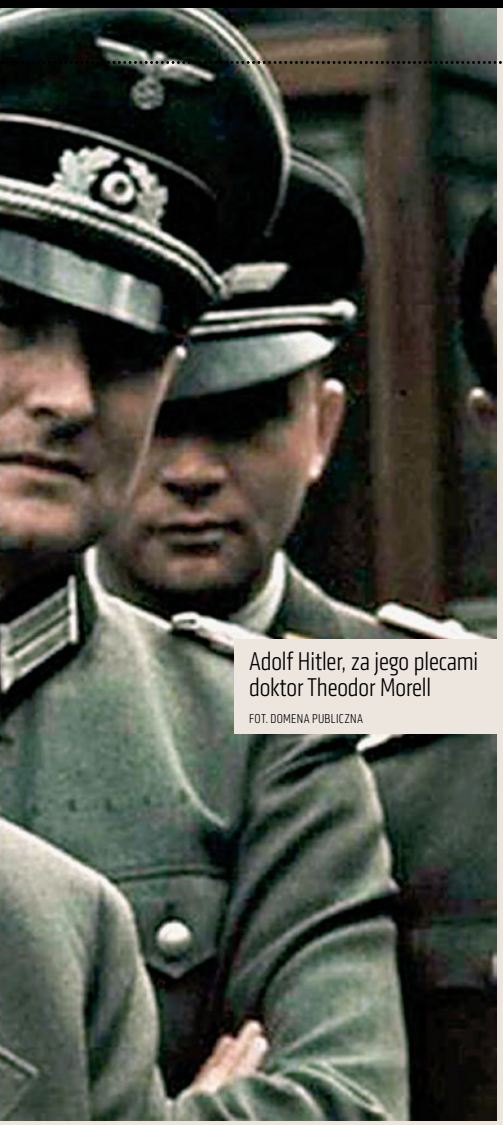

Adolf Hitler, za jego plecami doktor Theodor Morell

FOT. DOMENA PUBLICZNA

leżą do najciekawszych wątków pracy. Jaką rolę u boku Führera odgrywał ten tajemniczy lekarz? Kim tak naprawdę był Morell?

Doktor M.

Nazywano go „lekarzem z platynową igłą". Zastrzyki, które Morell wykonywał Hitlerowi, były bowiem robione przy użyciu strzykawki zakończonej igłą z tego kruszcu. W latach 40. nie było jeszcze w użyciu jednorazówek, a platyna to metal, który najlepiej znosi częste sterylizacje.

Morell urodził się w 1886 r. w Górnej Hesji. Przed pierwszą wojną światową był lekarzem okrętowym na statkach pasażerskich pływających z niemieckich portów do Nowego Jorku i Buenos Aires, a także dzisiejszego Kamerunu i Namibii. Te dwa ostatnie kraje były wtedy koloniami cesarskiej Rzeszy.

Podczas Wielkiej Wojny służył jako lekarz 83. pułku piechoty na froncie zachodnim. Oznaczono go Krzyżem Żelaznym. Po przejściu do cywila bogato się ożenił i założył prywatną praktykę w Berlinie. Jego niestandardowe metody i duża skuteczność szybko zyskały mu sławę, a co za tym idzie – zamożną klientelę.

W Berlinie był znany jako lekarz gwiazd. Jak wylicza Wieliński, do Morella przychodzili aktorzy, reżyserzy, bywalcy berlińskich salonów i arystokraci, m.in. śpiewaczka operowa Marta Eggert (żona Jana Kiepury), bokser Max Schmeling czy książę Wilhelm Hohenzollern, syn ostatniego cesarza Niemiec.

Morell wywoływał zazdrość swoich kolegów lekarzy. Wkrótce rzucono na niego podejrzenie, że jest Żydem. Aby rozwiać wątpliwości, w 1933 r. zapisał się do NSDAP. Był to wybór oportunistyczny, a nie ideowy. W swoim gabinecie nadal przyjmował żydowskich pacjentów. Jego specjalnością były choroby weneryczne i impotencja.

Wkrótce sława Morella dotarła na salony polityczne III Rzeszy. Doktor uratował życie fotografowi Hitlera – Heinrichowi Hoffmannowi. Kuracja z sulfonamidów przyniosła fenomenalny skutek. Morell znowu osiągnął sukces tam, gdzie inni lekarze bezradnie rozkładali ręce.

Wkrótce wezwał go do siebie sam Führer. Panowie spotkali się w 1936 r. w Monachium. Według oficjalnej propagandy wódz miał końskie zdrowie i nigdy na nic nie chorował. Był w końcu aryjskim „nadczłowiekiem". Dlatego Morell musiał być zdziwiony, kiedy Hitler wyznał mu, że cierpi na poważne schorzenia.

– Czy może pan sobie wyobrazić, jak krępujące jest puszczanie wiatrów podczas konferencji albo gdy się przyjmuje zagranicznych gości? – pytał.

Hitler miał bolesne zaparcia i skurcze żołądka. Nie dojadał. Z powodu napadów gazów musiał nagle przerywać ważne spotkania i pędzić do toalety.

BARTOSZ T. WIELIŃSKI
„WOJNA LEKARZY HITLERA"
AGORA

Morell zdawał sobie sprawę, że leczenie Hitlera wiąże się z ryzykiem, ale również apanażami. Pieniędzmi i sławą. Theo, jak nazywali go przyjaciele, był zaś łasy na jedno i drugie. Toteż wyraził zgodę i na początku 1937 r. został osobistym lekarzem Hitlera.

– Mein Führer – powiedział – wyleczę pana w rok.

Pacjent A

Zdrowie Adolfa Hitlera było jedną z najściślej strzeżonych tajemnic III Rzeszy. Obywatele nie mieli pojęcia, że znajduje się ono w opłakanym stanie. Hitler potajemnie leczył się sam, przyjmując ballistol. Był to… syntetyczny olej do czyszczenia luf i bagnetów, który wchodził w skład wyposażenia niemieckiej armii podczas pierwszej wojny. Hitler zaczął zjadać tę paskudną maź właśnie w okopach.

Ballistol – w mniemaniu Hitlera – miał być cudownym lekiem na wszelkie przypadłości. W rzeczywistości była to trucizna. Znajdował się w nim bowiem niezwykle szkodliwy alkohol amylowy. W 1934 r. Hitler poważnie się zatruł ballistolem. Życie uratowało mu płukanie żołądka.

Odkąd został kanclerzem, wszystkie objawy chorobowe się nasiliły. Do starych problemów z brzuchem i bezsenności doszły nowe. Szum w uszach, wysypki na nogach, które zmuszały go do bolesnego bandażowania nóg. Zapalenia spojówek, spadki wagi ciała. Paskudny polip na strunach głosowych, który trzeba było usuwać operacyjnie.

Hitler miał wtedy dwa oblicza. „Podczas publicznych wystąpień – pisze Wieliński – tryskał energią, wydawał się niezniszczalnym przywódcą, ale w ciszy gabinetu cierpiał i coraz częściej mówił współpracownikom o śmierci". Hitler miał obsesję, że – tak jak matka – zachoruje na nowotwór.

Morell, który jako jeden z pierwszych lekarzy w Niemczech zajmował się dobroczynnymi dla zdrowia bakteriami, szybko wykrył, że Hitler ma zaburzenia z florą jelitową. Był to najprawdopodobniej syndrom jelita drażliwego. Skutek ubogiej w składniki odżywcze wegetariańskiej diety, ale przede wszystkim nerwów. Pacjent A był bowiem pacjentem nadwrażliwym.

eprasa.pl baf56fd269

Dekoracja Theodora Morella Krzyżem Żelaznym

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Morell odkrył, że fizyczne schorzenia Hitlera mają charakter psychosomatyczny. Czyli były skutkiem potwornego stresu, jakiemu był poddany jako dyktator III Rzeszy. Stan zdrowia Hitlera był ściśle powiązany z jego decyzjami politycznymi. Gdy oddziały Wehrmachtu dokonały remilitaryzacji Nadrenii, Hitler potwornie się denerwował i od razu zapadł na zdrowiu.

Tak samo było podczas wojny. Gdy wojska Wehrmachtu odnosiły sukcesy – Hitler był w znakomitej formie. W 1940 r. odwiedził zdobyty Paryż i biegał po francuskiej stolicy jak młodzieniaszek. Ale gdy armia niemiecka zaczęła ponosić kolejne porażki (klęska Africa Korps, przegrane na froncie wschodnim), jego stan natychmiast się pogarszał.

Hitler był pacjentem trudnym. Nie godził się na badania rentgenowskie, odmawiał wizyt w szpitalu. Był nieufny i humorzasty. Nie chciał słyszeć o tym, by udać się na dłuższy odpoczynek. „Niemcy mnie potrzebują!". Dlatego Morell nie miał wyjścia – musiał leczyć same objawy. Robił to zaś w sposób, który u innych lekarzy Hitlera wywoływał przerażenie.

Morell aplikował Hitlerowi mutaflor, czyli wyizolowane pałeczki okrężnicy. Pierwszy probiotyk, który pojawił się na rynku. Wśród innych lekarstw Morella znalazł się progynon B, preparat zawierający żeńskie hormony płciowe – estrogeny. Pozyskiwano go z moczu klaczy.

Z kolei na bezsenność Morell podawał Hitlerowi proszki zawierające cyklobarbital. Hitler oczywiście brał ich zbyt dużo, a skutki uboczne były poważne. Środek ten bowiem silnie uzależniał pacjenta (bez niego nie można było już zasnąć), a co więcej – uszkadzał organy wewnętrzne.

Wszystko to były – pisząc delikatnie – środki dość nowatorskie. Dlatego Morell został wkrótce znienawidzony przez Karla Brandta i innych lekarzy Hitlera. Uznawali go oni za niebezpiecznego szarlatana i konowała, który podtruwa Führera. Problem w tym, że sam Hitler był zadowolony. Skutki tajemniczych zastrzyków Morella były może krótkotrwałe, ale za to zbawienne.

W dowód uznania w 1939 r. Hitler podarował swojemu osobistemu lekarzowi piękną, luksusową willę na Schwanenwerder, wyspie pod Berlinem zamieszkanej przez brunatnych dygnitarzy. Była to oczywiście willa pożydowska. Hitler nadał też Morellowi tytuł profesorski oraz wysokie odznaczenia państwowe.

Był jeszcze jeden powód, dla którego Morell nie był lubiany przez otoczenie Hitlera. Chodzi o jego sposób bycia. Otóż w wewnętrznym kręgu Hitlera panował kult zdrowia i czystości. Jego adiutanci chodzili w nienagannie wyprasowanych mundurach, dbali o siebie, uprawiali sporty. Nie palili, zdrowo się odżywiali.

Morell był tymczasem abnegatem. Zaniedbanym, schorowanym i tłustym flejtuchem. Jego operetkowy, obwieszony 28 medalami mundur ze złotym kielichem i eskulapem – jedyny taki w Rzeszy! – był zatłuszczony i rozchełstany. Morell na widok jedzenia dostawał histerii i przy stole zachowywał się jak prosię. Pożerał gigantyczne porcje, sapiąc przy tym i mlaskając z rozkoszy.

Na tłustych palcach nosił wielkie egzotyczne pierścienie. Jakby tego było mało, obficie się pocił – a jego pot wytwarzał wyjątkowo intensywny i przykry zapach. Bał się latania i gdy towarzyszył Hitlerowi w jego powietrznych eskapadach – długo i boleśnie rzygał za ostatnim rzędem foteli Ju 52. Wszystko to jednak nie zrażało Hitlera. „Nie zatrudniłem go ze względu na jego zapach" – mówił. A do samego Morella zwracał się pieszczotliwie: „Doktoreczku…".

Wilczy Szaniec

Im dłużej trwała wojna, tym trudniejsze zadania piętrzyły się przed Morellem. Fortuna wojenna odwróciła się bowiem od Niemiec. Każda kolejna porażka oznaczała zaś poważne kłopoty zdrowotne Hitlera. Stosowane przez lekarza doraźne środki przestały wystarczać. Hitler nieubłaganie zamieniał się w strzęp człowieka.

Sam Hitler nie pomagał. Zamiast siedzieć w swojej alpejskiej willi Berghof, w momencie wybuchu wojny ze Związkiem Sowieckim przeniósł się do kwatery polowej. Był to kompleks leśnych bunkrów w Prusach Wschodnich, w pobliżu Kętrzyna. Słynny Wilczy Szaniec.

Klimat panujący w tym miejscu okazał się dla Hitlera zabójczy. Kompleks znalazł się bowiem pod okupacją krwiożerczych komarów, które niemiłosiernie cięły załogę. Hitler wychodząc na zewnątrz, musiał zakładać na twarz pszczelarską siatkę.

„Załoga kwatery postanowiła sięgnąć po drastyczne metody – pisze Wieliński. – Okoliczne stawiki zalano benzyną, by wytruć pływające w nich larwy komarów. Hitler dowiedział się o tym, gdy zaczął dopytywać, dlaczego nagle w okolicy zamilkł rechot żab. – Takich idiotów świat nie widział. Zabili żaby, komary zostały – utyskiwał. Żołnierze musieli osuszyć stawy i usunąć z nich skażony muł, wypełnić je świeżą wodą, a następnie przenieść do nich żaby z innych zbiorników".

Najgorsza była potworna wilgoć panująca w pozbawionych okien bunkrach. Führer spał w „betonowej puszce". Gdy włączał wentylator, jego huk nie pozwalał mu spać. Gdy wyłączał wentylator – dusił się w skisłym powietrzu.

Jeszcze gorzej było w kwaterze w Winnicy na Ukrainie, do której Hitler przeniósł się wraz z postępami Wehrmachtu. Tam nie było bunkrów betonowych, ale drewniane. Problem w tym, że pomalowano je grubymi warstwami śmierdzącej, wydzielającej rakotwórcze substancje farby. Bóle głowy doprowadzały Hitlera do szaleństwa. A komarów było jeszcze więcej niż w Wilczym Szańcu. Temperatury dochodziły do 50 st. C.

To właśnie wtedy, w trakcie operacji „Barbarossa", Hitlerowi zaczęła się trząść lewa ręka. Zapowiedź groźnej choroby Parkinsona. Dyktator zaczął mieć proble-

eprasa.pl baf56fd269

my z sercem, skakało mu ciśnienie. Coraz częściej cierpiał na paskudne, ciągnące się infekcje.

Na nic zdały się zaklęcia Morella, aby Hitler wreszcie odpoczął i o siebie zadbał – spędzał więcej czasu na świeżym powietrzu, gimnastykował się. Führer nie miał jednak czasu na takie bzdury, był zbyt zajęty przegrywaniem wojny. Lekarz w akcie desperacji zaczął wówczas przykładać dyktatorowi pijawki. Znowu: ulga, ale na krótko.

Klęska pod Stalingradem Hitlera załamała, kolejnymi gwoździami do trumny była przegrana bitwa na łuku kurskim i fiasko kontrofensywy w Ardenach na froncie zachodnim. Morell musiał podawać Pacjentowi A silne środki uspokajające. „W ciągu ostatniego 3,5 roku Führer postarzał się o 15 lat" – pisał w 1943 r. w dzienniku Joseph Goebbels.

Jak podkreśla Wieliński, nie ma rozstrzygających dowodów na to, że Morell podawał Hitlerowi pervitin. Czyli – łatwo wówczas dostępną i używaną powszechnie przez żołnierzy na froncie – metaamfetaminę. I już pewnie nigdy takich dowodów nie będzie. Morell, ze zrozumiałych względów, nie wpisywałby tego środka do karty pacjenta. Wiele jednak wskazuje – chociażby opisana na początku historia z Mussolinim – że Hitler rzeczywiście był narkotyzowany.

Skądinąd wiadomo, że gdy Führer w 1944 r. uskarżał się na nieznośny ból zatok, doktor Erwin Giesing wcierał mu w śluzówkę nosa i gardła kokainę. – Mam taki jasny umysł! – ekscytował się Hitler. Jedna z narkotycznych sesji zakończyła się jednak poważną zapaścią.

Z kolei po zamachu bombowym z 20 lipca 1944 r. Hitler był leczony… amerykańską penicyliną. W wyniku eksplozji w Wilczym Szańcu dyktator doznał zwichnięcia ręki i rozległych oparzeń na nogach. Popękały mu bębenki w uszach. Hitlerowi krew płynęła z uszu, czuł smak krwi w ustach. Wtedy Morell wyleczył go penicyliną, najprawdopodobniej odebraną amerykańskim żołnierzom wziętym do niewoli na plażach Normandii.

Ostatnie miesiące życia Hitlera to jedna wielka choroba. Zamknięty w bunkrze pod Kancelarią Rzeszy w Berlinie, czuł wstrząsy wywoływane przez bomby spadające na stolicę Rzeszy. Na jego biurko trafiały kolejne raporty o wojskach alianckich wdzierających się z zachodu i wschodu coraz dalej w głąb Rzeszy. Zgodnie ze schematem – kryzys III Rzeszy oznaczał kryzys zdrowia Hitlera. Führer pod koniec życia był wrakiem. Wory pod oczami, wisząca na ciele skóra.

Coraz bezradniejszy Morell był z Hitlerem w bunkrze niemal do końca. Podawał mu coraz bardziej wymyślne specyfiki, takie jak strofantynę. Substancję pozyskiwaną z łodyg i liści rosnących w Afryce skrętników. Strofantyna służyła lokalnym plemionom jako trucizna do grotów strzał, ale w niewielkich dawkach miała leczyć choroby serca. Morell stosował również elektroterapię.

Hitler postanowił uratować swojego lekarza. Na krótko przed zamknięciem sowieckiego okrążenia i samobójczą śmiercią pozwolił mu opuścić bunkier. Morell wyjechał do swojego domu w Bayerisch Gmain. Tam kazał zamurować w piwnicy kartotekę Pacjenta A.

Ciężko schorowany, cierpiący na serce Morell wkrótce po wojnie został przesłuchany przez amerykański kontrwywiad. Pierwsze pytanie, jakie zadał mu śledczy, brzmiało: „Dlaczego nie otruł pan Hitlera?". Morell był zdumiony. Składał przecież przysięgę Hipokratesa, jego obowiązkiem było ratowanie życia pacjentów, a nie ich uśmiercanie.

Chociaż na Morellu nie ciążyły żadne zarzuty kryminalne, to w lipcu 1945 r. został aresztowany jako stanowiący „zagrożenie dla bezpieczeństwa". Przy okazji Amerykanie ukradli mu jego drogocenny mikroskop elektronowy. Chodziło o skopiowanie tej zaawansowanej niemieckiej technologii.

Morell został zamknięty w obozie internowania w Darmstadcie, potem w Ludwisburgu, a wreszcie w Dachau. Stan lekarza uległ za drutami drastycznemu pogorszeniu. Trudno się zresztą temu dziwić, Amerykanie poddawali go uciążliwym przesłuchaniu, próbując wyciągnąć od niego jak najwięcej informacjo o stanie zdrowia Hitlera.

Zwolniono go z więzienia latem 1947 r. Niecały rok później doktor Theodor Morell zmarł. Na krótko przed śmiercią udzielił rady pewnemu młodemu lekarzowi: „Niech pan nigdy nie leczy prominentów".

Akcja T4

Książka Bartosza Wielińskiego jest ciekawa i nowatorska. Udało mu się dotrzeć do wielu nieznanych w Polsce materiałów. Atutem pracy jest szerokie potraktowanie ludobójczej akcji T4 oraz przedstawienie konfliktów i intryg zatruwających wewnętrzny krąg Hitlera.

Jeżeli chodzi o mankamenty, to w „Wojnie lekarzy Hitlera" zdarzają się niestety błędy merytoryczne. Wieliński pisze na przykład, że 22 czerwca 1941 r. Związek Sowiecki został zaatakowany przez Niemców „i ich węgierskich i rumuńskich sojuszników". Tymczasem Węgry wypowiedziały wojnę bolszewikom dopiero pięć dni później – po tym, gdy Sowieci zbombardowali Koszyce.

Wieliński z uporem lepszym godnej sprawy Związek Sowiecki nazywa „Związkiem Radzieckim", przez co w trakcie lektury można odnieść wrażenie, że czyta się książkę napisaną nie współcześnie, ale w czasach PRL.

Ogólna ocena książki musi być jednak pozytywna. Bez wątpienia poszerza ona naszą wiedzę o Adolfie Hitlerze. Pokazuje, że trudno zrozumieć decyzje podejmowane przez postacie historyczne bez poznania ich życia prywatnego. Ich relacji rodzinnych, traum i stanu zdrowia.

Po raz pierwszy wobec Adolfa Hitlera tę nowatorską metodę zastosował David Irving w słynnej „Wojnie Hitlera". Brytyjski historyk przedstawił niemieckiego dyktatora nie jako diabła wcielonego, lecz jako człowieka. Myślę, że Wieliński – stąd taki tytuł książki – podążył tropem Irvinga.

Czy nam się bowiem to podoba, czy nie, Hitler – jeden z największych zbrodniarzy w dziejach świata – był człowiekiem. Człowiekiem niepozbawionym ludzkich słabości i przypadłości. I to właśnie sprawia, że jego historia jest tak przerażająca.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl baf56fd269

Defilada niemieckich oddziałów w Paryżu

FOT. BUNDESARCHIV BILD

– Niemiecka strategia blitzkriegu wymagała od żołnierzy działania na pełnych obrotach przez pierwsze dni ataku. Było to możliwe tylko dzięki użyciu ciężkiego narkotyku – mówi Norman Ohler

Wywiad / Z Normanem Ohlerem, autorem książki „Trzecia Rzesza na haju"

rozmawia Piotr Włoczyk

Wunderwaffe w pigułce

PIOTR WŁOCZYK: Czy Niemcy wygrali w Polsce i we Francji dzięki narkotykom?

NORMAN OHLER: W czasie wojny z Polską używanie metamfetaminy nie było jeszcze częścią oficjalnej strategii Wehrmachtu, więc ciężko obronić tezę, że Niemcy w 1939 r. pokonali Polaków z powodu „dopingu". Choć z drugiej strony trzeba też pamiętać, że bardzo wielu żołnierzy Wehrmachtu walczyło w Polsce pod wpływem metamfetaminy. Zupełnie inaczej sytuacja wyglądała wiosną 1940 r. we Francji. Pervitin, czyli po prostu niemiecka metamfetamina, był zupełnie oficjalnie dostarczany żołnierzom.

eprasa.pl baf56fd269

Jak dużo pervitinu trafiło wtedy do Wehrmachtu?

40 milionów dawek. Niemiecka strategia blitzkriegu wymagała od żołnierzy działania na pełnych obrotach przez pierwsze dni ataku. Niemcy mieli nacierać bez dłuższych postojów – to był klucz do błyskawicznego pokonania Francji. Było to możliwe tylko dzięki użyciu ciężkiego narkotyku. Jeżeli więc chodzi o wojnę z Francją, to możemy powiedzieć, że bez pervitinu nie udałoby się Niemcom zdobyć Paryża.

Jak bardzo popularny był pervitin we wrześniu 1939 r. wśród niemieckich żołnierzy?

Mamy wiele raportów z frontu w Polsce, które wskazują, że narkotyk ten był szeroko używany. Naczelny fizjolog Wehrmachtu dopytywał lekarzy polowych na temat pervitinu. Z ich raportów wynikało, że jest on bardzo popularny i przynosi dobre skutki. Nie ma jednak oficjalnych danych na temat liczby dawek, które przyjęli wówczas niemieccy żołnierze, ponieważ pervitin był używany wówczas jedynie „prywatnie".

Ciekawie wyglądają opisy zwykłych żołnierzy, którzy w listach do rodzin pisanych z frontu w Polsce wspominali o tym narkotyku. Jednym z nich był Heinrich Böll, późniejszy laureat literackiego Nobla, który w 1939 r. był szeregowcem. W jego listach do rodziny wielokrotnie przewija się temat pervitinu. Böll prosił rodziców o dosłanie tej substancji, bo – jak twierdził – potrzebował jej, by wprowadzić się w nastrój, dzięki któremu był w stanie funkcjonować w warunkach wojennych. Dla jego rodziców na pewno nie było to zaskoczenie. Pervitin był bardzo popularny w Niemczech, niemal każdy o nim słyszał.

Jak działał?

Pervitin to po prostu metamfetamina. To najsilniejszy stymulant, jaki znamy. Jest spokrewniony z amfetaminą, ale jest od niej silniejszy. Dziś oba narkotyki są nielegalne na całym świecie, ale w tamtych latach były to legalne substancje. Metamfetamina uwalnia w mózgu dodatkową ilość neuroprzekaźników, takich jak dopamina i noradrenalina, co przez sześć–osiem godzin powoduje, że mózg jest w stanie podwyższonej gotowości. W dużym uproszczeniu można powiedzieć, że człowiek, który zażył metamfetaminę, funkcjonuje tak, jakby jego mózg cały czas odczuwał bardzo wysokie zagrożenie. Dzięki temu ma się „dodatkową" energię. Niemieccy żołnierze byli za sprawą pervitinu w bardzo bojowych nastrojach i działali jak maszyny.

W trakcie blitzkriegu we Francji było to nie do przecenienia, skoro Niemcy musieli w bardzo krótkim czasie znaleźć się nad kanałem La Manche, by odciąć główne siły francuskie i brytyjskie.

Najpierw jednak Niemcy musieli w ciągu trzech dni i nocy przemierzyć Belgię, by wkroczyć do Sedanu na granicy francuskiej. Tylko pod warunkiem zdobycia tego miasta udałoby się odciąć Francuzów i Brytyjczyków. Bez pervitinu armia nie byłaby w stanie nie spać przez trzy dni i trzy noce z rzędu.

Rommel, Guderian i von Manstein uzgodnili tę strategię 17 lutego 1940 r. podczas śniadania roboczego z Hitlerem. Rzucili wówczas pomysł przedarcia się przez Ardeny. Hitlerowi bardzo się ten pomysł spodobał. Jedynym problemem była wytrzymałość żołnierzy niemieckich. Czy uda im się sprostać tak forsownemu tempu? Hitler był przekonany, że Wehrmacht poradzi sobie z tym wyzwaniem. Jego argumentacja opierała się jednak na wierze w niemiecką supremację – twierdził, że Niemcy dadzą radę, bo są nadludźmi. Naczelne dowództwo Wehrmachtu nie podzielało jednak optymizmu Führera. Główny fizjolog armii zauważył wówczas: „Mamy idealną broń farmakologiczną, dzięki której możemy to osiągnąć – pervitin!". Tym razem środek ten miał zostać oficjalnie wprowadzony do Wehrmachtu, z konkretnym dawkowaniem, nad którym mieli czuwać lekarze frontowi. W kwietniu 1940 r., miesiąc przed atakiem na Francję, ukazał się „dekret nt. stymulantu". Wszyscy lekarze wojskowi dostali ten dokument.

Dziennik „Corriere della Sera" napisał o tajemniczej „pigułce odwagi" („pillola di coraggio") Niemców, która pomogła im rzucić Francję na kolana. Jak zareagowali na te wieści przeciwnicy Niemców?

Włosi byli sojusznikami, więc dowództwo ich armii wiedziało o niemieckim „dopingu". Anglicy bardzo zainteresowali się tym tematem, z tym że na Wyspach nazywano pervitin „pigułką zwycięstwa". Churchill kazał rozpocząć prace nad stworzeniem podobnej broni farmakologicznej.

Jak w ogóle pervitin znalazł się w Wehrmachcie?

Substancja ta została wyprodukowana w 1937 r. przez berlińską firmę farmaceutyczną Temmler. Rok później pervitin znalazł się na rynku. Był dostępny bez recepty i szybko stał się bardzo popularny. Z doniesień prasowych

Opakowania różnych form pervitinu

FOT. WIKIMEDIA COMMONS/ORDERCRAZY

eprasa.pl baf56fd269

z tamtych czasów wynika, że pervitin był powszechnie stosowany. Szczególnie przez pracowników fabrycznych, ale również panie domu się nim raczyły.

Niemieckie panie domu łykały metamfetaminę?!

Producent tego specyfiku wymyślił specjalny produkt dla kobiet – metamfetaminę w czekoladkach. Każda porcja zawierała 9 mg pervitinu, co było naprawdę końską dawką, bo zwykła pigułka była trzy razy słabsza… Zażywanie tej substancji było wówczas traktowane tak jak picie kawy czy coca-coli. Mało kto uważał to za coś niebezpiecznego czy dziwnego. Pervitin sprawiał, że ludzie byli szczęśliwsi i mogli bardziej efektywnie pracować, wydawało się więc, że to doskonały produkt.

Wróćmy do wprowadzenia pervitinu w Wehrmachcie.

Profesor Otto F. Ranke, kierownik Instytutu Fizjologii Ogólnej i Wojskowej (Institut für Allgemeine und Wehrphysiologie), zainteresował się raportami z niemieckich uniwersytetów, które analizowały medyczne efekty pervitinu. Szczególną uwagę zwrócił na kwestię podwyższonej gotowości do działania bez snu przez kilka dni z rzędu. Ranke postanowił przeprowadzić test na Akademii Medycznej w Berlinie, zapraszając do badania młodych oficerów. Jednym podano pervitin, inni dostali kawę, a jeszcze inni placebo. Test potwierdził, że pervitin otwiera przed armią wielkie możliwości. Poza zwalczaniem senności narkotyk ten zmniejsza również poczucie strachu, a dodatkowo człowiek staje się po nim trochę bardziej agresywny. Ranke przekazał dowództwu Wehrmachtu, że pervitin powinien znaleźć swoje miejsce w armii.

Czy ktokolwiek w dowództwie niemieckiej armii miał obiekcje w sprawie podawania żołnierzom narkotyku? Pojawiały się jakieś głosy krytyczne w związku z efektami ubocznymi długotrwałego używania metamfetaminy?

W tamtym okresie pervitin nie był uważany za narkotyk, taki jak kokaina czy heroina. Ten produkt naprawdę był uważany za coś w rodzaju aspiryny, więc jeżeli nawet zdarzały się głosy krytyczne, to były one bardzo nieliczne. Niemcy uważali pervitin za coś pożytecznego.

Leonardo Conti. Poniżej: Otto Ranke FOT. BUNDESARCHIV BILD, DOMENA PUBLICZNA

Jedynym znaczącym krytykiem stosowania pervitinu był sekretarz stanu Leo Conti, odpowiedzialny za sprawy zdrowia (Reichsgesundheitsführer). Był on swego rodzaju ministrem zdrowia. W 1941 r. Conti podpisał się pod dokumentem wskazującym na zagrożenia związane z przyjmowaniem pervitinu. Za jego sprawą produkt ten został wpisany na listę środków wydawanych jedynie na receptę. Był to tylko pierwszy krok. Conti następnie wpisał pervitin na listę narkotyków, które były objęte specjalnym, trudno dostępnym, rodzajem recept.

Powinno to skutkować mniejszą dostępnością pervitinu.

Stało się jednak odwrotnie. Mimo wprowadzenia obowiązku posiadania recepty produkcja narkotyku wystrzeliła. Mało kto przejmował się wytycznymi Leo Contiego. Kiedy Reichsgesundheitsführer napisał przed atakiem na ZSRS do naczelnego dowództwa armii, że od teraz pervitin jest narkotykiem i nie wolno go wydawać żołnierzom, odpowiedź musiała go zszokować. Armia stwierdziła, że niemieckie „prawo opiumowe" dotyczy jedynie cywilów i armia nie musi go przestrzegać.

To chyba dosyć karkołomna teza…

Nie jestem ekspertem w sprawach prawnych, ale też wydaje mi się to dziwne. Faktem jest jednak, że Wehrmacht postawił na swoim. Armia wychodziła z założenia, że nic, co pomaga w pokonaniu wroga, nie może być poza zasięgiem niemieckich żołnierzy. A pervitin wykazał już swoją skuteczność.

Blitzkrieg we Francji i „Barbarossa" w ZSRS to jednak dwie kompletnie różne operacje. Na ile pervitin przydał się Niemcom w długich zmaganiach na froncie wschodnim?

Pamiętajmy jednak, że wojna z ZSRS również została zaplanowana jako blitzkrieg. Tylko tak Niemcy mogły wygrać z kolosalnym Związkiem Sowieckim. Byli bardzo blisko zwycięstwa, ale ostatecznie skończyło się na długich, wyczerpujących walkach, w których Niemcy z góry skazane były na porażkę. W takich okolicznościach pervitin traci swoje „cudowne" właściwości. Naturalnie za ten dodatkowy „zastrzyk energii", który żołnierze dostawali dzięki pervitinowi w pierwszych tygodniach wojny, trzeba było potem „zapłacić" spadkiem mobilizacji, koniecznością zregenerowania organizmu, ogólnym zmęczeniem i rozbiciem. Część żołnierzy uzależniła się i musiała zwiększać dawki. Kiedy z kolei tracili dostęp do pervitinu, wpadali w stany depresyjne. A pamiętajmy, że pod koniec wojny trudniej było dostać ten narkotyk. Wojna ze Związkiem Sowieckim unaoczniła wszystkie zagrożenia związane z przyjmowaniem pervitinu, o których mówił Leo Conti.

Gdyby Niemcy wygrali z Sowietami do października 1941 r., to moglibyśmy powiedzieć, że pervitin odegrał w tym dużą rolę. Stało się jednak inaczej. Kilka lat temu rozmawiałem z bardzo wiekowym

eprasa.pl baf56fd269

lekarzem wojskowym, który walczył pod Stalingradem. Powiedział mi, że rozdawał pervitin, wiedząc, że w niczym nie zmieni to katastrofalnej sytuacji Niemców. Żołnierze nie czuli jednak po metamfetaminie takiego głodu, a to był zawsze jakiś plus.

Nadszedł w końcu czas, gdy Wehrmacht zrozumiał, że pervitin staje się częścią problemu, a nie rozwiązaniem?

Wehrmacht miał już wówczas tyle problemów, że pervitin siłą rzeczy nie mógł się znaleźć na szczycie tej listy.

Całe pokolenie niemieckich mężczyzn szprycowało się w czasie wojny metamfetaminą. Jakie były tego skutki w dłuższej perspektywie?

W latach 50. pervitin wciąż był bardzo popularny w Niemczech, szczególnie w zachodniej części. Heinrich Böll otwarcie przyznawał, że używał go podczas pisania swoich książek. Powoli jednak konsumpcja spadała. Okazało się, że uzależnienie się od pervitinu nie było jednak tak silne i tak tragiczne w skutkach, jak ma to miejsce w przypadku uzależnienia choćby od „cracku" [silnie uzależniającej i wyniszczającej formy kokainy – przyp. red.]. Pervitin był produktem bardzo wysokiej jakości, a dawki nie były zbyt wysokie. W związku z tym niewiele było przypadków ludzi naprawdę zniszczonych przez pervitin.

Pod koniec wojny Niemcy opracowali D-IX. To odkrycie miało odwrócić losy III Rzeszy. Czym była ta substancja i jakie miała ona znaleźć zastosowanie?

Niemiecka marynarka wojenna rozwinęła program walki przy użyciu miniaturowych okrętów podwodnych, których załogi składały się z dwóch osób. Ich misje miały trwać tydzień, a pervitin pozwala działać non stop przez maksymalnie trzy dni. Krótko mówiąc, pervitin był zbyt słaby dla Kriegsmarine. Zaczęto więc poszukiwać supernarkotyku, który zamieniłby marynarzy w prawdziwe maszyny. Niemieccy naukowcy próbowali różnych wariantów. Do testów wybrali 10 substancji. Najbardziej obiecująca była właśnie D-IX. Była to mieszanka pervitinu, kokainy i eukodalu – opioidu, który wprowadza człowieka w stan euforii.

Jaki był efekt stosowania D-IX?

Ostatecznie okazało się, że jest ona zbyt mocna. Wywoływała halucynacje i dezorientację, co nie było najlepszą rekomendacją dla załóg okrętów podwodnych. I dlatego nie wprowadzono jej szerzej do użytku.

Co się działo po drugiej stronie frontu? Czy alianci walczyli „czysto"?

Początkowo alianci byli naiwni i nie przyszło im w ogóle do głowy, że Niemcy mogą sięgnąć po coś tak mocnego jak metamfetamina. Kiedy jednak dzięki artykułowi we włoskiej gazecie dowiedzieli się o tej „pigułce odwagi", to uruchomili własne programy narkotykowe. Alianci zachodni postawili jednak na amfetaminę, czyli „speed". Środek ten nie jest tak mocny jak metamfetamina, ale z drugiej strony ma też mniej efektów ubocznych. Brytyjczycy, a następnie Amerykanie, nauczyli się więc od nazistów, że narkotyki mogą bardzo pomóc w osiąganiu celów militarnych.

Z kolei od wschodu szła na Niemców armia, która nie była w stanie funkcjonować bez wódki. Wygląda na to, że wszyscy używali jakichś stymulantów.

To jednak nic nowego. Żołnierze od zarania dziejów szukali stymulantów i środków, które zabiją strach. Wódka świetnie się do tego nadaje, co pokazało doświadczenie Armii Czerwonej.

Czyli z jednej strony mieliśmy niemieckiego żołnierza na metamfetaminie, który nie czuje głodu, zmęczenia i strachu, a z drugiej pijanego Sowieta, któremu włącza się etylowa „nieśmiertelność".

A żeby było jeszcze ciekawiej, to we Francji zupełnie oficjalnie pozwalano żołnierzom na spożywanie każdego dnia butelki wina. Chyba wszyscy rozumiemy, że armia idąca do boju po wypiciu wina bardziej niż o wojowaniu myśli o relaksie. Wyobraźmy więc sobie maj 1940 r. i widok oszalałych z podniecenia Niemców, gotowych zabić wszystko, co się rusza, i Francuzów lekko przysypiających po swoim winie. Z farmakologicznego punktu widzenia była to kompletnie asymetryczna wojna.

Ciekawe, że początkowo NSDAP była kompletnie przeciwna narkotykom, pokazując Niemcy weimarskie jako kraj, który tolerował psucie społeczeństwa.

Leo Conti podkreślał, że z punktu widzenia nazistowskiej ideologii używanie pervitinu to zbrodnia. Reichsgesundheitsführer przekonywał, że narkotyk ten zanieczyszcza aryjskiego ducha. I krytykował armię, że nie myśli po nazistowsku. Wystarczyło jednak nazywać pervitin lekarstwem, a nie narkotykiem, i problem znikał...

NORMAN OHLER
„TRZECIA RZESZA NA HAJU. NARKOTYKI W HITLEROWSKICH NIEMCZECH"
WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE

W swojej książce nazywa pan Hitlera „politoksymanem". Słyszałem już bardzo wiele określeń opisujących Hitlera, ale przyznam się, że nigdy nie spotkałem się z tym słowem.

Chodzi tu o człowieka uzależnionego od wielu substancji chemicznych. Hitler to pod tym względem bardzo ciekawy przypadek, bo przecież w nazistowskiej propagandzie pokazywano go jako wodza, który brzydzi się wszelkimi używkami i zawsze zachowuje trzeźwość umysłu. W rzeczywistości było jednak zupełnie inaczej. Osobistym lekarzem Hitlera był Theo Morell, który miał bardzo specyficzne podejście do leczenia swojego najważniejszego pacjenta. Początkowo dawał Hitlerowi zastrzyki z witamin, ale pod koniec 1941 r., gdy wojna z Sowietami coraz bardziej stresowała Führera, Morell zaczął go faszerować coraz silniejszymi substancjami. Skończyło się na opioidach, które sprawiały, że Hitler tryskał energią, choć ta „terapia" miała oczywiście bardzo negatywne efekty uboczne. Od 1943 r. Hitler był już uzależnionym ćpunem.

Lista substancji, które wódz III Rzeszy przyjmował każdego dnia, zdaje się nie mieć końca...

Tak, Hitler był najbardziej ekstremalnym przykładem narkomana na szczytach nazistowskiej władzy. A trzeba przyznać, że konkurencja była tam silna, żeby wspomnieć choćby o uzależnionym od morfiny Hermannie Göringu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Norman Ohler jest niemieckim dziennikarzem, autorem bestsellerowej książki „Trzecia Rzesza na haju".

eprasa.pl baf56fd269

Pacjenci z zakładu opieki w Neuendettenslau, wywożeni na śmierć FOT. DOMENA PUBLICZNA

Eutanazja / Mordowanie niepełnosprawnych umysłowo

Akcja T4

Jakub Ostromęcki

Grunt przygotowali „uczeni", mordowanie w szpitalach nakazała III Rzesza, sprzeciwił się tylko Kościół rzymskokatolicki

Urny z prochami pomordowanych leżały w najgłębszych zakamarkach piwnicy miejskiego cmentarza w Konstancji prawie przez 40 lat. Nikt przez ten czas się nimi nie zainteresował, nie pojawił się żaden krewny. Odkrył je jeden z urzędników w 1983 r. Prochy należały do ofiar niemieckiego ludobójstwa popełnionego na własnych obywatelach – psychicznie chorych, upośledzonych, gruźlikach, zarówno dorosłych, jak i noworodkach. A prochy pomordowanych z Konstancji to jedynie ułamek z 200 tys. ofiar, które w języku III Rzeszy określono jako „życie niewarte życia". Ludobójstwo to opisał Götz Aly w książce „Obciążeni. »Eutanazja« w nazistowskich Niemczech".

Grunt dla eutanazji

Nie trzeba było być nazistą, aby propagować eutanazję osób psychicznie chorych. W 1920 r. Karl Binding i Alfred Hoche napisali książkę pt. „Die Freigabe der Vernichtung lebensunwerten Lebens" („Zezwolenie na niszczenie życia pozbawionego wartości"). Pierwszy z autorów był prawnikiem, drugi psychiatrą. Obaj profesorowie udowadniali w niej, że upośledzeni umysłowo są istotami nieposiadającymi wyższych uczuć, bezwartościowymi „pustymi skorupami". Dlatego też powinni zostać zabici, oczywiście w sposób „humanitarny". Książka nie wywołała większych protestów w niemieckim świecie naukowym. Padła zresztą na podatny grunt. W wielu państwach rozwiniętych już od kilkudziesięciu lat bardzo prężnie działały stowarzyszenia eugeniczne. Niemcy i zaraz za nimi Szwecja i USA znajdowały się w ścisłej czołówce owego ruchu.

„Życie nieuleczalnie upośledzonych bez względu na to, czy tacy się urodzili, czy też stali się tacy w ostatnim stadium porażenia, nie ma żadnej wartości ani dla nich samych, ani dla społeczeństwa" – to nie jest fragment broszury nazistowskiej, ale główna teza artykułu, który ukazał się na łamach biuletynu lekarskiego Międzynarodowego Zrzeszenia Lekarzy Socjalistycznych. Jego autor, polityczny przeciwnik nazizmu, był już w momencie ukazania się publikacji na emigracji w Pradze. Podobne poglądy reprezentowali ówcześni postępowi niemieccy działacze feministyczni czy promotorzy aborcji na życzenie. W 1933 r. naziści uchwalili Ustawę o ochronie przed potomstwem dziedzicznie chorym. Rozpoczął się proces sterylizacji setek tysięcy Niemców, którzy w opinii władzy dzieci mieć nie powinni. Społeczeństwo przyjęło ją ze zrozumieniem.

Na jesieni 1939 r. Hitler rozkazał rozpoczęcie akcji Gnadentod („litościwa śmierć"), która po wojnie stała się lepiej znana pod nazwą T4 – od siedziby głównej instytucji koordynującej mordy eutanazyjne, mieszczącej się przy Tiergartenstrasse 4. Wcielono w życie wszystkie pomysły niemieckich eugeników z lat 20. i 30. Eksterminowani mieli być wszyscy psychicznie chorzy nienadający się do pracy i zbytnio obciążający

eprasa.pl baf56fd269

system opieki zdrowotnej. W ciągu kolejnych lat akcja ta była koordynowana przez instytucje o bardzo poważnych i wzbudzających zaufanie nazwach, takich jak Wydział Medyczny Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, Komitet Rzeszy ds. Naukowego Opracowania Ciężkich Chorób Uwarunkowanych Genetycznie i Konstytucjonalnie, Państwowa Wspólnota Pracy Rzeszy na rzecz Zakładów Opiekuńczo-Leczniczych (RAG), Wydziały Towarzystwa Użyteczności Publicznej dla Transportu Chorych czy Urząd Rzeszy ds. Zakładów Opiekuńczo-Leczniczych.

Kierowali nią nie żadni nieudacznicy i psychopaci w kitlach, którzy za pomocą pseudonaukowych eksperymentów starali się ukryć swoją niekompetencję, lecz ludzie o olbrzymim dorobku: Wiktor Brack, Werner Hayde, Paul Nitsche, Karl Brandt, Herbert Linden. Jeden z wykonawców akcji, Wilhelm Bayer, był znanym pediatrą. Po wojnie napisał podręcznik dla młodych matek. Lepszych rad nie mógł udzielić: jak najdłużej karmić mlekiem matki, unikać sztucznego pokarmu, pozwalać na swobodny rozwój dziecka, powstrzymać się od wygórowanych oczekiwań, ubierać w czystą wełnę, zapewniać spokój, pozwalać biegać po słońcu. Ten sam człowiek kilka lat przed publikacją owego poradnika zajmował się mordowaniem dzieci niepełnosprawnych.

„Likwidujemy istoty niewarte życia, aby zapewnić czystość i higienę rasy" – to było jedynie tłumaczenie propagandowe. Nawet lekarze popierający akcję mieli obiekcje, czy na pewno istnieje logiczny związek miedzy eutanazją a przetrwaniem rasy. Akcję T4 rozpoczęto zatem z pobudek czysto materialnych. Wiadomo było, że szpitale rychło zapełnią się rannymi żołnierzami, a sama wojna będzie kosztowała coraz więcej. Szczegółowe wyliczenia i uzyskane oszczędności przedstawiono w tzw. memoriale Morella w 1939 r., w którym psychicznie chorych nazwano „nieproduktywnymi żarłokami".

W 1942 r. ordynator jednego z monachijskich szpitali tłumaczył dobrodziejstwa akcji: „Być może wraz z pozytywnym nastawieniem do likwidacji istot niewartych życia jako pożądanego celu psychiatrii, wrodzy nam ludzie po drugiej stronie zrozumieją wreszcie, iż duch poważnej nauki i lekarska chęć niesienia pomocy odmienią w przyszłości […]

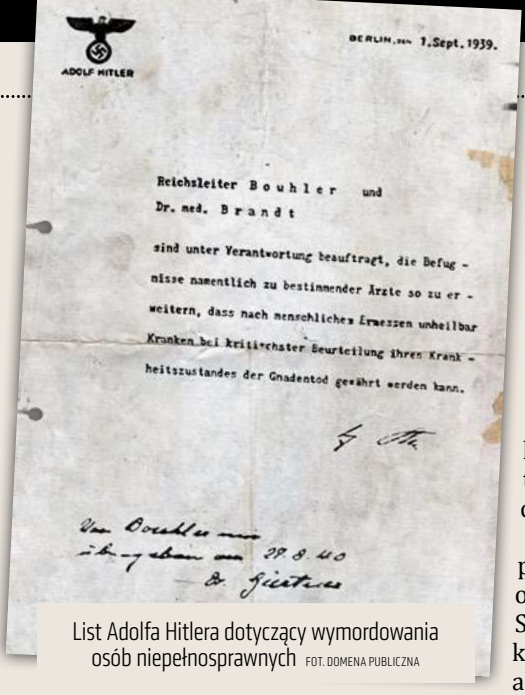
ADOLF HITLER

BERLIN, den 1. Sept. 1939.

Reichsleiter Bouhler und
Dr. med. Brandt

sind unter Verantwortung beauftragt, die Befugnisse namentlich zu bestimmender Ärzte so zu erweitern, dass nach menschlichem Ermessen unheilbar Kranken bei kritischster Beurteilung ihres Krankheitszustandes der Gnadentod gewährt werden kann.

List Adolfa Hitlera dotyczący wymordowania osób niepełnosprawnych FOT. DOMENA PUBLICZNA

wizerunek naszych publicznych zakładów opiekuńczo-leczniczych". Lekarze wierzyli zatem, że popełniane przez nich mordy przyczynią się do poprawy losu reszty „rokujących" chorych.

Część z lekarzy zaczęła wyrażać wątpliwości dość obłudnej natury. W jednym z raportów o takim protestującym medyku czytamy: „Zwrócił on uwagę, iż […] akcja jest zgodna z jego północnogermańskim światopoglądem i jego działalnością jako lekarza […], jednakże […] brakowało ustawy, odpowiednich regulacji i tym podobnych". To, że tysiące chorych mają być zamordowane, nie było problemem. Ważne, że nie było odpowiedniej ustawy. Hitler nie chciał jednak, aby kwestia eutanazji stała się przedmiotem zbyt otwartej debaty, toteż gotowej ustawy eutanazyjnej nigdy nie wprowadzono formalnie w życie, każąc lekarzom działać na podstawie ministerialnych rozporządzeń lub rozkazów Führera. Tak oto zaspokojona została mieszczańska potrzeba praworządności.

Przeczuwali śmierć

Mordowanie niepełnosprawnych przebiegało w myśl dość prostego schematu. W szpitalach powstawały specjalne kwestionariusze i listy chorych, których badano głównie pod kątem ich przydatności do pracy. Tak wyznaczeni kierowani byli do obozów przejściowych, a stamtąd do komór gazowych znajdujących się w sześciu szpitalach na terenie Rzeszy. W sprawę wciągnięci byli również burmistrzowie. Na zjeździe niemieckich samorządowców mówiono otwartym tekstem: „W tak specjalnie urządzonych zakładach nie trzeba nic robić w celu utrzymania ich przy życiu, a wręcz przeciwnie, trzeba robić wszystko, żeby możliwie szybko zmarli. W celu przeprowadzenia tej akcji musi zostać powołana komisja lekarzy, która podejmie decyzję co do tego, jacy chorzy muszą być umieszczeni w takich zakładach".

Chorzy przeczuwali śmierć. Ich przerażenie opisał Ludwik Schlaich, ordynator szpitala w Stetten koło Stuttgartu. Był jednym z nielicznych, którzy sprzeciwiali się ludobójstwu, ale władza mimo to pozostawiła go na stanowisku: „Panicznie przerażony i zrozpaczony K.D. już przy drzwiach omnibusu wyrwał się personelowi transportowemu i pobiegł do męskiego budynku, krzycząc: „Ja nie jadę, ja nie jadę. Prędzej sam się powieszę!". Ale już dogoniło go i przytrzymało dwóch mężczyzn z personelu towarzyszącego. Wykręcili mu ręce na plecach i zawlekli do omnibusu. […] R.W. ze sparaliżowanymi nogami siedział na swoim wózku i lamentował ogarnięty poczuciem całkowitej bezbronności (przeżył): „Dokąd miałbym uciec i kto mnie ukryje, kto wstawi się za mną? W moim przypadku z daleka już widać, że jestem darmozjadem i do niczego się nie nadaję". Najbardziej przejmująca była jednak reakcja pacjentki o inicjałach M.G.: „Czy to moja wina, że taka jestem? Czemu robią mi coś takiego?".

Pacjenci przed wejściem do komory gazowej stawali jeszcze przed jedną komisją. Elvira Hempel została cofnięta przez takie gremium w ostatniej chwili: „Ktoś na mnie krzyczy, żebym szybciej się rozbierała. Mam na sobie okropną czerwoną sukienkę z mnóstwem guzików. Odpinam je bardzo powoli i rzucam sukienkę na ten stos. Orientuję się, że jestem obserwowana od tyłu, przez ludzi siedzących przy stole. Zdejmuję buty i rzucam je na stos z butami. Kiedy jestem już naga, ktoś łapie mnie za lewe ramię i ciągnie w stronę stołu. Tam pytają mnie o nazwisko i wiek. Odpowiadam. Mężczyzna przegląda szybko akta. Potem każą mi się znowu ubrać. Nie pójdę za żelazne drzwi".

Chore noworodki były w nazistowskiej terminologii nazywane „Dziećmi Komitetu Rzeszy". Ich mordowanie wyglądało

eprasa.pl baf56fd269

Upośledzone dzieci, ofiary zbrodni
FOT. BUNDESARCHIV BILD

tak, jak w powojennych zeznaniach jednej z lekarek-asystentek: „Napełniałam strzykawkę 10 cm sześc. luminalu i w porze obiadowej szłam na oddział, ponieważ wtedy siostra oddziałowa była sama. Nigdy nie dawałam zastrzyku dziecku, które nie było powstrzymywane. W akcie zgonu jako przyczynę śmierci wpisałam zapalenie płuc. Ze wszystkich lekarek -asystentek tylko jedna opowiedziała się raz przeciwko eutanazji".

Czyste sumienie rodzin

To, że naziści wpadli na pomysł mordowania chorych w celu dbania o higienę rasy oraz dla oszczędności, nie powinno nikogo dziwić. Najstraszniejsze jest jednak społeczne przyzwolenie na owe mordy i ogrom zakłamania, w którym tkwiły rodziny ofiar. Ocalenie chorego od eutanazji nie było wszak w III Rzeszy niemożliwe. W wielu przypadkach wystarczyło go odwiedzać, pisać listy, rozmawiać z personelem, wysyłać paczki i życzenia świąteczne, brać do domu na święta. Lekarze obawiali się ciekawskich bądź namolnych obywateli.

Szacunkowe dane mówią tymczasem, że jedynie od 6 proc. do 10 proc. rodzin zdecydowanie protestowało, gdy ich krewny przenoszony był do innego zakładu, słusznie podejrzewając, iż może równać się to wyrokowi śmierci. Reszta w milczący sposób wyrażała przyzwolenie na bestialskie praktyki. Petra Fuchs wykazała, że wśród zamordowanych 19,2 proc. utrzymywało bliskie kontakty z rodziną, zaś wśród tych, którzy przeżyli – 39,4 proc. Sporo było natomiast protestów i skarg na… zagubione rzeczy, których nie odesłano rodzinie po uśmierceniu chorego. Wśród precjozów, o które walczyli krewni, były złote zęby i zegarki, ale wielu potrafiło też awanturować się o szaliki, spodnie lub aktówki. Ludzie ci nie wykazywali większego zainteresowania swoimi chorymi krewnymi w czasie, gdy szli oni na śmierć.

Podobnie wyglądało podejście rodziców ciężko chorych dzieci. W 1926 r. Ewald Meltzer, kierownik zakładu opiekuńczego dla dzieci opóźnionych w rozwoju, zadał w ankiecie pytanie rodzicom: „Czy bez wahania zgodziliby się Państwo na bezbolesne skrócenie życia swojego dziecka, u którego fachowcy stwierdziliby nieuleczalne upośledzenie umysłowe?". „Tak" odpowiedziało 73 proc. respondentów. Bazując na tych badaniach, lekarze uśmiercający dzieci w czasie akcji T4 wytworzyli specyficzny i obłudny kod porozumiewania się z rodzicami, mający na celu uspokojenie ich sumień. Jedna z matek wspominała: „Lekarz rozmawiał ze mną bardzo krótko. Powiedział tylko, że może dokonać na dziecku zabiegu, może to jednak spowodować jego zgon".

Owa „ryzykowna terapia lecznicza", polegająca rzekomo na naświetlaniu mózgu, dawała powodzenie jedynie w 10 proc. przypadków. Morderstwo popełnione w ten sposób opisywano w dokumentach terminem „leczenie" lub „zabieg". Niepełnosprawne dzieci oczywiście zabiegu nie przeżywały, bo w rzeczywistości dostawały śmiertelny zastrzyk. Sumienie rodziców pozostało czyste. Wierzyli lub też wmawiali sobie, że ich dzieci rzeczywiście były leczone: „Przypominam sobie Pana słowa, że nasze dziecko będzie żyło krótko i nigdy nie wyzdrowieje, i pociesza mnie myśl, że wybawiono ją od ciężkich cierpień. Nam, rodzicom, oszczędza się wielkiego ciężaru w przyszłości". „Kiedy nadeszła wiadomość o śmierci, byliśmy zadowoleni, że dziecko zostało uwolnione od swojego cierpienia". Lekarze nie stosowali przymusu. Rodzice przez cały czas trwania akcji T4 mogli uratować chore dziecko – zabrać je do domu lub umieścić w innej placówce, na przykład prowadzonej przez Kościół.

Opór

W pewnym momencie wydawało się, że cały ten ludobójczy proceder weźmie w łeb ku uldze nieszczęśników prowadzonych do komór gazowych czy morderczych ambulatoriów. W lecie 1941 r. katedra w Münsterze rozbrzmiała słowami oskarżenia: „Istnieje graniczące z pewnością podejrzenie, iż liczne nieoczekiwane zgony chorych umysłowo nie nastąpiły w sposób naturalny, lecz wywołano je celowo, w myśl owej zasady, według której można likwidować tak zwane istoty niewarte życia […], jeśli uważa się, że nie mają żadnej wartości dla narodu i państwa. To potworna zasada, która chce usprawiedliwić mordowanie niewinnych".

Za mordowanymi wstawił się biskup Clemens von Galen. Ówczesny władca Niemiec był zbyt potężny na to, aby po takich słowach, wzorem Henryka IV, udać się do nowej Canossy, ale nie mógł jednak pozwolić sobie na zachowanie w stylu Bolesława Śmiałego. Brunatny demon cofnął się więc przed mocą pastorału. Akcję T4 wstrzymano. Aresztowanie popularnego duchownego mogłoby obudzić niezadowolenie katolickiej Nadrenii, a to była ostatnia rzecz, na jakiej zależało Hitlerowi w momencie, gdy wojna z Sowietami zaczęła przynosić olbrzymie straty. „Führer chce mieć spokój w kraju" – zanotował w swoich dziennikach Goebbels. Nie znaczy to, że biskupowi zamierzano ową zniewagę puścić płazem. „Kwestię kościelną rozwiąże się po wojnie za jednym zamachem" – zanotował mistrz propagandy, tłumiąc wściekłość.

Ludobójstwo wstrzymano, nie zamierzano jednak z niego rezygnować. Od 1942 r. chorych psychicznie nie mordowano już w komorach gazowych, ale potajemnie głodzono lub wstrzykiwano im truciznę pod pretekstem „leczenia". Do końca wojny zakłady kościelne były azylami dla chorych. Niejednokrotnie pielęgniarki słyszały tam wyszeptane przerażonym tonem pytanie: „Ale u was nie zabijają, siostro, prawda?".

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl baf56fd269

HISTORIA DO RZECZY

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"

+ W PREZENCIE KSIĄŻKA MONIKA ODROBIŃSKA „DZIECI WYGNANE. TUŁACZE LOSY MAŁYCH POLAKÓW W CZASIE II WOJNY ŚWIATOWEJ"

DZIECI INACZEJ PAMIĘTAJĄ WOJNĘ...

Dziewięcioletni Mirek, trzyletnia Ola, pięcioletni Romek, ośmioletnia Marysia, czyli Dzieci wygnane. Dzieci rodzące się w bydlęcych wagonach w drodze na Syberię. Dzieci umierające z zimna, pragnienia, wycieńczenia, wyrzucane z transportu na kolejowy nasyp. Dzieci pracujące w tajdze przy wyrębie lasu, walczące o chleb. Dzieci osierocone, którym przyszło odgrywać rolę matek i ojców dla swych młodszych sióstr i braci. Dzieci odważne i niezłomne, które ocaliły siebie i bliskich z sowieckiego piekła. Przeszły z armią Andersa jej żołnierską odyseję, trafiły do Iranu, Afryki, Indii i Nowej Zelandii.

Nie uciekaliśmy z kraju, ale do niego przez cały świat wracaliśmy. O polską niepodległość nasi żołnierze walczyli na wszystkich frontach. To byli więźniowie sowieckich łagrów i posiołków – wynędzniali, ale każdą drogą do Polski szli. Walczyli w nadziei, że wrócą do domu, na Kresy. Ich i nasza droga do domu usiana jest krzyżami – wśród nich nie ma krzyża mojego ojca. Ilu takich krzyży brakuje?

Polskie dzieci, którym wydarto dzieciństwo, pamiętają wojnę inaczej niż dorośli. Lektura ich wspomnień porusza, budzi sprzeciw wobec sowieckiego zbydlęcenia i podziw dla heroizmu małych Polaków.

98 zł

oszczędność 54 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO:
UWAGA NOWY NR.
33 1600 1462 1816 5874 1000 0006
ORLE PIÓRO sp. z o.o.,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl baf56fd269

Władysław Dering, lekarz w Auschwitz
FOT. PAŃSTWOWE MUZEUM AUSCHWITZ-BIRKENAU

1940–1944 / Niemiecki obóz Auschwitz

Oprawca czy zbawca?

Tomasz Stańczyk

Władysław Dering, więzień lekarz z Auschwitz, wygrał proces o zniesławienie. Ponad pół wieku później przed swoim sądem stawia go Michał Wójcik

W raporcie rotmistrza Witolda Pileckiego pojawia się zaszyfrowana pod numerem 2 postać doktora Władysława Deringa. Był, tak jak Pilecki, członkiem Tajnej Armii Polskiej, został aresztowany latem 1940 r. i wysłany do Auschwitz. Tam został członkiem zorganizowanej przez rotmistrza organizacji konspiracyjnej.

Dering po jakimś czasie i ciężkich przeżyciach – był skrajnie wycieńczony pracą ponad siły – został pielęgniarzem, następnie kierował obozowym szpitalem. Dzięki niemu Pilecki przeżył pobyt w Auschwitz, zanim uciekł wiosną 1943 r. Chory i wyczerpany, zawszony rotmistrz napisał do doktora kartkę: „W obecnym stanie zbliżam się w przyspieszonym tempie do komina krematorium. Jeśli mnie natychmiast stąd nie zabierzesz – to stracę resztę sił na walce z wszami" („Raport Witolda", Ząbki–Londyn 2019).

Doktor umieścił Pileckiego w szpitalu i niejeden raz mu pomagał. Gdy rotmistrz znów zachorował, tak relacjonował: „Zjawił się dr 2 [Władysław Dering] i widząc, że mam wysoką gorączkę, załatwił w czasie nieprzepisowym za mnie wszystkie formalności, umieszczając mnie na bloku 28. (w szpitalu), w ostatniej chwili przed apelem wyciągając mnie ze stanu bloku 25. Gorączkę miałem do 41 stopni i wielkie osłabienie, to był mój tyfus".

Wcześniej rotmistrz dostał od Deringa przemyconą do obozu szczepionkę. Okazała się ona, widać, za słaba, by go uodpornić, ale chorobę przeszedł dość łagodnie.

Życie, ochronę i lepsze warunki zawdzięczało doktorowi wielu więźniów. Pilecki pisał w raporcie: „Doktor 2 [Władysław Dering] uratował szereg Polaków, każąc im się przebierać kolejno, po paru, w ubrania białe »pflegerów« [pielęgniarzy – przyp. red.], przedstawiając komisji SS-doktorów jako pracujących przy chorych".

Nazwany oprawcą

Niedawno ukazała się książka Michała Wójcika „Zemsta. Zapomniane powstania w obozach zagłady" (Wydawnictwo Poznańskie). Znajduje się w niej rozdział poświęcony w dużej mierze rotmistrzowi Pileckiemu oraz doktorowi Deringowi.

Autor pisze, że po wojnie „zaczęły wychodzić na jaw wstrząsające informacje" o Władysławie Deringu. Były więzień, Aleksander Górecki – który stwierdzał, że doktor ratował więźniów przed śmier-

eprasa.pl baf56fd269

telnymi zastrzykami z fenolu – zeznał też: „Wiadome mi jest, że tenże ob. Dering z polecenia niemieckiego w jego obecności dokonywał kastracji Żydów i Żydówek, że był wzywany przez niemieckiego profesora na blok 10, gdzie odbywały się doświadczenia na kobietach".

Doktor Alina Brewda, która na tym bloku była lekarką, „potwierdziła, że dr Dering miał drugie oblicze. Był nie tylko gorliwym wykonawcą niemieckich poleceń, był oprawcą". Inna więźniarka, Felicja Pleszewska, podawała „makabryczne szczegóły". Stwierdzała, że Dering, „zanim kobiety poddawano bolesnym zabiegom sterylizacyjnym, najpierw prześwietlał je promieniami Roentgena", co powodowało poważne poparzenia.

„Dziś wszystkie te zabiegi znane są jako nazistowskie eksperymenty medyczne" – konkludował Wójcik. Więźniarka i lekarka Dora Lorska dodawała, że głównymi motywami Deringa były sadyzm i nienawiść rasowa. „Lekarz na wyścigi okaleczał lub uśmiercał kobiety, bo były Żydówkami. Tylko i wyłącznie dlatego". Brewda twierdziła, że Dering przechwalał się, iż dokonał kilkunastu tysięcy „takich" operacji.

Obraz Deringa wyłaniający się z książki Wójcika jest jednoznaczny: polski lekarz był sadystycznym antysemitą, odpowiedzialnym za cierpienia kilkunastu tysięcy Żydów i Żydówek oraz śmierć niektórych z nich. Brał udział w niemieckich „eksperymentach", a co więcej, jak twierdzi Wójcik, „dla własnej przyjemności przeprowadzał różne zabiegi". Chociaż autor często stosuje przypisy, tu jednak nie podaje, na jakiej podstawie pisze o „przyjemnościach" doktora.

Polemika kustosza

Z czarnym obrazem Deringa podjął w maju na łamach „Gazety Wyborczej" polemikę Adam Cyra, starszy kustosz w Państwowym Muzeum Auschwitz-Birkenau. Przytacza pominięty przez Wójcika fragment zeznań Góreckiego: „Obserwując od strony pacjentów stosunek doktora Deringa do innych, stwierdzam, że był on bez względu na narodowość czy pochodzenie pacjenta rzeczowy". To oświadczenie zaprzeczałoby więc oskarżeniom Deringa o nienawiść rasową, krótko mówiąc – o antysemityzm.

Cyra stwierdza, że nieprawdziwe są

Władysław Dering w latach studenckich

FOT. ARCHWIUM UNIWERSYTETU WARSZAWSKIEGO

zeznania Pleszewskiej o tym, że Dering zajmował się naświetlaniem genitaliów żydowskich mężczyzn i kobiet promieniami Roentgena. Naświetlaniami, mającymi spowodować bezpłodność, zajmował się Horst Schumann – lekarz SS. Tak zeznawał były więzień Jakub Wolman. Katarzyna Okoniewska w książce „Zbrodniczy medycy. Lekarze z Auschwitz" także podaje, że naświetlania prowadził Schumann. Adam Cyra uważa, że dr Dering nie miał wyboru i musiał na polecenie Niemców usuwać zniszczone naświetlaniami genitalia. Miały być badane na okoliczność skutków, jakie wywołało promieniowanie.

Oczywiście jest kwestią nie do rozstrzygnięcia, czy w wypadku odmowy groziłaby Deringowi śmierć. Wolał nie sprawdzać. Być może odmowa skutkowałaby tylko pobiciem. A Dering już raz został pobity, gdy odmówił uśmiercania więźniów zastrzykami z fenolu. Nie każdy jest bohaterem.

Zanim Dering wyraził zgodę na przeprowadzenie operacji wycinania zniszczonych przez promieniowanie jajników i jąder, zwołał – o czym pisał w swojej relacji (Michał Wójcik ją pomija) – naradę lekarzy więźniów, na czele z Janem Olbrychtem, profesorem Uniwersytetu Jagiellońskiego. „Jego [Olbrychta – przyp. red.] zdaniem – relacjonował Cyra – przyjętym przez zebranych, było: usunąć zniszczone gruczoły, które praktycznie po zadziałaniu promieniami X są nieczynne, a więc dla organizmu bez znaczenia [...]. Za to ratujemy 88 młodych

MICHAŁ WÓJCIK
„ZEMSTA"
WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE

istnień ludzkich". Wszyscy lekarze się z tym się zgodzili.

Rozumowano tak, że gdyby Dering lub inny polski lekarz odmówili operacji, najpewniej Niemcy wysłaliby ofiary swoich „eksperymentów" do komory gazowej, a gruczoły płciowe pobraliby ze zwłok.

Operacje przeprowadzał jednak nie tylko Dering, lecz także dr Jan Grabczyński. Autor „Zemsty" nie wspomina go w książce. Wymienia natomiast doktora Maximiliana Samuela, niemieckiego Żyda, który wycinał jajniki. Ale nie nazywa go jednak – jak Deringa – oprawcą.

Replika Wójcika

Autor „Zemsty", odpowiadając Adamowi Cyrze – również na łamach „Gazety Wyborczej" – zarzuca mu, że rozstrzyga, które źródła są wiarygodne, a które nie, które należy brać pod uwagę, a które nie. I stara się to udowodnić. To poważny zarzut. Jednak nie można oprzeć się wrażeniu, że sam Wójcik selekcjonuje źródła i wybiera te, które w złym świetle przedstawiają doktora Deringa.

Michał Wójcik zarzuca kustoszowi muzeum Auschwitz, że „szyje obrzydliwymi nićmi", gdyż stara się podważyć zeznania świadczące przeciw Deringowi, podając, że lekarza obciążali Żydzi i komuniści. Wójcik ironizuje: „A ci przecież kłamali jak z nut, wie to każdy Polak mały".

Narodowość i światopogląd nie mają, oczywiście, nic do tego, czy ktoś mówi prawdę czy też nie.

Twierdzenie Aliny Brewdy o tym, że Dering dokonał kilkunastu tysięcy „takich operacji" (to znaczy wycięcia zniszczonych gruczołów płciowych), jest niewiarygodne nie dlatego, że była Żydówką.

Maria Ciesielska, autorka artykułu o Deringu i Grabczyńskim, stwierdza, że wśród odnotowanych w księgach operacyjnych ponad 16 tys. przypadków „zabiegi eksperymentalne" odnotowano 164 razy. A więc było ich stokrotnie mniej, niż to przypisała samemu tylko Deringowi dr Brewda. Poza tym wycięcie jajników i jąder to nie są „zabiegi eksperymentalne". Były natomiast nimi naświetlania prowadzące do bezpłodności.

Według ustaleń Ciesielskiej dr Dering dokonał 80 usunięć jednego lub dwóch jąder i 10 zabiegów usunięcia jajników u kobiet (kilka operowanych przez niego kobiet zmarło). Podobnej liczby usunięć

eprasa.pl baf56fd269

dokonał dr Jan Grabczyński. „Niezaprzeczalnym faktem jest – stwierdza Maria Ciesielska – że liczne zarzuty Aliny Brewdy [pod adresem Deringa – przyp. red.] były bezzasadne, przesadzone czy wręcz nierealne" (M. Ciesielska, „Władysław Dering i Jan Grabczyński, lekarze-więźniowie w Auschwitz", [w:] „Nowa Medycyna" 2019, nr 26; M. Ciesielska, „»Operacje eksperymentalne były przyczyną mojego smutku i wstrętu...«. Losy Władysława Deringa w świetle zachowanych dokumentów", [w:] „Ciemności kryją ziemię. Wybrane aspekty badań i nauczania o Holokauście", Kraków-Nowy Sącz 2019).

Michał Wójcik, polemizując z Adamem Cyrą, stwierdzał, że Dering – czego nie kwestionował kustosz – ratował kolegów. „Biada temu, kto do jego kolegów nie należał" – stwierdzał autor „Zemsty". Nie można tych słów odczytać inaczej jak zarzutu. Tak więc to, że Dering uratował dziesiątki, może setki więźniów przed śmiercią, nie zasługuje na uznanie, a wręcz na negatywną ocenę, gdyż… ratował tylko kolegów?

Jednak czy rzeczywiście tylko kolegów? Maria Ciesielska przytaczała zeznanie więźnia Romana Taula o Deringu: „Ratował on setki ludzi przed transportem na wyniszczenie. Przed każdą selekcją do gazowania, o której się wcześniej dowiadywał, ukrywał różnymi sposobami ludzi, przenosząc ich z sali na salę lub zwalniając na obóz". Mowa jest o setkach ludzi. Chyba Dering nie miał aż tylu kolegów?

„Przypisują mu brak serca – zeznawał Antoni Stanisław Górski – że nie wszystkim udzielał pomocy. Niestety, ja wiem, że robił bardzo dużo, narażając się władzom, chociaż ci, którzy się do niego nie dostali, mają osobistą urazę" (relacja w: zapisyterroru.pl).

Wielu więźniów wspominało Deringa jako niesympatycznego, szorstkiego, nawet brutalnego, postrzegali go jako usłużnego wobec Niemców. Niezależnie od tego, że faktycznie miał czy też mógł mieć taki charakter, trzeba wziąć pod uwagę to, co pisał Pilecki o doktorze. Dering pracował na rzecz konspiracji w obozowym szpitalu. Musiał więc zdobyć zaufanie Niemców, by trwać na stanowisku. „Z konieczności na zewnątrz jednak musiał mieć sylwetkę, która mogłaby się nie podobać poszczególnym niewtajemniczonym w naszą pracę ludziom".

Horst Schumann, lekarz SS FOT. WIKIPEDIA

Adam Cyra w polemice z Wójcikiem przywoływał opinię Władysława Bartoszewskiego, jednego z tych, którym Dering pomógł przeżyć: „Stawał co dzień przed strasznymi dylematami. Kogo ratować? Tego, co cierpi, czy tego, kto ma szansę przeżycia? […]. Wykonać rozkaz esesmana czy odmówić z pobudek moralnych i wydać na siebie wyrok śmierci? Tego nie rozstrzygnie w sposób jednoznaczny żaden ludzki sąd".

Sam zaś Dering po latach wyznawał, że udział w operacjach usuwania zniszczonych gruczołów płciowych był przyczyną jego „smutku i wstrętu". Nie można powiedzieć, że lekarz nie miał wyrzutów sumienia.

Zły i dobry?

Maria Ciesielska stawia pytanie, jak to się stało, że jeden z lekarzy był obciążany współpracą z Niemcami przy dokonywanych przez nich „eksperymentach" i musiał wytoczyć proces o zniesławienie (Dering), a drugiemu (Grabczyński), dokonującemu takich samych operacji, nikt nie stawiał zarzutów. Odpowiedź Ciesielska znajduje w tym, że Dering był w obozie brutalny, interesowny i nie ukrywał swych antysemickich poglądów. Natomiast Grabczyński „był pomocny i nikogo nie poniżał".

Jest to pewne wyjaśnienie, ale prowadzi ono do dość kuriozalnego wniosku. Wynikałoby bowiem z tego, że można być „oprawcą" – a jeśli był nim Dering, to Grabczyński również – i nie stracić dobrego imienia, nie być oskarżanym. Pod warunkiem jednak, że wobec ofiar niemieckich „eksperymentów" zachowa się takt, potraktuje się je ze współczuciem.

Rysując jednoznacznie czarną sylwetkę Władysława Deringa, autor „Zemsty" spycha do przypisów na końcu książki – do których nie każdy czytelnik zajrzy – informacje świadczące na korzyść lekarza. W 1964 r. Dering wytoczył przed brytyjskim sądem proces o zniesławienie przeciwko Leonowi Urisowi. W książce „Exodus" Uris zarzucił doktorowi wykonanie 17 tys. zabiegów sterylizacyjnych na Żydach, i to bez znieczulenia. Dering proces wygrał („liczne zeznania w jego sprawie są fałszywe"), przyznano mu symboliczne odszkodowanie. Brytyjski sąd uznał więc, że Uris dopuścił się oszczerstwa.

Michał Wójcik nie umieszcza, nawet w przypisie, innych informacji, które nie mogły być mu nieznane. Zaraz po wojnie, w związku z polskim wnioskiem ekstradycyjnym, dr Dering został aresztowany przez władze brytyjskie. Zrazu, jak pisze Maria Ciesielska, wniosek został rozpatrzony pozytywnie, jednak do ekstradycji nie doszło, a z więzienia został zwolniony, gdyż nie znaleziono wystarczających postaw do postawienia mu zarzutów w związku z jego działalnością w Auschwitz. Autor „Zemsty" pomija również fakt przytaczany przez Ciesielską, że Sąd Obywatelski w Londynie, do którego zwrócił się dr Dering, uznał zarzuty skierowane pod jego adresem za bezzasadne (M. Ciesielska, „Operacje eksperymentalne…").

Michał Wójcik stawia w książce pytanie, czy Witold Pilecki wiedział o udziale dr. Deringa w „masowej sterylizacji kobiet i mężczyzn". I odpowiada: „Na tę chwilę przyjmijmy, że nie". Trudno nie odczytać tego jako sugestii, że być może w przyszłości mogą wyjść na jaw dowody na to, że rotmistrz wiedział jednak o operacjach Deringa, nie umieścił jednak w raporcie wzmianki o jego procederze, więc krył „oprawcę"...

Pilecki pisał w raporcie o odbywających się niemieckich „eksperymentach" polegających na sterylizacji kobiet i mężczyzn za pomocą promieniowania rentgenowskiego. Uciekł z Auschwitz pod koniec kwietnia 1943 r., a Deringa zmuszono do usuwania zniszczonych gruczołów w maju 1943 r. A zatem – nie tylko „na tę chwilę", ale na zawsze – możemy uznać za pewne, że Pilecki nie wiedział, że lekarz przeprowadzał tego rodzaju operacje.

W procesie karnym sąd rozpatruje wszelkie wątpliwości na korzyść oskarżonego. Michał Wójcik nie jest, oczywiście, sędzią, lecz autorem książki o obozach zagłady. Stosuje metodę dokładnie odwrotną: wszelkie wątpliwości rozstrzyga na niekorzyść Władysława Deringa. Tylko że nie ma to nic wspólnego z obiektywnym spojrzeniem badacza historii.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl baf56fd269

REPUBLIKA

DZIENNIKARSKI POKER

Zapraszają:

Adrian Stankowski
Marcin Bąk
Tomasz Sakiewicz

od **poniedziałku**
do **środy**
19:05

oglądaj również na www.tvrepublika.pl

1586 r. / Tajemnice zgonu Stefana Batorego

Jan Matejko „Batory pod Pskowem" FOT. ZAMEK KRÓLEWSKI W WARSZAWIE

Uremia czy arszenik

Sławomir Koper

Trzy dni chorował i popijał wino, czwartego dnia już nie przeżył...

Batory wydawał się okazem zdrowia, a opinię tę zdawały się potwierdzać odporność na trudy wojenne i upodobanie do łowów. Król polował wszędzie i zawsze, bez względu na pogodę i porę roku. Jednak najbliżsi współpracownicy dobrze wiedzieli, że stan zdrowia króla budził obawy. Jeszcze w Siedmiogrodzie zdarzały mu się tajemnicze omdlenia czy zapaści, chociaż w miarę szybko dochodził do siebie. Podejrzewano epilepsję, chociaż miały one charakter ataków o wręcz katatonicznym charakterze.

Ojciec władcy cierpiał na gruźlicę kości i artretyzm, dożył jednak 57. roku życia, co w tamtej epoce nie było najgorszym wynikiem. Matka zmarła natomiast na zapalenie opłucnej, a jego dwaj bracia z powodu artretyzmu. Stefan Batory był zatem obciążony dziedzicznie.

Od wczesnej młodości cierpiał także z powodu niezagojonego wrzodu pod prawym kolanem. Wykwit przypominał otwartą ranę i stale ciekła z niego ropa o przykrym zapachu. Podobno przyczyną schorzenia było pokąsanie przez psa, którego skutków nie potrafiono wyleczyć. Jeszcze w Siedmiogrodzie niemieccy lekarze próbowali doprowadzić do zagojenia wrzodu, co przyniosło fatalne efekty. Batory miał doznać ataku, stracił mowę, nie mógł

eprasa.pl baf56fd269

się poruszać, chociaż zachował przytomność umysłu. Od tej pory wrzód pozostawiano otwarty, a czasami wręcz jątrzono go, „przyżegując skórę rozpalonym żelazem, aby ściągnąć wydzieliny ku dołowi". Czasami też otwierano żyły na drugiej nodze, by „zła materia" nie „rzucała się choremu na mózg". Z perspektywy czasu trudno powiedzieć, jakie były przyczyny schorzenia, ale wydaje się, że zabiegi medyków przynosiły władcy ulgę. Nie zmienia to faktu, że na dworach europejskich plotkowano, iż król ma na nodze „czarnego psa".

Ostatecznie z wrzodem poradzono sobie w sposób dość nietypowy. Przyboczny lekarz króla, Mikołaj Buccella, przygotował specjalny „jątrznik" wyposażony w kolce, który ciągle przebijał ranę. Dzięki temu ropa cały czas wypływała, co znacznie poprawiało samopoczucie chorego. Ilość nieczystości wypływających z królewskiej nogi musiała być jednak znaczna, co potwierdzają rachunki za bandaże, płótna i maści wystawiane przez jedną z aptek krakowskich.

Miał wrogów

Za największy sukces Batorego uważa się trzy zwycięskie kampanie przeciwko Moskwie w latach 1579–1581. Rok później zawarto w Jamie Zapolskim bardzo korzystny rozejm z Rosjanami na 10 lat, król miał jednak apetyt na dalsze sukcesy. Sprzyjała mu sytuacja polityczna, gdyż w marcu 1584 r. zmarł Iwan Groźny, a jego następca był osobnikiem ograniczonym umysłowo.

Nie wiadomo jednak, jak daleko sięgały plany króla. Można bowiem podejrzewać, że myślał o podboju Rosji i założeniu Czapki Monomacha na swoją głowę. Nie było to nierealne, gdyż część moskiewskiego bojarstwa z tęsknotą obserwowała swobody szlacheckie w Polsce i na Litwie. Różnice wyznaniowe również nie stwarzały problemu, gdyż w Rzeczypospolitej nie brakowało prawosławnych i nikt ich nie prześladował.

Trudno zresztą ustalić, czy był to ostateczny cel Batorego, czy też władca traktował przyszłą wojnę z Moskwą jako wstęp do udziału w lidze antytureckiej mającej na celu usunięcie Osmanów z Europy. Przy okazji odzyskano by też część Węgier okupowanych przez wojska padyszacha, co zawsze Batoremu leżało na sercu. Ale był zbyt wytrawnym politykiem, by samotnie wdawać się w awanturę z Turkami. Pamiętał doskonale o losie Władysława Warneńczyka, a dobro Rzeczypospolitej było dla niego najwyższym prawem.

Sukcesy Batorego obserwowano w Europie bez specjalnego entuzjazmu. Habsburgowie od dawna byli sprzymierzeńcami Moskwy i traktowali związki z Kremlem jako element nacisku na Polskę i Litwę. Turcja nie była zachwycona wywyższeniem jej byłego lennika, który mógł stać się niebezpieczny, a Francja tradycyjnie pielęgnowała dobre stosunki z Osmanami. Nawet w dalekiej Anglii z niepokojem obserwowano poczynania polskiego króla, gdyż nad Tamizą przykładano wielką wagę do handlu z Rosją.

Grudzień 1586 r.

Z ostatnich dni Batorego zachowały się relacje jego lekarzy, które w wielu miejscach nie są zgodne. Dwaj najważniejsi medycy – Niccolò Buccella i Simon Simonius – byli bowiem ze sobą skłóceni i ostro rywalizowali o względy króla. Niewielką rolę odgrywał natomiast polski lekarz, Jakub Gosławski, który przy ambitnych Włochach nie miał nic do powiedzenia.

Pierwsze symptomy choroby pojawiły się niebawem po przybyciu Batorego do Grodna. Wieczorem 3 grudnia król, powracając z łowów, poczuł ból w piersiach i duszności, a do tego miał wrażenie, jakby go „pchły kąsały". Objawy powróciły po dwóch dniach, a niebawem doszła jeszcze gorączka. Chory skarżył się na ból głowy i poczucie ociężałości, a gdy nocą udał się do toalety, stracił przytomność i upadł, odnosząc rany na twarzy i nodze.

8 lub 9 grudnia wieczorem (źródła różnią się w tej kwestii) król doznał ataku przypominającego epilepsję. Tak przynajmniej twierdził Buccella, natomiast Simonius uważał, że był to efekt astmy i przeziębienia. Co gorsza, medycy proponowali odmienne kuracje, a Batory nie mógł się zdecydować na żadną z nich. Simonius pozwalał też władcy pić wino, czego Buccella kategorycznie zakazywał. Król był jednak miłośnikiem dobrych trunków, a chociaż nie były to zbyt wielkie ilości (dwa kielichy do posiłków), to dodatkowo na śniadanie jadał chleb maczany w winie i nie potrafił zrezygnować z tego przyzwyczajenia.

Kolejnego dnia jednak nie poprzestał tylko na maczaniu chleba i za radą Simoniusa wypił trochę mocnego wina węgierskiego. Zaczęło go wówczas dręczyć pragnienie, które nie ustępowało

eprasa.pl baf56fd269

przez cały dzień. Poza tym jednak czuł się dobrze i po obiedzie ponownie pił wino, a w nocy przyszedł kolejny atak. Stracił przytomność, kończyny stały się zimne, a tętno bardzo niewyraźne. Jednak stosunkowo szybko powrócił do siebie, chociaż medycy zwrócili uwagę na wyjątkowo ciemny mocz chorego. Uznali jednak, że był to efekt zażywanych lekarstw.

Sytuacja powtórzyła się kolejnej nocy. Tym razem atakowi towarzyszyły duszności, chociaż nie były tak mocne jak poprzednio. Chory jednak wciąż nie tracił dobrego samopoczucia i rankiem do śniadania znów zażądał wina. A chociaż był człowiekiem bardzo wierzącym, to nie poprosił o wizytę księdza ani nie dokończył testamentu, który zabrał ze sobą do Grodna. Najwyraźniej był dobrej myśli i nie uważał schorzenia za śmiertelne.

W piątek władca przy śniadaniu ponownie pił wino, „więcej nawet niż kiedykolwiek podczas całej choroby", jednak zaraz potem poczuł się gorzej. Tuż przed wieczorem nadszedł kolejny atak połączony z silnymi dusznościami, a potem jeszcze jeden, którego król już nie przeżył. Był 12 grudnia 1586 r., Stefan Batory w chwili śmierci miał 53 lata.

Zgon władcy wywołał szok w Rzeczypospolitej, gdyż władca był uważany za człowieka o znakomitym zdrowiu. Nic zatem dziwnego, że pojawiły się pogłoski o truciźnie, które zresztą do dzisiaj są powtarzane. I oczywiście wraz z nimi pytanie: Cui prodest? Śmierć króla była jednak na rękę tak dużemu gronu europejskich polityków, że trudno było wskazać najbardziej podejrzanego. Poza Habsburgami, Moskwą, Turcją czy Francją nawet Szwecja mogła zyskać na usunięciu monarchy. Batory przecież opanował Inflanty, do których Sztokholm zgłaszał pretensje. Natomiast w Anglii odetchnięto z ulgą, że wyprawa na Moskwę stała się nieaktualna i nic nie zagrozi handlowi z Rosjanami.

Trudno nie zauważyć, że skoro tak wielu osobom w Europie zależało na usunięciu króla, to dziwne, że dożył aż 53. roku życia. Przecież na polskim dworze powinno się wręcz roić od agentów i skrytobójców, a tryb życia władcy umożliwiał organizację zamachu. Zawsze przecież mogło dojść do wypadku na polowaniu czy też dyskretnego zabójstwa w leśnej głuszy. Nic takiego się jednak nie stało, a w zamian pojawiły się plotki o truciźnie.

Stefan Batory, grafika z XVII w. Poniżej, po lewej: herb Batorych

FOT. WIKIMEDIA COMMONS

Współpracownicy króla w ogóle jednak nie brali pod uwagę nienaturalnej przyczyny śmierci. Dla nich był to efekt choroby i konsekwencja złego stanu zdrowia monarchy. Uznano, że ewentualnie można było mieć pretensje do lekarzy, którzy nie potrafili uporać się ze schorzeniem. Obu włoskich medyków wezwano zresztą na obrady sejmowe w celu udzielenia wyjaśnień, ale do przesłuchania ostatecznie nie doszło. Śmierć Batorego w niczym też nie zaszkodziła karierze Buccelli, który został lekarzem Zygmunta III Wazy. Natomiast Simonius przebywał przez pewien czas na Morawach i w Pradze, ale później powrócił do Polski.

Obu medykom wcale zresztą nie zależało na wyciszeniu sprawy i podjęli zażartą polemikę na temat błędów medycznych podczas ostatniej choroby Batorego. Kłótnia nie miała charakteru prywatnej dyskusji, gdyż antagoniści drukowali i rozprowadzali broszury z zarzutami (łącznie obejmujące ponad 1000 stron!). Buccella zarzucał Simoniusowi, że przyspieszył śmierć króla, pozwalając mu pić wino, ale po pewnym czasie przyznał, że gdyby Batory zachował wstrzemięźliwość, to żyłby „dzień, a może dwa dni dłużej". W miarę rozsądne argumenty polemistów utonęły jednak z czasem we wzajemnych oskarżeniach o szarlatanerię i brak kompetencji. Na koniec jednak Buccella wyciągnął najcięższy argument, zarzucając oponentowi podanie Batoremu trucizny. Świadczyć miał o tym fakt, że Simonius osobiście serwował królowi wino podczas choroby, co nie należało do jego obowiązków. A jak wiadomo, smak trunku najlepiej kamufluje obecność toksyn.

Być może jednak oskarżenia Buccelli były tylko odpowiedzią na insynuację Simoniusa, który twierdził, że oponent otruł własną żonę. Ważniejsze jednak okazało się, że nikt właściwie nie potraktował poważnie zarzutu o otruciu króla. A może wszyscy byli już zmęczenie ich sporem?

400 lat później

Wbrew informacjom do dzisiaj pokutującym w wielu publikacjach po śmierci Batorego nie wykonano sekcji zwłok. Były to bowiem czasy, gdy na autopsję należało uzyskać osobistą zgodę papieża i jeżeli faktycznie dokonywano podobnych zabiegów, to wyłącznie w celach badawczych na ciałach skazańców. Natomiast w przypadku króla Stefana tylko zabezpieczono jego ciało przed rozkładem, gdyż w Polsce był obyczaj, że pogrzebem zmarłego władcy zajmował się jego następca.

Zachowała się relacja z zabiegów konserwujących zwłoki króla. Ciało zostało rozcięte w celu usunięcia wnętrzności i przy okazji opisano stan narządów. Lekarze zwrócili uwagę na zmiany w płucach, co mogło sugerować stan zapalny. Najważniejsza była jednak opinia o nerkach, które okazały

eprasa.pl baf56fd269

się wyjątkowo duże, tak że porównano je do nerek wołu.

Relacja z oględzin narządów wewnętrznych króla stała się podstawą do zwołania w 1933 r. konsylium lekarskiego mającego ustalić przyczyny jego zgonu. W jego skład weszli wybitni specjaliści, którzy uznali, że najprawdopodobniejszą przyczyną śmierci króla było zwyrodnienie torbielowate nerek. Choroba trwała zapewne całymi latami, aż wreszcie doprowadziła do uremii. Nie wykluczono również zapalenia płuc, które dodatkowo mogło pogorszyć stan zdrowia chorego.

Ważne spostrzeżenie zgłosił jeden z członków konsylium, prof. Franciszek Walter. Zwrócił uwagę, że na większości portretów z epoki król Stefan miał półprzymknięte oczy, co jest charakterystycznym objawem choroby nerek. Wszystko zatem wskazuje, że król zmarł w efekcie przewlekłego schorzenia, które niespodziewanie przeszło w ostre stadium. Medycyna tamtych czasów nie była w stanie uratować władcy, a lekarze ani nie przyspieszyli, ani nie opóźnili zgonu.

Wyniki konsylium nie przekonały jednak niedowiarków i teorie o otruciu Batorego dalej się pojawiały. Najlepszym ich przykładem jest książka „Czy królobójstwo?" z 1964 r. lekarza i historyka amatora, Hermana Zdzisława Scheuringa, gdzie autor usiłował udowodnić tezę, że Batory został otruty. Winowajcami mieli być jednak nie Habsburgowie, Moskale czy Turcy, lecz

SŁAWOMIR KOPER „HISTORYCZNE ARCHIWUM X. TAJEMNICZE ZGONY ZNANYCH POLAKÓW"

protestanci obawiający się zwycięskiej wojny króla z Rosją i wzmocnienia katolicyzmu w Europie. Ponieważ masoneria jeszcze nie funkcjonowała, a templariusze już zniknęli w pomroce dziejów, Scheuring za główną siłę sprawczą uznał różokrzyżowców.

Faktycznie, ruch ten niebawem miał zdobyć popularność wśród europejskich elit, a z czasem stać się prekursorem wolnomularstwa. Trzeba jednak przyznać, że dopatrywanie się kontynentalnego spisku protestantów przeciwko Batoremu wydaje się – delikatnie mówiąc – nieco absurdalne. Wprawdzie faktycznie wiele europejskich państw było zainteresowanych wyeliminowaniem polskiego króla, ale trudno podejrzewać, by miała miejsce jakaś zmowa protestantów w sprawie otrucia Batorego. Tym bardziej że poszczególne odłamy reformacji zwalczały się wzajemnie z zajadłością nie gorszą od inkwizycji. Batory natomiast faktycznie był głęboko wierzącym katolikiem, ale obce mu było nawracanie protestantów siłą. Pochodził bowiem z Siedmiogrodu, gdzie w mniej więcej równych proporcjach żyli katolicy, luteranie, kalwini i unitarianie.

Scheuring podjął się także innej interpretacji sporów pomiędzy Buccellą a Simoniusem. Medycy mieli prowadzić ze sobą zajadłą polemikę wyłącznie po to, by zakamuflować otrucie króla. Wcale też ze sobą nie rywalizowali i rozmyślnie wprowadzali w błąd otoczenie. Obaj pozostawali bowiem na żołdzie różokrzyżowców.

Także zwłoka w pogrzebie króla miała służyć ukryciu faktu królobójstwa. Specjalnie odczekano, by ciało „dobrze przegniło" i zniknęły dowody zbrodni. Miały ją jednak potwierdzać oględziny szczątków Batorego, do których doszło przy okazji odnalezienia w 1877 r. jego grobowca na Wawelu. Zwłoki zachowały się w zaskakująco dobrym stanie, co według Scheuringa miało być dowodem na działanie arszeniku.

Największą abstrakcją jest jednak stwierdzenie lekarza, że otwarcie ciała króla po śmierci nie miało na celu zabezpieczenia zwłok przed rozkładem, tylko pohańbienie zgodne z obyczajami różokrzyżowców. W podobny bowiem sposób postępowano z ciałami straconych katolików w ówczesnej Anglii i dlatego przeniesiono ten specyficzny obyczaj na grunt polsko-litewski...

Tezy Scheuringa stanowią zadziwiający zbiór luźnych domysłów, hipotez i wyrwanych z kontekstu wypowiedzi, gdzie wszystko zostało z góry podporządkowane tytułowej tezie. Bez wątpienia błędnej, gdyż według opinii lekarzy wydanej na podstawie dostępnych źródeł, Stefan Batory zmarł na uremię.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

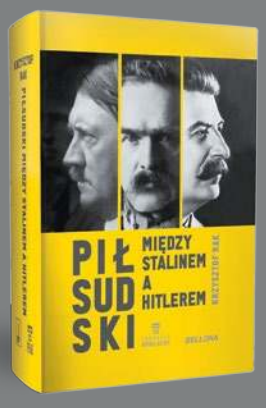

MISTERNA GRA Piłsudskiego ze Stalinem przeciwko Hitlerowi

Polecamy również:

KSIĘGARNIE Świat Książki swiatksiazki.pl FUNDACJA HISTORIA i KULTURA BELLONA

eprasa.pl baf56fd269

Świadek historii / Z powstańcem warszawskim Jerzym Sułkowskim

rozmawia Piotr Włoczyk

Piekło przy Krasińskiego 20

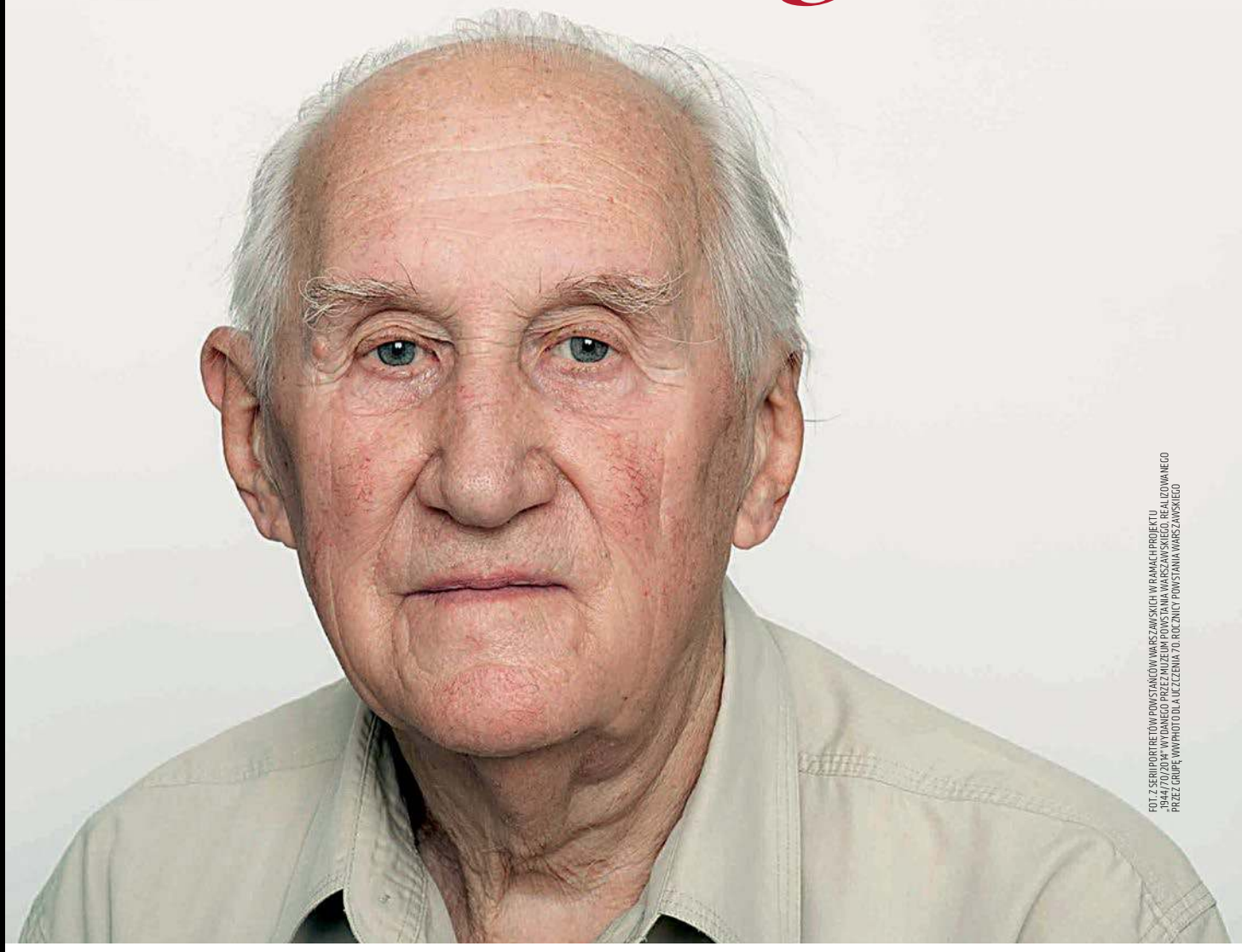

FOT. Z SERII PORTRETÓW POWSTAŃCÓW WARSZAWSKICH W RAMACH PROJEKTU „1944/70/2014" WYDANEGO PRZEZ MUZEUM POWSTANIA WARSZAWSKIEGO, REALIZOWANEGO PRZEZ GRUPĘ WWPHOTO DLA UCZCZENIA 70. ROCZNICY POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

eprasa.pl baf56fd269

– Po oddaniu kilku strzałów usłyszałem straszny huk i poczułem sypiący się na mnie gruz. Momentalnie zrobiło mi się gorąco na twarzy... – mówi Jerzy Sułkowski ze Zgrupowania „Żyrafa"

PIOTR WŁOCZYK: Ile razy otarł się pan o śmierć w ciągu tamtych 63 dni?

JERZY SUŁKOWSKI: Na barykadzie przy ul. Krasińskiego 20 praktycznie codziennie człowiek mógł zginąć, ale najgorzej było podczas bliskiego spotkania z czołgiem. To się zdarzyło 30 września, pod sam koniec powstania. Rankiem wycofaliśmy się z barykady przy ul. Krasińskiego 20 i zajęliśmy stanowiska na V Kolonii WSM (ul. Słowackiego 5/13). W kuchni mieszkania na pierwszym piętrze od ul. Filareckiej znajdowały się małe okienka tuż pod sufitem, skąd był dobry ostrzał ul. Felińskiego, na której już byli Niemcy. Po pewnym czasie zaczęli tam jednak spędzać ludność cywilną, w związku z czym dalszy ostrzał tego miejsca stał się niemożliwy.

Zawiadomiono mnie, że na podwórku IV Kolonii WSM (ul. Krasińskiego 16) znajdują się już Niemcy. Przeszedłem do okna na klatce schodowej. Na podwórzu VI Kolonii stały dwa czołgi z lufami skierowanymi w naszą stronę, a między nimi piechota. Po oddaniu kilku strzałów usłyszałem straszny huk i poczułem sypiący się na mnie gruz. Momentalnie zrobiło mi się gorąco na twarzy...

Tak właśnie wyglądało Powstanie Warszawskie – pan strzelał do nich z mauzera, a oni wypalili do pana z czołgu.

To, co się działo potem, pamiętam jak przez mgłę… Ktoś prowadzi mnie oszołomionego po schodach i przekazuje w ręce sanitariuszek. Po odzyskaniu przytomności ze zdziwieniem stwierdziłem, że całą głowę mam owiniętą bandażami. Sanitariuszki pozostawiły mi tylko mały otwór na usta i dwa otwory na oczy. Druga śmiertelnie groźna dla mnie sytuacja miała miejsce tuż po kapitulacji powstania, gdy prowadzili nas do niewoli. Byłem półprzytomny i kompletnie zapomniałem, że w plecaku wciąż miałem dwa granaty obronne. Zmroziło mnie, gdy zdałem sobie z tego sprawę… Natychmiast podszedłem do pilnującego nas wachmana i powiedziałem mu, że muszę iść do latryny – drewnianego budynku znajdującego się parę metrów od naszej kolumny.

Nie wiem, dlaczego ten Niemiec się zgodził, przecież mógł zignorować moją prośbę. Być może moja zabandażowana twarz wzbudziła w nim odrobinę litości. Koniec końców wyrzuciłem zawartość plecaka do latryny. Gdyby Niemcy odkryli to przy mnie, to na pewno nie rozmawiałbym z panem.

Niemcy nie potrzebowali przecież żadnego pretekstu, by zabijać powstańców. Takie sytuacje zdarzały się nawet po kapitulacji, gdy już uznali ich za żołnierzy, którym przysługuje ochrona jak wszystkim innym jeńcom.

Sam byłem świadkiem takiego mordu. Po kapitulacji kolega oddał broń, ale odmówił zdjęcia z ramienia biało-czerwonej opaski. Stojący obok wielkiego kosza na broń i amunicję Niemiec wyciągnął pistolet i po prostu zastrzelił go na miejscu.

Przerażająca musiała być ta przypadkowość...

To była loteria. Dla mnie wyjątkowo wstrząsająca i bardzo osobista zarazem jest historia mojego przyjaciela, który mieszkał na Żoliborzu niemal po sąsiedzku. Jego matka nie pozwoliła mu iść do powstania, bo był jedynakiem. Błagał ją, ale matka była nieugięta, postawiła na swoim i zaryglowała się z nim w domu. Któregoś dnia przechodzący pod domem Niemcy wrzucili przez okno granat i nie miałem już przyjaciela…

Urodził się pan w 1928 r., czyli idąc do powstania, miał pan 16 lat.

Ale już od roku byłem w tzw. Bojowych Szkołach, które były stopień niżej od Grup Szturmowych Szarych Szeregów. Początkowo wykonywałem małą robotę wywiadowczą polegającą na raportowaniu na temat ruchu niemieckich kolumn i brałem udział w akcjach tzw. małego sabotażu – malowaliśmy kotwice na ścianach i odpowiednio „dekorowaliśmy" gadzinówkę „Nowy Kurier Warszawski", ale także wybijaliśmy szyby w sklepach dla Niemców. Udział w powstaniu był więc dla mnie naturalną konsekwencją zaangażowania w działalność podziemną. My naprawdę nie mogliśmy się doczekać walki z Niemcami.

AK-owcy często wykazywali się niezwykłą wyobraźnią, jeżeli chodzi o pseudonimy, ale pański pseudonim wygląda jednak wyjątkowo ciekawie. Skąd się wzięła „Konduktorka"?

To wszystko przez moje zamiłowanie do sportu. Mimo okupacji nastolatek pozostaje nastolatkiem i musi się wyszaleć na boisku. Graliśmy w piłkę nożną, siatkówkę, ale razem z kolegą Andrzejem Jachymczykiem „Azjatą" uprawialiśmy jeszcze jeden „sport". Z perspektywy lat muszę przyznać, że było to bardzo ryzykowne, wręcz głupie zajęcie. Mianowicie wskakiwaliśmy razem z „Azjatą" w pełnym pędzie do tramwajów i w taki sam sposób „wysiadaliśmy" z nich. Zabawa był tym lepsza, im większe było ryzyko. A oczywiście najbardziej ryzykowne było wskakiwanie do pierwszego wagonu. Z tej całej głupiej zabawy tyle było przynajmniej pożytku,

Pluton 227 Zgrupowania „Żyrafa" FOT. ARCHIWUM JERZEGO SUŁKOWSKIEGO

eprasa.pl baf56fd269

że raz udało się ostrzec ludzi przed niebezpieczeństwem. Może to komuś życie uratowało?

Co to była za sytuacja?

Na pl. Wilsona podjechał tramwaj od strony Śródmieścia i wyskoczyli z niego ludzie, krzycząc, że na ul. Zajączka jest łapanka. Nie namyślając się wiele – ja i „Azjata" – przeskoczyliśmy na drugą stronę linii tramwajowej, wskoczyliśmy w biegu do nadjeżdżającego tramwaju jadącego w kierunku Śródmieścia, zawiadomiliśmy pasażerów, że na ul. Zajączka jest łapanka, i nie dojeżdżając nawet do pl. Inwalidów, spokojnie wyskoczyliśmy. Po dojechaniu do pl. Inwalidów ci z pasażerów, którzy nie mieli pewnych papierów, po prostu wysiedli z tramwaju, unikając łapanki.

Ponieważ, aż wstyd przyznać, byłem w tej jeździe tramwajami naprawdę dobry, koledzy uznali, że powinienem mieć pseudonim związany z tramwajami. Proponowali: „Motorniczy", „Tramwajarz", „Konduktor". Stanęło na tym ostatnim, ale koledzy uznali jednak, że dla całkowitego zmylenia przeciwnika trzeba zrobić ze mnie „Konduktorkę".

Jak się zaczęło dla pana powstanie?

Wraz z „Azjatą" dostaliśmy rozkaz konwojowania broni z mieszkania naszego dowódcy przy ul. Pankiewicza na punkt alarmowy na Żoliborzu. Naszym „towarem" było pięć lub sześć rewolwerów belgijskich kalibru 12 mm. Tramwajem przewieźliśmy je na Żoliborz. To było ok. godz. 15.

Na miejscu dowiedzieliśmy się od dowódcy, że od teraz jesteśmy drużyną 300. plutonu 227. i mamy zapewniać osłonę Dowództwa Obwodu AK „Żywiciel". Dostaliśmy biało-czerwone opaski z nadrukiem „WP 227" oraz legitymacje potwierdzające przynależność do wojska.

Pierwszego dnia powstania dostaliśmy się pod ogień z AWF i tam już mieliśmy pierwszego zabitego. Kolega zginął na kartoflisku, przez które się przeprawialiśmy. W nocy udało nam się przejść do Kampinosu. Mieliśmy nadzieję, że zostaniemy tam dozbrojeni. Niestety, broni więcej nie dostaliśmy, tylko przegrupowali nas i trzeciego dnia powstania wróciliśmy na Żoliborz.

Jak wyglądało pańskie uzbrojenie?

Zawsze powtarzam, że było to uzbrojenie typu „psychologicznego" i dotyczyło to znakomitej większości powstańców. Miałem pistolet – zbrojawkę czeską kaliber siedem, a poza tym trochę granatów i butelek zapalających. Nasze uzbrojenie dawało nam pewien komfort psychiczny – w końcu nie byliśmy zupełnie bezbronni – ale nie ma co ukrywać, że na tle Niemców wyglądało jednak dosyć żałośnie.

Do 12 sierpnia zapewnialiśmy dowództwu osłonę. Potem skierowano nas na pierwszą linię i tam – na barykadzie przy Krasińskiego 20 – byliśmy już do końca powstania. Przydzielono nas wtedy do Zgrupowania „Żyrafa".

Nie miał pan żadnych innych zadań?

Oczywiście, że musieliśmy też robić inne rzeczy, na przykład chodzić po sowieckie zrzuty. W nocy kukuruźniki nadlatywały na niskim pułapie i zrzucały „towar" w oznakowane przez nas ogniskami miejsca. Broń opadała powoli na spadochronach, ale amunicja i jedzenie były wyrzucane w workach i trzeba to było potem zbierać z ziemi. Raz jeden nie trzeba się było ruszać z barykady, żeby odebrać „zaopatrzenie". Ale wtedy sami Niemcy nam to przywieźli pod nos.

Jak to?

No po prostu dwie niemieckie ciężarówki pomyliły się i podjechały pod naszą barykadę. Jeden samochód udało nam się w całości rozładować. W środku były broń, amunicja i sprzęt saperski. Niestety, ładunku drugiego auta nie zdążyliśmy przejąć. Niemcy zorientowali się, że stracili samochody, i ostrzelali drugą ciężarówkę pociskami zapalającymi. Wszystko w okamgnieniu spłonęło.

W czasie służby na barykadzie byłem też wysyłany na pobliskie ogródki działkowe po warzywa. Zdarzało się, że mijaliśmy się tam z Niemcami, ale te „spotkania" przebiegały zupełnie inaczej niż gdzie indziej.

W jakim sensie?

Niemcy też chodzili na ogródki działkowe po zaopatrzenie. Na tamtym terenie nikt nie był zainteresowany walką. Czasem zdarzało się, że niemal mijaliśmy się, niosąc warzywa. Każdy był czujny, ale ewidentnie Niemcy odwracali wzrok, żeby nas nie widzieć. My zresztą też liczyliśmy, że dadzą nam w spokoju wykonać nasze aprowizacyjne zadanie.

Po powstaniu trafił pan do stalagu XI A Altengrabow, a stamtąd do pracy w cukrowni.

To była ciężka robota z minimalnymi racjami żywnościowymi. Na szczęście były buraki i cukier. Na różne sposoby to jedliśmy, oczywiście wbrew niemieckim zarządzeniom. Bez tego kombinowania nie mielibyśmy siły do harówki. Któregoś razu nasi nadzorcy zorientowali się jednak, że w specjalnych woreczkach schowanych pod ubraniem wynosimy

eprasa.pl baf56fd269

Jerzy Sułkowski (pierwszy po lewej) w trakcie powojennej służby w Kompaniach Wartowniczych

FOT. ZBIORY JERZEGO SUŁKOWSKIEGO

cukier, i kazali nam to wysypać i chodzić w kółko po tym godzinami, aż zupełnie wdepczemy tego w ziemię. Ale Niemcy z cukrowni wykazywali się też bezprzykładnym okrucieństwem. Pewnego dnia odkryli, że dwóch z nas uciekło. Każdy miał na ubraniu wymalowane białą farbą litery „KGf" (Kriegsgefangener – jeniec wojenny), więc Niemcy zaczęli szukać człowieka, który pomógł uciekinierom zdobyć cywilne ubrania. Nie wiem dlaczego, ale ich podejrzenie padło na sierżanta Kazimierza Pisarskiego.

Chcąc wymusić na nim zeznanie, komendant zaczął go bić rękojeścią bagnetu po głowie. Sierżant Pisarski zaczął uciekać i schronił się do loszku – zbiornika na popiół. Komendant powoli podszedł do loszku, wyjął pistolet i z zimną krwią go zastrzelił. Wszystko to działo się w obecności świadków. Sierżant został pochowany na cmentarzu w Gatersleben, przy czym władze niemieckie pozwoliły na nasz udział w pogrzebie, oczywiście pod eskortą wachmanów. Następnego dnia komendanta już u nas nie było. Natomiast do Gatersleben przyjechali przedstawiciele Szwajcarskiego Czerwonego Krzyża, którzy wraz z władzami niemieckimi brali udział w dochodzeniu.

W jakich okolicznościach zakończyła się dla pana wojna?

Front był już bardzo blisko, więc Niemcy sformowali z nas kolumnę i wyprowadzili z cukrowni. Przechodziliśmy akurat obok obozu jenieckiego dla żołnierzy angielskich, francuskich i belgijskich. Ich warunki niewoli różniły się diametralnie od naszych. Widzieliśmy, jak tamci jeńcy gotowali sobie coś na kuchenkach spirytusowych oraz na rozpalonych ogniskach. U nas taki luksus był nie do pomyślenia! Nagle na szosie pojawiają się czołgi... Nie wiemy, co robić, natomiast jesteśmy zaskoczeni faktem, że pozostali jeńcy wojenni rzucają wszystko i pędzą w stronę szosy. Okazało się później, że zobaczyli oni na czołgach białe gwiazdy i wiedzieli, że to wojska amerykańskie. Ciekawa również była reakcja czołgistów. Zobaczywszy pędzący w ich stronę tłum jakichś żołnierzy, skierowali w ich stronę lufy karabinów maszynowych. Sprawa się szybko wyjaśniła i po krótkich powitaniach czołgi pojechały w swoją stronę.

W niedługim czasie pojechał pan do Norymbergi i dołączył pan do Kompanii Wartowniczej nr 4247 działającej przy Armii Amerykańskiej. Bił się pan z myślami, czy zostać na Zachodzie?

Dobrze wspominam okres półtorarocznej służby u Amerykanów. W kompaniach wartowniczych było bardzo wielu chłopaków z Brygady Świętokrzyskiej. Pilnowaliśmy magazynów z uzbrojeniem oraz obozów jenieckich. Miałem możliwość wyjazdu do Ameryki i mocno się nad taką ewentualnością zastanawiałem, ale kiedy tylko dostałem informację, że moja mama i siostra – wywiezione po powstaniu do Ravensbrück – przeżyły i wróciły do Warszawy, postanowiłem wracać. Nie wyobrażałem sobie życia poza rodziną. Ojca nie było już z nami, ponieważ pod koniec wojny zginął w obozie Neuengamme. Ostatni raz widziałem go w dniu kapitulacji. Mijaliśmy się, ja miałem zabandażowaną całą głowę i musiałem się przedstawić, żeby mnie rozpoznał. Ten moment jest dla mnie wciąż niezwykle żywy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

77 ROCZNICA Powstania Warszawskiego

Książki znajdziesz: KSIĘGARNIE Świat Książki swiatksiazki.pl

eprasa.pl baf56fd269

Powstanie Warszawskie / W huku strzałów i rytmie wierszy

„Ziutek” z „Parasola”

Maciej Rosalak

Od napisania radosnego „Pałacyku Michla” do tragicznego wezwania–wyzwania Sowietów w „Czerwonej zarazie” nie minęły nawet cztery tygodnie. Ostatnie w życiu tego niespełna 22-letniego autora...

Młodych Polaków przyciąga do niego autentyzm poezji, dramat walki, skazanie w okresie PRL na zapomnienie przez osobników, którzy do pięt temu młodemu patriocie nie dorastali. Pamięć o plutonowym podchorążym Józefie Andrzeju Szczepańskim „Ziutku” z batalionu Kedywu Komendy Głównej Armii Krajowej „Parasol” nadal ani nie jest jednak tak powszechna, ani tak ugruntowana, jak na to zasługiwał.

Urodził się 30 listopada 1922 r. w Warszawie, jako syn prawnika Józefa i Matyldy z domu Ottomańskiej. Poprzez Łęczycę, Grudziądz, Jabłonnę trafił w 1935 r. do Gimnazjum im. Władysława IV w Warszawie. Do momentu wybuchu wojny zdążył zdać tzw. małą maturę. Na początku września daremnie opuścił z ojcem Warszawę. Wkrótce udał się do Krakowa, a następnie do Rzeszowa, gdzie ojciec otworzył kancelarię adwokacką. Tam Józef próbował podjąć dalszą naukę, ale musiał ją przerwać, kiedy aresztowany przez gestapo trafił do obozu pracy przymusowej pod Dębicą. Uciekł stamtąd. Wrócił do Warszawy, mieszkał w pokojach sublokatorskich przy ul. Targowej, potem przy ul. Długiej, ucząc się na tajnych kompletach Gimnazjum im. Władysława IV.

Niewiele zachowało się po nim fotografii. Z najczęściej reprodukowanej patrzy na nas nieśmiały chłopiec o delikatnej buzi, którego można by co najwyżej podejrzewać o pisanie wierszy do sztambucha koleżanki z żeńskiego gimnazjum. Faktycznie, przed dwoma

FOT. WIKIPEDIA

laty odnalazł się taki zeszyt z jego listami i wierszami pisanymi dla Haliny Kolbińskiej, poznanej 19 lutego 1939 r. na zabawie w warszawskim Liceum im. Marii Skłodowskiej-Curie. Nastolatkowie spotykali się tylko pięć miesięcy, do początku września 1939 r. Potem widywali się sporadycznie, ale korespondowali ze sobą do 1943 r., gdy Józef był już zaprzysiężonym żołnierzem Grup Szturmowych Szarych Szeregów. Pisał o tym:

Ma Warszawa gdzieś pod ziemią
Żołnierzy walecznych rój
Siły jej ukryte drzemią
Czekając hasła na bój
Baczność! Brzmi Geesów Zew
I żołnierski śpiew
Szarych szeregów roty
Wskrzesi świt promienny złoty
Gdy w bój wyruszą na zew...

Wiersz liczy sześć strof, a za tytuł – jak i w innych utworach – służy mu incipit, czyli pierwszy wers utworu.

„Agat"–„Pegaz"–„Parasol"

Z GS-ów trafił w 1943 r. wraz z 75 druhami do oddziału dywersji bojowej „Agat" (Anty-Gestapo) Kedywu KG AK, organizowanego przez kpt. Adama Borysa „Pługa". W sylwestra tego roku recytował na koleżeńskim spotkaniu w wynajmowanym mieszkaniu przy ul. Świętojerskiej 12 wiersz „Dziś idę walczyć – Mamo".

Dziś idę walczyć – Mamo!
Może nie wrócę więcej,
Może mi przyjdzie polec tak samo
Jak, tyle, tyle tysięcy

Poległo polskich żołnierzy
Za Wolność naszą i sprawę,
Ja w Polskę, Mamo, tak strasznie wierzę
I w świętość naszej sprawy [...]

To jest tak strasznie dobrze mieć stena w ręku
I śmiać się śmierci prosto w twarz,
A potem zmierzyć – i prać – bez lęku
Za kraj! Za honor nasz!

W styczniu 1944 r. przeznaczony do działań dywersyjnych i wykonywania wyroków Polski Podziemnej na katach naszego narodu oddział nazwano „Pegazem" (Przeciw-Gestapo), a wreszcie – w ramach przygotowań do ostatecznej rozprawy z okupantem – „Parasolem". Nadal pod dowództwem „Pługa" – już majora. A nasz bohater był nadal żołnierzem I plutonu 1. kompanii oddziału „Agat"-„Pegaz" -„Parasol", w plutonie Bronka Pietraszewicza „Lota" – późniejszego dowódcy i głównego wykonawcy zamachu na Kutscherę – oraz członkiem drużyny swego przyjaciela Antoniego Sakowskiego „Mietka", którego zastępcą był Justyn Ignatowicz „Figa". Na początku 1944 r. wchodził w skład zespołu „Mietka" przygotowującego likwidację funkcjonariusza Kripo SS-Sturmbannführera Nüsperlinga.

Akcja nie doszła do skutku, ponieważ równolegle trwały przygotowania do likwidacji Franza Kutschery. 1 lutego 1944 r., po akcji „Kutschera", wchodził w skład 17-osobowego zbrojnego zespołu, który z praskiego Szpitala Przemienienia Pańskiego odbił „Lota" i „Cichego" pilnowanych przez granatowych policjantów. „Ziutek" wraz z trzema kolegami przenosił ciężko rannych do samochodów, które po lewej stronie Wisły musiały podjeżdżać do kolejnych szpitali, by znaleźć pomoc dla pacjentów poszukiwanych już przez Niemców po całym mieście.

Nasz bohater brał udział w akcjach bojowych i szkoleniach w konspiracyjnej podchorążówce. Był wesoły i lubiany. Szybko stał się czołowym bardem oddziału, opisującym najważniejsze wydarzenia i kolegów, którzy w nich uczestniczyli, jak np. „Pieśń podchorążych". Przytoczę dwie z pięciu zwrotek:

Na szkoleniu się zebrała
Sekcyjeczka nasza mała,
Ośmiu chłopców, każdy chłopczyk – chłop na schwał
Po Warszawie wieść już krąży, że w tej klasie podchorążych
Pan Bóg najmorowszych chłopców swoich dał.
[...]
Każdy przeszłość ma bojową,
Każdy gdzieś nadstawiał głową
Każdy rwie się, kiedy akcji przyjdą dni
W dzień im sten i filipinki
W nocy wódzia i dziewczynki,
A ze śmierci każdy sobie równo drwi.

3 maja 1944 r. „Ziutek" ukończył II turnus Szkoły Podchorążych Rezerwy Piechoty „Agricola", a egzaminem końcowym było nocą z 3 na 4 kwietnia wykolejenie i ostrzelanie pociągu na trasie Warszawa-Poznań (akcja „Płochocin"). „Ziutek" uzbrojony w pistolet maszynowy Schmeisser, pistolet i dwa granaty wchodził w skład grupy uderzeniowej. Kilka dni potem – 12 kwietnia 1944 r. – gestapo wtargnęło do mieszkania „Ziutka" przy ul. Długiej 10, z którego, po rzuceniu w Niemców kilku granatów, udało mu się szczęśliwie zbiec. W lokalu zginął jednak „Figa".

11 lipca 1944 r. w Krakowie uczestniczył w nieudanym zamachu na SS-Obergruppenführera Wilhelma Koppego. Przeżył dramatyczny odwrót warszawskiej ekipy z Krakowa, a swoje przeżycie zapisał w następującym czterowierszu:

Hej, zbudziły się po kryptach króle,
Sam marszałek się w trumnie obrócił,
Gdy gwizdnęły nasze pierwsze kule,
I któryś filipinką rzucił...

Kolega z oddziału, Kazimierz Kamiński „Mazur", mówił przed laty w Polskim Radiu: „On był naprawdę bohaterem. Był dzielnym żołnierzem, zazdrościliśmy mu. Dobrze zbudowany warszawski chłopak, aż miło było popatrzeć. Odważny, koleżeński, bardzo lubiły go dziewczyny – miał powodzenie, ale my też go ceniliśmy".

Tacy to byli chłopcy z Szarych Szeregów – najlepszej i najtragiczniejszej młodzieży w naszych dziejach. Tacy jak w wierszu, który stał się hymnem harcerskiego batalionu Armii Krajowej „Parasol":

Chłopcy silni jak stal,
Oczy patrzą się w dal:
Nic nie znaczy nam wojny pożoga!
Hej, sokoli nasz wzrok,
W marszu sprężysty krok
I pogarda dla śmierci i wroga.

Gotuj broń! naprzód marsz ku zwycięstwu!
W górę skroń! orzeł nasz lot swój wzbił!
Chłopcy silni jak stal, oczy patrzą się w dal.
Hej, do walki nie zbraknie nam sił!
Godłem nam Biały Ptak,
A „Parasol" to znak,
Naszym hasłem piosenka szturmowa!
Pośród kul, huku dział
Oddział stoi, jak stał,
Choć poległa już chłopców połowa.
Dziś padł on, jutro ja, śmierć nie pyta.

eprasa.pl baf56fd269

Gotuj broń! krew ci gra boju zew!
Chłopcy silni jak stal, oczy patrzą się w dal,
A na ustach szturmowy nasz śpiew!

A gdy miną już dni
Walki, szturmów i krwi,
Bratni legion gdy z Anglii powróci
Pójdzie wiara gromadą
Alejami, z paradą,
I tę piosnkę szturmową zanuci.

Panien rój, kwiatów rój i sztandary.
Równy krok, śmiały wzrok, bruk aż drży.
Alejami z paradą będziem szli defiladą
W wolną Polskę, co wstała z naszej krwi...

W powstaniu

Zgrupowanie „Radosław" składało się z elitarnych, walczących już z bronią w ręku batalionów Kedywu KG AK: „Czata 49", „Miotła", „Parasol", „Pięść", „Zośka" (batalion „Zośka" stanowił trzon Brygady Dywersyjnej „Broda 53", do której należały jeszcze m.in. kompanie: „Topolnicki", motorowa „Żuk" i kobieca „Dysk"). Wedle ciekawego opracowania, jakie w obozie jenieckim w Murnau stworzyli dwaj oficerowie ze ścisłego sztabu ppłk. Jana Mazurkiewicza „Radosława" – mjr Wacław Chojna „Horodyński" i por. Stanisław Wierzyński „Klara" – całe Zgrupowanie liczyło latem 1944 r. ok. 1,7–1,8 tys. żołnierzy.

Wielu żołnierzy jeszcze nie miało broni. Oto, przykładowo, ordre de bataille „Brody" i „Parasola". Brygada Dywersyjna (z „Zośką") – „ok. 500 ludzi łącznie z kobietami. Stan uzbrojenia na 30 proc. ludzi, przeważnie pistolety maszynowe różnego typu, 2 rkm oraz granaty różnego typu. »Parasol« – stan ok. 400–500 ludzi, uzbrojenie 40 proc. na stan ludzi, pistolety maszynowe różnego typu, kilka kb i rkm, granaty różnego typu".

Według powojennych obliczeń 1 sierpnia batalion liczył 280 ludzi, z czego 172 ze składu konspiracyjnego. Resztę stanowili głównie ochotnicy, którzy napłynęli do oddziału w pierwszych godzinach powstania. Bardzo szybko rozrósł się jednak do stanu, który podali dwaj sztabowcy. Oto 3 sierpnia 1944 r. stan batalionu powiększył się do 541 osób, by 8 sierpnia osiągnąć stan 574 żołnierzy, z czego 369 ze składu konspiracyjnego (z tego składu nie dołączyło 80 ludzi, którzy walczyli w szeregach innych oddziałów AK). Od walk odwrotowych z Woli, a potem podczas wyjątkowo krwawej obrony Starego Miasta stan tylko malał, aż na Powiślu niedobitki „Parasola i „Zośki" biły się w jednym oddziale o sile kompanii...

Pierwszym zadaniem Kedywu na Woli była osłona znajdującej się tam Komendy Głównej AK. Biorąc pod uwagę lepsze wyszkolenie, doświadczenie oraz uzbrojenie niż innych oddziałów w mieście, a także znakomite morale, było to najmocniejsze zgrupowanie w wojskach powstańczych. Miało stanowić odwód do wykonywania rozstrzygających uderzeń w bitwie o Warszawę. Tymczasem realia nierównej walki z uzbrojonym po zęby wrogiem sprawiły, że kadrowe oddziały harcerskie od samego początku posyłano na najbardziej zagrożone odcinki. Najbardziej też krwawiły.

Oto szlak bojowy „Ziutka". W dniach 4–5 sierpnia 1944 r. „Ziutek" brał udział w obronie kompleksu zabudowań „Getreide Industrie-Werke", czyli: młyna, fabryki makaronów, magazynów oraz „pałacyku", a właściwie jednopiętrowej kamieniczki Karola Michlera przy ul. Wolskiej 40. Wtedy wygłosił swój wiersz „Pałacyk Michla", który w następnych dniach – już śpiewany na melodię „Nie damy popradowej fali / Spisza z Orawą, z praojców sławą..." zwanej też Hymnem Podhalańskim, skomponowanym w latach 20. przez Józefa Stiastnego do słów Zygmunta Lubertowicza – stał się szlagierem całego batalionu. Przytaczam ze skrótem dwóch zwrotek:

Pałacyk Michla, Żytnia, Wola,
Bronią jej chłopcy od Parasola,
Choć na Tygrysy mają Visy
To warszawiacy fajne urwisy. Hej, tralala.
Czuwaj wiara i wytężaj słuch
Pręż swój młody duch, pracując za dwóch
Hej, czuwaj wiara i wytężaj słuch
Pręż swój młody duch jak stal!

Każdy z chłopaków chce być ranny,
Sanitariuszki śliczne są panny,
A gdy cię kula trafi jaka
Poprosisz pannę, da ci buziaka. Hej, tralala. [...]

Wiara się bije, wiara śpiewa,
Niemcy się złoszczą, krew ich zalewa,
Różnych sposobów się imają,
Co chwila „szafy" nam posuwają. Hej, tralala...
Lecz na nic „szafy" i granaty
Za każdym razem dostają baty
I wkrótce przyjdzie taka chwila,
Że zwyciężymy – i do cywila. Hej, tralala...

W 1. kompanii „Ziutek" walczył pod rozkazami por. Stanisława Leopolda „Rafała", którego łączniczką była Krystyna Wańkowiczówna „Anna", córka Melchiora Wańkowicza. Zginęła, gdy na własną prośbę przyłączyła się do grupy dowodzonej przez Janusza Brochwicz-Lewińskiego „Gryfa", osłaniającej odwrót z Woli. 6 sierpnia 1944 r. siedmioosobowy oddziałek z osłony przechodził Żytnią na cmentarz kalwiński. Tam zostali ostrzelani przez moździerze... Oto straszliwy fragment relacji łączniczki „Zofii": „Leżeli sznurkiem, jeden za drugim, siedmiu zabitych, od strony Żytniej. Wszyscy mieli rany szyi lub głowy. Pierwszy to był młody piękny chłopak z jasną czupryną, drugi starszy człowiek o grubo ciosanej twarzy... Dalej leżała »Anna«".

Od 6 do 8 sierpnia 1944 r. „Ziutek" walczył w obronie cmentarzy kalwińskiego i ewangelickiego. Tu ciężko raniono dowódcę „Parasola". Rosną straty całego Zgrupowania, a podczas krwawego odbijania Stawek i przebicia się do Starego Miasta zginął brat „Radosława" (kpt Franciszek Mazurkiewicz „Niebora", dowódca „Miotły"), a sam „Radosław" został dwukrotnie ranny. 11 sierpnia batalion przeszedł na nietknięte dotąd przez wroga Stare Miasto entuzjastycznie witany przez mieszkańców. Rychło jednak Niemcy zaczęli atakować pozycje powstańcze, a Starówkę bombardować z ziemi i powietrza.

Wraz z całym batalionem „Ziutek" broni Starówki, walcząc w ruinach getta. W tych dniach – 18 i 22 sierpnia – dwukrotnie przyznano mu Krzyż Walecznych. Koledzy giną bądź trafiają z ciężkimi ranami do szpitali polowych po piwnicach. Młody poeta pisze z sarkazmem:

W „Parasolu" jest już taka mania,
że na pluton mówi się kompania.
no i takie trzy plutkompaniony
zwą się szumnie szturm-batalionem.

Dawnych czasów ten nasz tytuł sięga
gdy „Parasol" był jeszcze potęgą:
miał kompanie, plutony, drużyny,
magazyny i własne meliny.
Ale teraz się wszystko zmieniło,
cztery piąte chłopaków ubyło,
wygubiła ich wojny zaraza
gdzieś na Żytniej, Młynarskiej,
cmentarzach.
No i trzeci już tydzień jest przecie

eprasa.pl baf56fd269

Żołnierze „Parasola" podczas powstania FOT. DOMENA PUBLICZNA

gdy „Parasol" wykrwawia się
w getcie
z „Parasola" i dawnej w nim chwały
same nazwy już tylko zostały. [...]

Straty „Parasola" świadczą o zaciętości licznych walk, w których brał udział, jak również o wyjątkowej ofiarności żołnierzy harcerskiego batalionu. Oto tylko polegli w kolejnych dzielnicach: Na Woli – 54, na Starym Mieście – 118; na Czerniakowie – 91, na Mokotowie i w innych rejonach stolicy – 19. Ich kolega pisał:

Już nie wróci twój chłopiec – dziewczyno,
Nie wróci...
Padł na linii za Polskę, za sprawę,
Za zburzoną, skrwawioną Warszawę.
Bił się mężnie i jak żołnierz zginął!
Tyś została i płaczesz dziewczyno,
I tak strasznie ci serce się smuci.
Nie płacz biedna, dziś łzy nie pomogą,
Na próżno...
Nie padł pierwszy i nie padł ostatni,
Ból zduś w głębi i zęby dziś zatnij
I idź dalej ciernistą swą ścieżką
W pierwszej linii, gdzie walczą żołnierze,
Służyć Polsce – jak oni dziś służą!

Z relacji sztabowców: „24 VIII. Sztukasy szaleją. Przed południem Radosław na noszach ze szpitala obejmuje d-twa odcinka i Zgrupowania. […] Oddziały nasze trzymają się w gruzach i zgliszczach. […] 25 VIll. Co godzina nalot. Ogień artylerii, granatników i szaf bez przerwy. Czołgi z piechotą nacierają ze wszystkich stron. PWPW jeszcze się trzyma. […] 26 VIII. W nocy n-pl opanował zabudowania PWPW. Części rannych i ludności cywilnej nie zdołano uratować. Linia obrony zostaje skrócona… […] 27 VIll. Naloty nieprzyjacielskich sztukasów następują regularnie co pół godziny. Natarcia na Nowe Miasto trwają bezustannie. W nocy toczą się walki w samym kościele Panny Marii […]".

27 sierpnia zginął także Stanisław Leopold „Rafał" – dowódca 1. kompanii w batalionie „Parasol" (notabene brat cioteczny kpt. Andrzeja Romockiego „Morro", dowódcy kompanii „Rudy" z „Zośki"). Poeta tak pisał o swoim ukochanym dowódcy:

To był ostatni Twój szturm, Rafale!
Szliśmy z Tobą, Twoja wierna gromada;
Twoja pierwsza kompania szturmowa,
Na Twój rozkaz do zrywu gotowa...
Cień zza murów wnękami się skradał
I pe-emy błyskały zuchwale!... [...]
Ja bym kazał Ci wyjść z tych szeregów,
Żebyś przestał być świętym mordercą,
W świętej sprawie piekielnym sposobem...
Ja bym kazał Ci tylko być sobą ...
Zamiast broni do ręki wziąć serce,
Twoje serce... jaśniejsze od śniegu... [...]

Z relacji sztabowców: „28 VIII. Sytuacja na całej Starówce jest tragiczna. Teren obrony niezmiernie ściśniony. Brak wody, szpitale przepełnione rannymi żołnierzami i ludnością cywilną. Ludność cierpi w piwnicach, ginąc od pożarów i bomb". W takiej sytuacji – 29 sierpnia – „Ziutek" napisał swój ostatni wiersz „Czerwona zaraza" (z największym żalem, z braku miejsca skróciłem o kilka strof):

Czekamy ciebie, czerwona zarazo,
byś wybawiła nas od czarnej śmierci,
byś nam Kraj przedtem rozdarłwszy na ćwierci,
była zbawieniem witanym z odrazą. [...]

Czekamy ciebie, ty odwieczny wrogu,
morderco krwawy tłumu naszych braci,
czekamy ciebie, nie żeby zapłacić,
lecz chlebem witać na rodzinnym progu. [...]

Żebyś ty wiedział dziadów naszych kacie,
sybirskich więzień ponura legendo,
jak twoją dobroć wszyscy kląć tu będą,
wszyscy Słowianie, wszyscy twoi bracia. [...]

Legła twa armia zwycięska, czerwona
u stóp łun jasnych płonącej Warszawy
i ścierwią duszę syci bólem krwawym
garstki szaleńców, co na gruzach kona. [...]

Czekamy ciebie, nie dla nas, żołnierzy,
dla naszych rannych – mamy ich tysiące,
i dzieci są tu i matki karmiące,
i po piwnicach zaraza się szerzy.

Czekamy ciebie – ty zwlekasz i zwlekasz,
ty się nas boisz, i my wiemy o tym.
Chcesz, byśmy legli tu wszyscy pokotem,
naszej zagłady pod Warszawą
czekasz. [...]
Ale wiedz o tym, że z naszej mogiły
Nowa się Polska – zwycięska narodzi.
I po tej ziemi ty nie będziesz chodzić
czerwony władco rozbestwionej siły.

Nocą z 30 na 31 sierpnia brał udział w nieudanej próbie przebicia oddziałów staromiejskich do Śródmieścia. Zadaniem kompanii wydzielonej „Parasola", ugrupowanej w piwnicach Hotelu Polskiego przy ul. Długiej 29, miało być opanowanie Pałacu Radziwiłłów przy ul. Bielańskiej 14, a następnie wylotu Tłomackiego na Bielańską i jej skrzyżowania z ul. Długą. Atak załamał się pod silnym ogniem broni maszynowej i ostrzałem z granatników. Nad ranem żołnierze „Parasola" powrócili na swoje poprzednie stanowiska w gmachu Sądu Okręgowego i w Pałacu Krasińskich.

Tam też 1 września – po śmierci Włodzimierza Kalinowskiego „Włodka" – „Ziutek" objął dowództwo osłony stanowiącej straż tylną Grupy „Północ", ewakuującej się kanałami do Śródmieścia. Grupa broniła północnej pierzei pl. Krasińskich przed atakami piechoty i czołgów z Bonifraterskiej i Świętojerskiej. Kazimierz Kamiński „Mazur" mówił o walce „Ziutka": „Walił jak na zamówienie. Jak któryś mu się tylko pokazał, to nie chybił żadnego. Kiedy repetował karabin, przedstawił mi się: »Wicemistrz Warszawy w strzelaniu – Ziutek«".

Podczas walki prawdopodobne przypadkowo postrzelił go w brzuch i udo – jak relacjonował Ryszard Sas „Krysia" – NN żołnierz „Parasola", celowniczy ręcznego karabinu maszynowego, który usiłował usunąć zacięcie broni. Godzinę przed południem żołnierze „Parasola" zaczęli się wycofywać ze Starówki. Ciężko rannego „Ziutka" przeniesiono kanałami do Śródmieścia i umieszczono w szpitalu polowym przy ul. Czackiego. Po jego zbombardowaniu umieszczono go w szpitalu polowym przy ul. Marszałkowskiej 75 – róg Wilcza 35. Zmarł tam 10 września 1944 r. Jeszcze przed kapitulacją przyznano mu pośmiertnie Virtuti Militari V klasy. Pochowano go na prowizorycznym cmentarzyku w podwórzu kamienicy Marszałkowska 71, a 5 grudnia 1945 r. jego ciało ekshumowano i przeniesiono na Cmentarz Wojskowy Powązki i złożono w Kwaterze Wojennej batalionu „Parasol".

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl baf56fd269

RPA / Książka Cezarego Łazarewicza

Pięć błędów Janusza Walusia

Piotr Zychowicz

Polak zastrzelił komunistycznego przywódcę w biały dzień, bez maski na twarzy i rękawiczek. Tak, jakby chciał, by go złapano

10 kwietnia 1993 r. Janusz Waluś zastrzelił Chrisa Haniego. Polak podjechał pod dom ofiary, wysiadł z samochodu i na podjeździe wpakował w Haniego cztery kule. Gdy rozległy się strzały, w domu znajdowała się jedna z jego nastoletnich córek. Zabójstwa ojca dokonano niemal na jej oczach.

Wydarzenie to wywołało burzę w Republice Południowej Afryki, w której trwał proces demontażu systemu segregacji rasowej – apartheidu. Na ulice wyległy tłumy czarnoskórych. Doszło do zamieszek, masowych aktów wandalizmu, plądrowania sklepów i brutalnych ataków na białych. Afryka zawrzała.

Hani – zaraz po Nelsonie Mandeli – był najbardziej popularnym przywódcą murzyńskim w RPA. Szefem miejscowej partii komunistycznej, dowódcą zbrojnego ramienia Afrykańskiego Kongresu Narodowego – Umkhonto we Sizwe (pol. Włóczni Narodu). Stały za nim zwarte szeregi fanatycznych wyznawców.

W zamyśle Walusia zabicie Haniego miało zatrzymać proces przejęcia władzy w RPA przez czarnych. Stało się jednak odwrotnie – w wyniku jego śmierci proces ten jednak przyspieszył. Zabójstwo stało się jednym z punktów zwrotnych, jednym z najważniejszych wydarzeń w najnowszej historii RPA.

Historia Janusza Walusia – Polaka, który przy pomocy pistoletu usiłował zawrócić bieg historii – stała się kanwą książki Cezarego Łazarewicza „Nic osobistego". Łazarewicz wykonał rzetelną reporterską robotę. Pojechał do RPA i dotarł do wszystkich osób, do których powinien był dotrzeć.

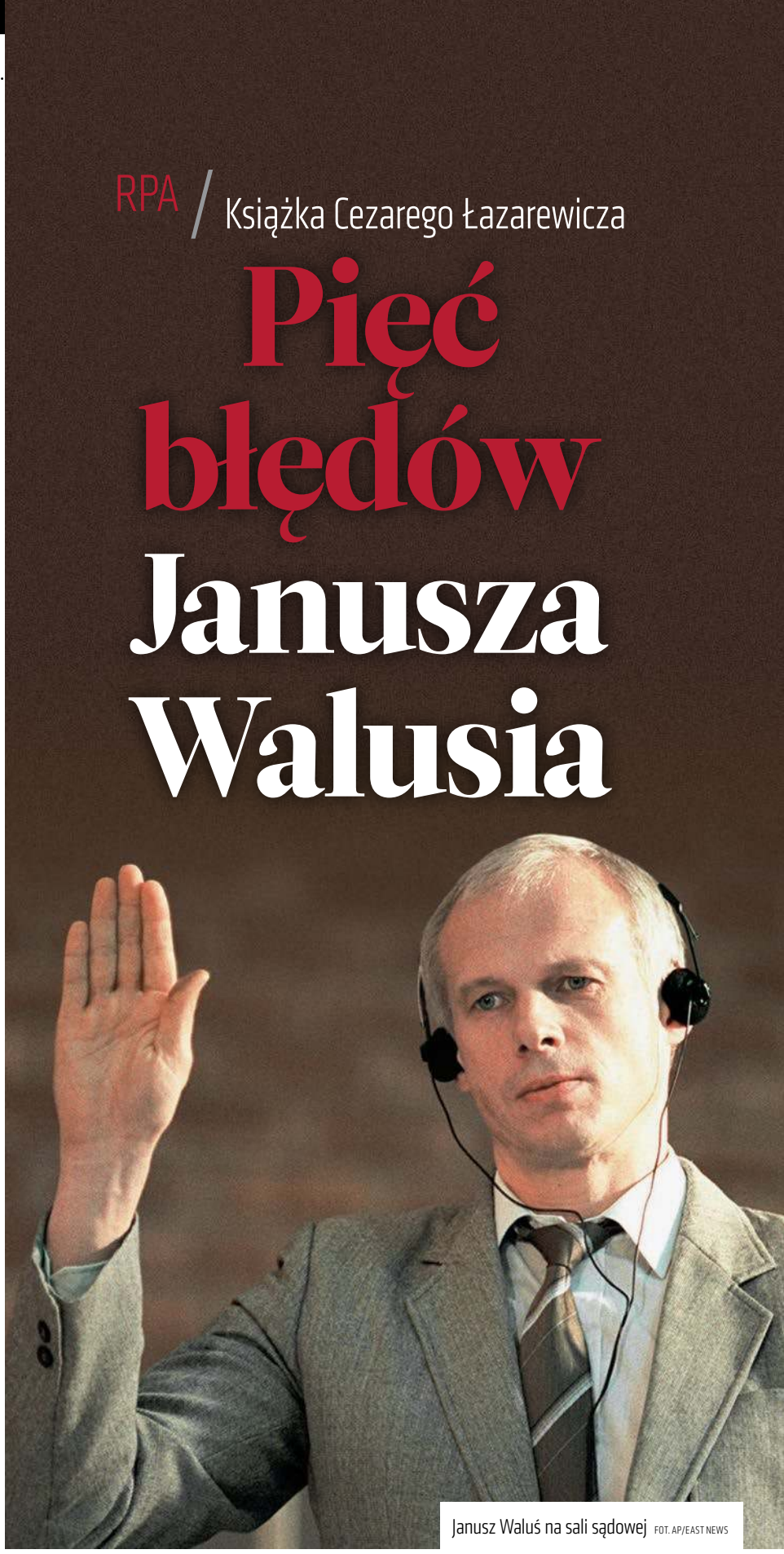

Janusz Waluś na sali sądowej FOT. AP/EAST NEWS

eprasa.pl baf56fd269

Przegadał długie godziny z Walusiem w sali odwiedzin Centralnego Więzienia w Pretorii. Spotkał się z członkami jego rodziny i córką Haniego. Rozmawiał z innymi osobami zaangażowanymi w dramat. Chociaż Łazarewicz nie ukrywa swoich poglądów, to w uczciwy sposób przedstawił argumentację i motywy Walusia.

„Nic osobistego" to książka znakomita, choć – o czym później – ma jeden poważny mankament.

I Zabójstwo

Czytając część poświęconą zabójstwu Chrisa Haniego i policyjnemu śledztwu – nie mogłem wyjść ze zdumienia. Pisząc oględnie: Waluś dokonał swojego czynu w sposób dyletancki. Tak jakby chciał, żeby go ujęto i skazano. Albo – czego nie można wykluczyć – jakby wierzył, że nie poniesienie odpowiedzialności.

Oddajmy głos samemu zainteresowanemu:

Z torby na tylnym siedzeniu wyjmuję pistolet – mówi Waluś Łazarewiczowi – wsadzam z tyłu za pasek spodni i wysiadam z auta. On stoi już przy garażu, ale jest obrócony do mnie tyłem. Nie widzę twarzy, a chcę mieć pewność. Robię więc kilka kroków do przodu i wołam:

– Mister Hani!

On się odwraca... I robi gest, jakby się chciał ze mną przywitać. Nie ma to dla mnie znaczenia. Już go poznałem. Wyciągam zza paska pistolet. Zobaczył go. Może się przestraszył? Zrobił skręt, jakby chciał tego uniknąć. Za późno. Pierwszy strzał w korpus. Gdy upadał, wydał z siebie nieartykułowany okrzyk. Może ze strachu, może z bólu. Drugi strzał w głowę. On upada na podjeździe. [...] Dla całkowitej pewności strzelam dwa razy za ucho.

Między drugim a trzecim strzałem Waluś usłyszał za plecami silnik samochodowy. Odwrócił się i zobaczył przejeżdżającą wolno mazdę 323. Jego wzrok spotkał się ze wzrokiem kierowcy. Była to młoda kobieta – Retha Harmse – która akurat jechała z rodzicami na zakupy.

Była świadkiem zabójstwa i doskonale, z odległości kilku metrów, widziała twarz Polaka. Widziała, jak Waluś dobija Haniego dwoma strzałami w czaszkę. „Nie mogłam uwierzyć własnym oczom" – opowiadała później. Pomyślała, że to wygląda jak scena z filmu, a „ten biały musi być strażnikiem strzelającym do czarnego intruza". Harmse zapisała numer rejestracyjny samochodu Polaka – PBX 237T (pomyliła tylko jedną cyfrę).

Mimo to Waluś wsiadł z powrotem do swojego auta – pomalowanego czerwonym lakierem (!) forda lasera w wersji hatchback – i jak gdyby nigdy nic pojechał do domu. Pani Harmse po powrocie do mieszkania oczywiście zadzwoniła po policję. Waluś został zatrzymany przez patrol kilka kilometrów od miejsca zabójstwa. W jego samochodzie znaleziono narzędzie zbrodni.

Policja natychmiast wkroczyła do jego mieszkania przy Bourke Street w Pretorii. Funkcjonariusze znaleźli tam ulotki, książki i inne materiały organizacji walczących o utrzymanie apartheidu. A także listę czołowych działaczy murzyńskich wraz z prywatnymi adresami. Znajdowało się na niej nazwisko Chrisa Haniego. Lista stała się jednym z kluczowych dowodów przeciwko Walusiowi, a prasa ochrzciła ją mianem „listy śmierci".

Chris Hani, lider południowoafrykańskich komunistów FOT. ROBERT CUTTS

Nie trzeba być Sherlockiem Holmesem ani Herkulesem Poirot, żeby się zorientować, że Waluś – używając języka amerykańskich filmów policyjnych – schrzanił robotę. Polak 10 kwietnia 1993 r. popełnił pięć poważnych błędów:

1) Użył własnego, rzucającego się w oczy samochodu. Nie zmienił tablic rejestracyjnych, nie zaparkował kilka przecznic dalej. Po prostu ostentacyjnie podjechał pod sam dom ofiary znajdujący się przy ulicy Hakea Crescent 2 w Boksburgu. Zabójstwo miało miejsce w biały dzień, o godz. 10.10 rano. Szanse na to, że nikt go nie zobaczy, były znikome.

2) Waluś nie wyrzucił pistoletu na miejscu zbrodni, tylko zabrał go ze sobą do samochodu. Jak później zeznawał, pozbycia się broni zabronił mu Clive Derby-Lewis, polityk Partii Konserwatywnej, który podjudził go do zastrzelenia Haniego. Jest to wytłumaczenie niepoważne. To nie Derby-Lewis dokonał zabójstwa, to nie Derby-Lewis się narażał, ale Waluś. Polecenie Derby-Lewisa powinien był więc zignorować, a broń odrzucić w krzaki natychmiast po oddaniu czwartego strzału.

3) Waluś nie miał na sobie rękawiczek. W efekcie na jego dłoni policjanci znaleźli ślady prochu i krwi Haniego. A na broni – odciski palców. Był to samopowtarzalny pistolet Vektor Z88, kaliber 9 mm, o numerze seryjnym P6-101368.

4) Waluś nie założył maski, w efekcie czego pani Harmse bez trudu go zidentyfikowała na sali sądowej.

5) Waluś nie oczyścił swojego mieszkania z kompromitującego materiału.

W efekcie prokuratorzy mieli dziecinnie łatwe zadanie. A adwokaci Walusia otrzymali do wykonania „mission impossible". Polak został skazany na karę

eprasa.pl baf56fd269

śmierci, którą – ze względu na obowiązujące w RPA moratorium – zamieniono na dożywocie.

Chociaż od śmierci Haniego minęło 28 lat, Polak do dzisiaj, jako więzień numer 36161101, odsiaduje wyrok. Kolejne apelacje i prośby o zwolnienie blokuje wdowa po Hanim, która ma duże wpływy w afrykańskim establishmencie.

Gdyby Waluś zastosował środki ostrożności i uniknął pięciu błędów – zapewne nigdy by go nie skazano. Szczególnie, że policja nie szukałaby sprawcy raczej zbyt gorliwie. Gdy Walusia przywieziono skutego na komisariat policjanci, gratulowali mu zabicia Haniego. Przynieśli mu do celi hamburgery i colę.

II Motyw

Dlaczego Waluś zabił Haniego? Tak jak wspomniałem, Cezary Łazarewicz przedstawił w swojej książce stanowisko Polaka w sposób uczciwy. W skrócie wyglądało to tak: Janusz Waluś wyemigrował na początku lat 80. Kontrast między PRL a RPA po prostu go powalił.

W kraju – szara komunistyczna rzeczywistość. Kartki na mięso i kolejki przed sklepami, wszechobecna tandeta i dziadostwo. Gumofilce, fufaje i szare, obdrapane bloki. Choć sam Waluś pochodził z zamożnej rodziny (był synem „prywaciarza") i wiodło mu się całkiem nieźle, komunizmu nienawidził.

RPA była zaś innym światem. Jedna z najpotężniejszych gospodarek na globie. Kapitalistyczny dobrobyt – pułki w sklepach uginały się od kolorowych towarów. Piękne wille, samochody i restauracje. Bezpieczeństwo na ulicach. Do tego egzotyczne zwierzęta, palmy, afrykański koloryt, który na przybyszu z siermiężnej Europy Wschodniej musiał robić niesamowite wrażenie. Raj na ziemi.

Waluś urządził się w nowej ojczyźnie, znalazł pracę, fajną dziewczynę. Był pewien, że życie się do niego uśmiechnęło. Wkrótce jednak nad tą sielanką zawisły czarne chmury. Murzyńska większość coraz silniej domagała się zniesienia segregacji rasowej. Rosła międzynarodowa presja wywierana na rząd południowej Afryki. Na początku lat 90. prezydent Frederik de Klerk zainicjował proces demontażu apartheidu. Proces ten miał zakończyć się powszechnymi wyborami, w których mieli wziąć udział zarówno czarni, jak i biali. Tych ostatnich był znikomy procent, co automatycznie oznaczało, że władzę przejmie Afrykański Kongres Narodowy. Na zawsze.

Według idealistycznych lewicowych intelektualistów zniesienie apartheidu miało zakończyć wszystkie problemy RPA. Zamiast segregacji rasowej – multikulturalne społeczeństwo złożone z białych, czarnych i żółtych, które będzie żyło we wzajemnych szacunku, miłości i harmonii. Koniec z przemocą i dyskryminacją.

Twardo stąpający po ziemi konserwatyści ostrzegali jednak, że stanie się inaczej. Według nich przejęcie władzy przez czarnych będzie oznaczało chaos, korupcję i bezprawie. A więc sytuację, która wytworzyła się niemal we wszystkich państwach Czarnego Lądu, które w trakcie dekolonizacji uzyskały niepodległość.

Janusz Waluś był zwolennikiem tego drugiego poglądu.

Pistolet Vektor Z88

FOT. ARCHIWUM

Wszystko zmienia się na gorsze – wspomina wydarzenia z 1993 r. w rozmowie z Łazarewiczem. – Na moich oczach kraj się pogrąża. Rozpada się stary porządek. Nie ma już wątpliwości, że coś trzeba zrobić, żeby to powstrzymać. Ja miałem jedynie uruchomić mechanizm, by zmobilizować ludzi. Ja już wtedy czułem się częścią tego wspaniałego narodu Afrykanerów i tej walki, którą od prawie dwustu lat oni tu toczą, by istnieć. To jest moja ojczyzna z wyboru.

Teraz spróbujmy na chwilę odłożyć emocje, piękne ideały powszechnej równości i społeczeństwa multietnicznego. Kto miał rację? Czy ci, którzy w 1993 r. wierzyli w to, że pod rządami czarnych RPA zamieni się w raj? Czy też ci, którzy ostrzegali przed groźnymi konsekwencjami? Ostatnie trzy dekady dały na to jasną odpowiedź. Musi to przyznać każdy, kto potrafi spojrzeć na rzeczywistość w sposób trzeźwy. A nie przez ideologiczne różowe okulary. Otóż RPA – o czym pisze Łazarewicz – po upadku apartheidu zamieniło się w kraj szalejącej przestępczości. W niespełna 40-milionowej Polsce jest ok. 500 zabójstw rocznie, w 50-milionowej RPA – 20 tys. Od czasu zniesienia apartheidu zamordowanych zostało grubo ponad pół miliona obywateli tego państwa!

Na ulicach panują plemienne gangi uzbrojone w maczety i noże. Biali uciekli z centrów miast i zamknęli się w ściśle strzeżonych, otoczonych murami i najeżonych kamerami, enklawach. Afrykanerzy wydają sporą część swoich dochodów na koszty ochrony. Mimo to biali nagminnie padają ofiarą brutalnych napaści, grabieży, gwałtów i zabójstw. Znacznie pogorszyło się również bezpieczeństwo czarnych.

Dramatycznie wygląda centrum Pretorii opisane przez Łazarewicza. Niegdyś pełne kawiarni, galerii sztuki i butików bulwary zamieniły się w „skrzyżowanie bazaru Różyckiego z warszawskim Dworcem Wschodnim". Czy się to komuś podoba czy nie – ostatnie 30 lat w RPA to regres cywilizacyjny.

A przecież mogło być gorzej! Od czasu zniesienia apartheidu w RPA rządzi Afrykański Kongres Narodowy. W 1993 r. istniało jednak zagrożenie, że na fali zmian władzę może przechwycić Partia Komunistyczna. Znacznie mniejsza niż Kongres, ale zdyscyplinowana, fanatyczna i… posiadająca charyzmatycznego przywódcę w postaci Chrisa Haniego. A więc – tak jak w Rosji – po rewolucji lutowej mogła przyjść rewolucja październikowa.

Co by było, gdyby to Hani, a nie Mandela, znalazł się u sterów? Za przykład może służyć sąsiednia Rodezja, przemianowana po przejęciu władzy przez czarnych komunistów na Zimbabwe. Reżim czerwonego psychopaty Roberta Mugabe ograbił białych farmerów z ziemi i rozdał ją bezrolnym czarnym. Wielu białych Rodezyjczyków zostało rozsieczonych maczetami. W efekcie kraj będący niegdyś

eprasa.pl baf56fd269

spichlerzem Afryki, jednym z najzamożniejszych, najlepiej rozwiniętych państw Czarnego Lądu, zamienił się w strefę nędzy. Szalejąca inflacja, głód, choroby, przemoc – oto codzienność Zimbabwe pod rządami Mugabe. Kolosalny kryzys humanitarny wywołany przez czarnego komunistę.

Oczywiście nie wiemy na pewno, jak potoczyłaby się historia RPA, gdyby Chris Hani przeżył. Jeżeli śmierć Haniego niczego nie zmieniła – to Walusia należy oczywiście uznać za zbrodniarza. Jeżeli jednak Hani przejąłby władzę w RPA i wprowadził w kraju komunizm, to Walusia należy uznać za bohatera. Odpowiednika człowieka, który w 1932 r. zastrzeliłby Hitlera. Albo w roku 1928 – Stalina.

Problem w tym, że nikt nie może – ze stuprocentową pewnością – rozstrzygnąć tego problemu. Nikt nie ma wejrzenia w alternatywną rzeczywistość. A co za tym idzie – spór o ocenę czynu Walusia jest tak naprawdę nierozstrzygalny. I właśnie to sprawia, że historia tego polskiego emigranta jest tak fascynująca.

III A co z Hanim?

Wielkim atutem książki Łazarewicza jest obszerne przedstawienie korzeni, rodziny i życia Walusia (był w PRL mistrzem rajdowym!). A także jego codziennego życia w więzieniu. Tak jak jednak wspominałem, książka ma również swój mankament. Otóż Łazarewicz bardzo dużo pisze o zabójstwie dokonanym przez Walusia – za co mu chwała! – ale zadziwiająco mało pisze o działalności kierowanej przez Haniego Włóczni Narodu. Umkhonto we Sizwe była tymczasem niezwykle groźną organizacją terrorystyczną.

Oto garść przykładów:

20 maja 1983 r. – podłożenie bomby na Church Street w Pretorii. 17 osób zginęło, a 217 odniosło rany. W większości byli to przypadkowi cywilni przechodnie;

23 grudnia 1985 r. – podłożenie bomby w koszu na śmieci w centrum handlowym w Amanzimtoti w prowincji Natal. W eksplozji – do której doszło tuż przed świętami – zginęło pięciu cywilów, a 40 zostało rannych;

14 czerwca 1986 r. – podłożenie bomby pod plażowy Magoo w Parade Hotel w Durbanie. Trzech cywilów zginęło na miejscu. 69 zostało rannych.

Pomnik ku czci Chrisa Haniego

FOT. SABATA MCATSHULWA/WIKIMEDIA COMMONS

Przykłady takie można mnożyć. Terroryści z Włóczni Narodu podkładali bomby pod posterunki policji, detonowali ładunki wybuchowe pod stadionami sportowymi, atakowali banki, sądy, restauracje, supermarkety, a także fast foody odwiedzanej przez białych sieci Wimpy.

W połowie lat 80. bojownicy Umkhonto we Sizwe zakopywali miny przeciwpiechotne na wiejskich drogach w Transwaldzie. Celem ataków byli biali farmerzy, ale sporą część spośród 25 ofiar śmiertelnych stanowili czarni robotnicy rolni. Wiele innych osób odniosło w eksplozjach paskudne obrażenia – utraciło ręce i nogi.

Prawdziwy horror rozgrywał się w obozach partyzanckich Umkhonto we Sizwe. Nawet Komisja Prawdy i Pojednania przyznała, że bojownicy Włóczni Narodu stosowali tam nagminnie tortury wobec prawdziwych i domniemanych „szpiegów i zdrajców". Ludzie byli masowo rozstrzeliwani bez sądu.

Warto przypomnieć, że Umkhonto we Sizwe otrzymywała broń, amunicję i wszelkie inne wsparcie od Związku Sowieckiego. Sam Chris Hani przeszedł kompleksowe szkolenie na terenie Sowietów. Był fanatycznym komunistą. Po śmierci jego trumnę zawinięto nie w sztandar RPA, ale w czerwoną flagę z sierpem i młotem.

Myślę, że Łazarewicz w kolejnym wydaniu „Nic osobistego" powinien opisać szczegółowo zamachy terrorystyczne Włóczni Narodu. Bo po lekturze książki można odnieść wrażenie, że Waluś zabił sympatycznego, murzyńskiego bojownika o prawa człowieka. Waluś tymczasem wielokrotnie podkreśla, że kolor skóry ofiary nie miał dla niego znaczenia. On zabił komunistę i groźnego terrorystę, który miał na rękach krew wielu niewinnych ofiar.

Książka Łazarewicza kończy się rozmową z córką Haniego.

„– Słyszałam, że Waluś jest dla was bohaterem – mówi Lindi. – Oczywiście ja tego nie potępiam, bo każdy ma prawo do własnej opinii, ale ciekawi mnie, czy on stał się bohaterem tylko dlatego, że zabił mojego tatę?

Wbijam oczy w posadzkę" – pisze Łazarewicz.

Hm, oczywiście Łazarewicz ma prawo się tego wstydzić. Warto jednak wytłumaczyć Lindi, że Waluś rzeczywiście jest w Polsce bohaterem, ale tylko dla znikomej grupy ludzi. Zdecydowanej większość Polaków to nazwisko nic nie mówi.

Co innego z Hanim. On w RPA wśród czarnoskórej ludności cieszy się do dziś prawdziwym kultem. W kraju stoją jego pomniki, w jego domu rodzinnym znajduje się izba pamięci. Ludzie noszą dumnie koszulki z jego wizerunkiem.

A przecież Waluś zabił jednego człowieka – którego trudno nazwać niewiniątkiem – podczas gdy Hani odpowiada za śmierć wielu, naprawdę niewinnych, ofiar. Kobiet i dzieci, które zostały zmasakrowane bombami podłożonymi przez bojowników Włóczni Narodu. A mimo to miliony czarnych uważają go za bohatera.

Może to też jest powód do wstydu? To pytanie jednak w książce nie pada.

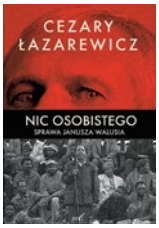

CEZARY ŁAZAREWICZ
„NIC OSOBISTEGO. HISTORIA JANUSZA WALUSIA"
SONIA DRAGA

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl baf56fd269

Wanda Wasilewska przemawia do żołnierzy 1. Dywizji im. Tadeusza Kościuszki FOT. NAC

ZSRS–Polska / Socjalistka, która odrodziła polski komunizm

Wasilewska. Stalin w spódnicy

Mikołaj Iwanow

Sowiecki przywódca w latach 1940–1945 częściej spotykał się z Wandą Wasilewską niż z innymi polskimi komunistami razem wziętymi...

W II Rzeczypospolitej Wanda Wasilewska do partii komunistycznej nigdy nie należała. Była córką jednego z najbliższych współpracowników Józefa Piłsudskiego, zmarłego w 1936 r. byłego ministra spraw zagranicznych II RP Leona Wasilewskiego. Ojciec Wandy Wasilewskiej zawsze był lewicowcem, jednym z przywódców PPS, wiceprzewodniczącym Rady Naczelnej PPS w latach 1931–1936. Nigdy jednak nie przejawiał żadnych sympatii wobec komunizmu. Wręcz przeciwnie – wiele razy wskazywał swej zbuntowanej córce na niebezpieczeństwa jej nieodpowiedzialnego flirtowania z komunistami.

W roku 1937 na biurko Stalina trafił nadesłany przez redaktora naczelnego wydawnictwa „Literatura zagraniczna" przekład książki polskiej pisarki Wandy Wasilewskiej „Ojczyzna" z prośbą o opinię. Po przeczytaniu sowiecki przywódca wpadł w zachwyt i nakazał niezwłoczną publikację książki w bardzo dużym nakładzie. W krótkiej notatce dla wydawnictwa napisał, że uważa ją za najbardziej jaskrawe zdemaskowanie przestępczego oblicza kapitalizmu.

Zaufana przywódcy

Tak ocena wodza spowodowała, że jeszcze przed agresją Związku Sowieckiego na Polskę w 1939 r. wydano w ZSRS dwie inne książki Wandy Wasilewskiej – „Oblicza dnia" i „Ziemi w jarzmie". Z inspiracji Stalina wypłacono autorce przez ambasadę Związku Sowieckiego w Polsce wysokie honorarium autorskie. Stalin zachwycił się twórczością Wasilewskiej z namaszczenia Maksima Gorkiego, bezsprzecznego „guru" sowieckiej literatury...

Podziw Stalina dla Wandy Wasilewskiej i jej twórczości był tak ogromny, że po rozpoczęciu wojny sowiecko-niemieckiej w 1941 r. polecił on władzom wojskowym nadać jej wojskowy stopień pułkownika i traktować ją z najwyższym szacunkiem jako osobę cieszącą się jego osobistym zaufaniem. W związku z tym wyjątkowym traktowaniem przez sowieckiego przywódcę Wasilewska była w latach wojny niekwestionowanym liderem polskich komunistów. W mundurze sowieckiego pułkownika na zebraniach partyjnych komunistów polskich w latach wojny u jednych wzbudzała strach, u innych zachwyt, a jeszcze inni czuli wobec niej zazdrość i podejrzliwość. Dlatego rozpowszechniano wśród polskich komunistów plotki o tym, że Wasilewska była kochanką Stalina.

W Polsce międzywojennej prokomunistyczne ciągoty Wandy nieraz wywoływały gniewną reakcję władz. Leon

eprasa.pl baf56fd269

Medal dla laureata Nagrody Stalinowskiej FOT. WIKIPEDIA

Wasilewski często musiał ratować córkę przed więzieniem. W PPS Wanda Wasilewska była gorącą zwolenniczką idei jednolitofrontowej, polegającej na wspólnych z komunistami działaniach antysanacyjnych. Należała także do Międzynarodowej Organizacji Pomocy Rewolucjonistom (MOPR), faktycznie podporządkowanej Kominternowi. Jej ciągoty do komunizmu szczególnie uwidoczniły się po śmierci ojca w 1936 r. Aktywną feministkę uwielbiała szczególnie lewicowa młodzież żydowska, witając entuzjastycznie każde jej pojawienie się na lewicowych mityngach. Nie przypadkiem jej mąż, Marian Bogatko, żartobliwie nazywał ją „cadzikiem w spódnicy".

Początek drugiej wojny światowej zaskoczył Wasilewską w jej warszawskim mieszkaniu. Nie czekała na przyjście Niemców, uciekła na wschód do Kowla. Tu spotkała Armię Czerwoną. Okazało się też, ku jej zdziwieniu, że dzięki wydaniom książek cieszyła się w Kraju Rad wielką popularnością. Przyjmuje więc obywatelstwo sowieckie i aktywnie angażuje się w proces utrwalenia nowej władzy we wschodnich województwach II RP. Odgrywa czołową rolę w tzw. wyborach do Zgromadzeń Ludowych Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi w październiku 1939 r.

Po upadku II RP w przyłączeniu wschodnich województw Polski do Związku Sowieckiego Wasilewska ujrzała dla siebie szansę zrobienia błyskotliwej kariery politycznej. Wyjątkowo ważną okolicznością okazał się fakt, że nie była ona członkiem kompletnie skompromitowanej w oczach Stalina KPP, że należała do tzw. komunizującej lewicy i prawie idealnie nadawała się na lidera nowej partii. Nie doznała tragicznych doświadczeń polskich komunistów, nie miała również żadnych uprzedzeń wobec władz sowieckich.

Jej osobiste stosunki ze Stalinem do dziś budzą wiele kontrowersji u badaczy. Według księgi rejestrującej wizyty u Stalina poszczególnych osób, sowiecki przywódca spotkał się z nią w latach 1940–1945 dziewięć razy – więcej niż ze wszystkimi innymi polskimi komunistami razem wziętymi. Ich pierwsze spotkanie odbyło się już w styczniu 1940 r. Stalin przyjął ją po otrzymaniu od niej kilku listów i niewątpliwie w związku z jej osobistą prośbą. Wasilewska na kilka lat stała się jego głównym informatorem w sprawach polskich, powierzono jej również z namaszczenia Stalina zadanie stworzenia i kierowania na terenie Związku Sowieckiego „centrum" odrodzenia polskiego komunizmu i koordynowania procesem sowietyzacji Polski. Otrzymała od Stalina jego prywatny numer telefonu, z którego nie raz, nie dwa korzystała.

Po spotkaniu Wasilewskiej ze Stalinem niemieckie gestapo, ściśle współpracujące w tym okresie z NKWD, sprowadza do Lwowa z Warszawy córkę Wasilewskiej, Ewę. Trudno w to uwierzyć, ale Niemcy na prośbę Sowietów dostarczyli do Lwowa całe wyposażenie warszawskiego mieszkania Wandy. Był to wymowny dowód przyjaźni między służbami specjalnymi dwóch totalitaryzmów, a Wasilewska stała się mimowolnym zakładnikiem tej przeklętej przyjaźni. Ciekawe, że matka Wandy – mimo nacisków córki – odmówiła przeniesienia się do Lwowa.

Zabójstwo Bogatki

Przy jej wyjątkowej karierze w partii komunistycznej tym bardziej zagadkowe staje się zabicie jej drugiego męża, Mirosława Bogatki, przez NKWD w maju 1940 r. oraz zawarcie nowego związku z człowiekiem z najwyższej nomenklatury sowieckiej, ukraińskim pisarzem i sowieckim dyplomatą Ołeksandrem Kornijczukiem. W oficjalnej sowieckiej biografii Wasilewskiej zabójstwo męża przypisuje się oczywiście „polskiemu podziemiu nacjonalistycznemu". Większość polskich badaczy natomiast sądzi, że było to albo „pomyłkowe", albo „prowokacyjne" zamordowanie znanego działacza lewicowego przez NKWD, możliwe, że na polecenie samego Stalina.

Pomyłkowo zamordować męża działaczki, która spotyka się z samym Stalinem, było w warunkach sowieckich rzeczą niewiarygodną, żeby nie powiedzieć niemożliwą – nawet dla tak wszechwładnej organizacji jak NKWD. Tym bardziej że w tym czasie w sowieckich organach tajnej policji odbywała się krwawa czystka „pojeżowska". Nowy szef tej złowieszczej instytucji, Beria, wykonując wolę Stalina, obarczył prawie wszystkich bliskich współpracowników swego poprzednika Nikołaja Jeżowa i setki szeregowych funkcjonariuszy winą za olbrzymie ofiary wielkiego terroru z lat 1937–1938 i rozpętał wewnątrz NKWD tzw. mały terror, który pogrążył organy w strachu. Tym bardziej więc jakakolwiek samowola, a zwłaszcza „pomyłka" lwowskiego NKWD w sprawie zabójstwa Bogatki jest niemal wykluczona.

Bardziej prawdopodobna jest wersja, że Bogatko został zastrzelony w wyniku odgórnie zaplanowanej akcji (możliwe, że za zgodą lub na polecenie Stalina) w celu diabelskiego sprawdzenia szczerości komunistycznych poglądów Wasilewskiej. Wątku osobistych stosunków Stalina z nową obywatelką Kraju Rad nie można również wykluczyć. Pamiętajmy, że Stalin spotykał się z Wandą przed zabójstwem jej męża. A wkrótce po zabójstwie w październiku 1940 r. w Moskwie z wielką pompą urządza się „twórczy wieczór" Wasilewskiej i następuje kolejne spotkanie ze Stalinem.

W połowie roku 1940 Wanda Wasilewska zostaje symbolem odbudowy komunistycznej partii Polski na nowej płaszczyźnie ideowej, płaszczyźnie stalinizmu. Wybór Wandy dokonany przez Stalina na „uzdrowiciela polskiego komunizmu" tylko na pierwszy pogląd wydaje się kuriozalny. W sytuacji perspektywy załamania się sojuszu z Hitlerem i maniakalnej żądzy zemsty na Trockim ta „zagubiona" córka jednego z ojców założycieli II RP stanowiła idealną płaszczyznę dla ściągnięcia pod sztandary nowej „komunistycznej" Polski licznych poszukiwaczy błyskotliwych karier politycznych i tych, dla których słowa „godność" i „uczciwość" nie miały znaczenia.

Stalinowi prawdopodobnie również imponowało to, że Wasilewska odważyła się pisać do niego osobiste listy, otwarcie występować z ideą odrodzenia polskiego ruchu komunistycznego, która wydawała całkowicie skompromitowana w oczach „przywódcy narodów" i kierownictwa Międzynarodówki Komunistycznej. Pod

eprasa.pl baf56fd269

koniec 1940 r. podpisała zredagowany przez Alfreda Lampego list do Stalina w sprawie przyjęcia byłych członków KPP do WKP(b). Dla Wasilewskiej, deputowanej do Rady Najwyższej Związku Sowieckiego, wysoko cenionej pisarki sowieckiej, osoby darzonej przychylnością Stalina – ta sprawa mogła wydawać się drugorzędną. Jednak dążenie do bycia „liderem wszystkich Polaków sowieckich" przeważyło.

Sprzyjała jej również okoliczność, że absolutna większość przebywających na terenie ZSRS polskich działaczy komunistycznych, zastraszonych krwawymi represjami z lat 1937–1938, pogodziła się ze śmiercią polskiego ruchu komunistycznego. Natomiast Wasilewska natarczywie domagała się od Stalina wskrzeszenia KPP. Wandę w jej działaniach na rzecz odrodzenia KPP mogło zahamować wyraźne uderzenie „poniżej pasa" – zabójstwo męża. Nie zahamowało, wręcz odwrotnie, po chwilowym załamaniu ponawia ona swe próby przekonania Stalina w sprawie konieczności odtworzenia polskiej partii komunistycznej.

Lato 1940 r.

Na Kremlu ta sprawa stała się aktualna latem 1940 r., tuż po zupełnie niespodziewanej w Moskwie kapitulacji Francji w wojnie z Niemcami. Stalin osobiście pisze list do władz partyjnych we Lwowie, zarzucając im „przegięcia" w traktowaniu Polaków (wypieranie języka polskiego, odmowa zatrudniania Polaków, zmuszanie ich do podawania się za Ukraińców). Zrobił to prawdopodobnie w odpowiedzi na jeden z licznych apeli Wandy Wasilewskiej i po osobistym spotkaniu z nią 28 czerwca 1940 r.

Władze sowieckie jednocześnie chwilowo zaprzestały masowych represji przeciwko ludności polskiej na terenie przyłączonych do ZSRS wschodnich województw II RP. We Lwowie w listopadzie 1940 r. hucznie urządzają obchody 85. rocznicy śmierci Adama Mickiewicza. Patronem wydarzenia była Wasilewska. W Nowogródku na Białorusi, miejscu urodzin Mickiewicza, otwierają muzeum polskiego wieszcza. To samo odbywa się w Krzemieńcu na Ukrainie, gdzie urodził się Juliusz Słowacki. Do Moskwy zapraszają byłego premiera Kazimierza Bartla.

Wanda Wasilewska na znaczku z 1983 r.
FOT. ARCHIWUM

Najważniejszą zmianą polityki sowieckiej wobec Polaków i polskich komunistów była decyzja Stalina dotycząca zdejmowania z „polskich towarzyszy" piętna „zdrajców" i „niepewnych sojuszników", zawartych w postanowieniu MK z 1938 r. Na pewno Wasilewskiej nareszcie udało się przekonać Stalina o przydatności polskich komunistów dla realizacji doraźnych celów sowieckiej polityki zarówno wewnętrznej, jak i międzynarodowej. Od września 1940 r. rozpoczyna się proces przyjmowania byłych członków KPP do WKP(b).

Nie było mowy o rehabilitacji KPP i odnowieniu jej działalności, ale byłych działaczy KPP wzywano do „rajkomów" i „obkomów" WKP(b), proponując im wstąpienie do partii. Nie była to rekrutacja nowych członków, lecz wciągnięcie do działalności partyjnej doświadczonych towarzyszy z zaliczeniem im stażu partyjnego z okresu istnienia KPP. Wielu w ten sposób amnestiowanych przyjęto również do pracy w aparacie partyjnym i administracyjnym zarówno na podbitych terytoriach II RP, jak i w głębi kraju.

Bolesławowi Bierutowi pozwolono dołączyć do grona polskich komunistów w Białymstoku, Grzegorza Smolara mianowano lektorem Mińskiego obwodowego komitetu partii. Marceli Nowotko został przewodniczącym Rejonowego Komitetu Wykonawczego w Łapach na Białostocczyźnie. Pawła Findera wysunięto na posadę przewodniczącego Komisji Planowania przy Komitecie Wykonawczym obwodu Białostockiego. Władysława Gomułkę skierowano na posadę kierownika wydziału produkcji zeszytów w fabryce „Biblos" we Lwowie, a Jan Krasicki został tam drugim sekretarzem Miejskiego Komitetu Komsomołu. Od jesieni 1940 r. zaczęła działać również Szkoła Polityczna w Nagornoje pod Moskwą, która rozpoczęła na nowo kształcenie kadr dla przyszłej komunistycznej partii Polski.

Kobieta orkiestra

Kolejnym krokiem w stronę odrodzenia polskiego ruchu komunistycznego było pozwolenie na wydawanie polskiej prasy komunistycznej. Wiosną 1941 r. w Moskwie zaczął się ukazywać miesięcznik „Nowe Horyzonty" w języku polskim, na łamach którego pod pilnym okiem „starszego brata" polscy komuniści mogli dyskutować o losach przyszłej Polski komunistycznej. Jego redagowanie jednak powierzono nie jednemu ze „starych towarzyszy partyjnych", lecz zaufanemu człowiekowi Stalina – Wandzie Wasilewskiej.

W czasie wojny Wasilewska staje się bezsprzecznie nieformalnym liderem polskich komunistów. Trudno uwierzyć w to, że jeden człowiek – kobieta – mógł wykonywać w tym okresie tyle odpowiedzialnych funkcji. Jako członek zespołu Głównego Urzędu Politycznego Armii Czerwonej w randze pułkownika jest częstym gościem we frontowych jednostkach armii. Występuje przed żołnierzami, przekonuje, wzywa do niezłomnego oporu wobec Niemców, zapewnia o przyszłej nieuniknionej przyjaźni narodów polskiego i sowieckiego. Redaguje polskojęzyczne pismo, jako korespondent wojenny pisuje do „Prawdy", „Czerwonej Gwiazdy" i innych czołowych i frontowych gazet sowieckich. Wchodzi w skład Wszechsłowiańskiego Komitetu Antyfaszystowskiego, utworzonego w sierpniu 1941 r. w celach propagandowych, promującego idee jedności słowiańskiej w obliczu zagrożenia teutońskiego.

W tym komitecie, kierowanym przez gen. Aleksandra Gundorowa, jako przewodniczy sekcji polskiej pisze odezwy, bierze udział w mityngach, zebraniach. 11 sierpnia 1941 r. na łamach „Izwestii" ukazuje się jej „Odezwa do narodu polskiego". Wzywa Polaków do wspólnej walki ze Związkiem Sowieckim prze-

eprasa.pl baf56fd269

ciwko III Rzeszy. Na dodatek w 1942 r. wydaje ona swą nową powieść „Tęcza", poświęconą propagowaniu heroicznej walki narodu sowieckiego. Przerabia ją na scenariusz filmowy i przy jej udziale w 1944 r. powstaje film fabularny pod tym samym tytułem.

Bardzo prawdopodobne, że to ona podrzuciła Stalinowi ideę „wskrzeszenia Polski Krzywoustego" (tak to sformułowała w rozmowie z Ksawerym Pruszyńskim), polegającej na rezygnacji powojennej Polski z kresów wschodnich i przyłączeniu ziem wschodnich Niemiec. Na temat przyszłej polsko-sowieckiej granicy Stalin w grudniu 1941 r. oględnie mówił: „Nie skrzywdzimy was". Co miał na myśli, wyszło na jaw później, kiedy jednoznacznie postawił krzyżyk na współpracy z rządem londyńskim i przystąpił do sowietyzacji Polski z pomocą polskich komunistów z Wandą Wasilewską na czele.

Na tle niezwykłej aktywności politycznej podczas wojny prawdziwy podziw może wywołać fakt, że jednocześnie 37-letnia Wanda Wasilewska zaangażowała się w burzliwy romans miłosny. Jej wybrańcem i później trzecim mężem został czołowy ukraiński pisarz sowiecki Ołeksandr Kornijczuk. Tak jak Wasilewska, był ulubieńcem Stalina. Swą karierę pisarską i polityczną ten również 37-letni Ukrainiec zrobił w latach „wielkiego terroru", aktywnie występując jako propagator kolektywizacji, industrializacji, walki z wrogami i innych eksperymentów sowieckiego ustroju. Był świeżo po rozwodzie z reżyserką czołowego teatru kijowskiego i idealnie, jak się wydawało ojcu narodów, pasował do Wandy.

Gwiezdny czas

Paradoksalnie, okres wojny to gwiezdny czas Wandy Wasilewskiej. To ona była niekwestionowanym czołowym doradcą Stalina w kwestii stosunków polsko-sowieckich. To ona wyznaczała główne kierunki sowietyzacji Polski i odbudowy polskiego komunizmu oraz miała nieograniczone możliwości kreowania polityki kadrowej w środowisku polskich sojuszników Stalina. Prawie wszystkie kontakty polskich komunistów ze Stalinem odbywały się za jej pośrednictwem.

W latach 1943–1945 była redaktorem naczelnym gazety „Polska Radziecka". Stała na czele Związku Patriotów Polskich, organizacji, na której Stalin planował oprzeć swój plan sowietyzacji Polski. Wszystko wskazywało na to, że Wasilewska idealnie pasuje Stalinowi do roli prezydenta (dyktatora) przyszłej komunistycznej Polski. Była też bezkonkurencyjnym kandydatem na „polskiego Stalina". A jednak coś poszło nie tak, coś zaszwankowało. Co? Dlaczego Wanda Wasilewska zrezygnowała z roli czołowego sowietyzatora Polski? Dlaczego zdecydowała się wycofać z życia politycznego swej ojczyzny i pozostać na zawsze w ZSRS?

Złożyło się na to kilka przyczyn. Po pierwsze, jak opowiadała sama na spotkaniu z polskimi historykami w 1964 r., jako jedyna kobieta w kierownictwie PPR obawiała się zdominowania przez mężczyzn. Po drugie, doskonale znała prawdziwe nastawienie Polaków wobec komunizmu i nie chciała uczestniczyć w śmiertelnym złamaniu kręgosłupa własnemu narodowi. Po trzecie, cień ojca piłsudczyka przeszkadzał jej bez reszty rzucić się w wir ogromnego kłamstwa, zwanego budowaniem Polski Ludowej.

Zdecydowała się pozostać tam, gdzie otaczał ją niezwykły komfort życia, gdzie była wysoko ceniona przez absolutnego władcę kraju i jego otoczenie. Nie chciało się jej po prostu narażać się na jakiekolwiek kłopoty dnia powszedniego. Tu, w Związku Sowieckim, czuła się swojsko. Wolała przyglądać się zza Buga temu, co się dzieje w Polsce.

Po wojnie otoczona przepychem życia codziennego Wanda Wasilewska zamieszkała w Kijowie z mężem Ołeksandrem Kornijczukiem. W sowieckim Związku Pisarzy jako Polka i obcokrajowiec odgrywała rolę jednego z czołowych propagatorów komunizmu na użytek międzynarodowy. Sześciokrotnie wybierano ją do Rady Najwyższej ZSRS. Jako jednego z liderów Światowego Ruchu Obrońców Pokoju regularnie wysyłano ją za granicę, gdzie sumiennie wykonywała ona powierzone jej zadanie propagowania polityki ZSRS na arenie międzynarodowej. Odwiedziła dziesiątki krajów, w tym Stany Zjednoczone, Francję, Niemcy Zachodnie i Wschodnie, Kubę, Meksyk, Kambodżę i wiele innych. W swej nowej ojczyźnie zasiadała w prezydiach licznych komisji, zjazdów kołchoźniczych i robotniczych, zebrań literatów i ludzi kultury.

Dla partii, zarówno za życia Stalina, jak i po jego śmierci, była swoistym świadectwem międzynarodowej akceptacji i poparcia dla sowieckiego komunizmu. Do Polski z biegiem czasu przyjeżdżała coraz rzadziej. Po śmierci Bolesława Bieruta i dojściu do władzy Władysława Gomułki wizyty ustały prawie zupełnie. Polski październik 1956 r. był dla niej nie do zaakceptowania. Zmarła nagle w wieku 59 lat w 1964 r. Pochowana została w Kijowie. O pochówku w Polsce nie było mowy.

Nagrobek Wandy Wasilewskiej na cmentarzu w Kijowie FOT. KAMELOT/WIKIPEDIA

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl baf56fd269

Sowieckie łagry / Wstrząsające świadectwo Grażyny Lipińskiej z AK

Męczeństwo kobiet

Marek Gałęzowski

Polki z AK przez miesiące siedziały karcerach. Były bite przez nadzorców i konwojentów aż do skonania...

W niebywałej ciasnocie możemy tylko albo stać, albo siedzieć na podłodze w kucki, również śpimy, siedząc w kucki. O myciu się, kąpieli, praniu nie ma mowy, robactwo lęgnie się w zastraszający sposób. Bielizna czarna od brudu, cuch-

eprasa.pl baf56fd269

Relikty łagru Perm-36 oraz Krzyż Armii Krajowej FOT. GERALD PRASCHL/WIKIPEDIA, GRZEGORZ CHLADEK/WIKIMEDIA COMMONS

nąca potem, krwią i kałem robi się z czasem popielata od zagnieżdżonych w niej wszy i gnid. Podłoga i ściany czerwienią się od pluskiew" – tak Grażyna Lipińska z Armii Krajowej opisywała warunki, w jakich przebywała wraz z innymi kobietami, aresztowanymi przez Sowietów po zajęciu Mińska przez Armię Czerwoną latem 1944 r. Zaledwie kilka dni wcześniej zakończyła się okupacja niemiecka. Na Białoruś wracał sowiecki komunizm...

Białorusinka Łarysa

Uwagę Lipińskiej zwróciła młoda ciężko chora kobieta w zaawansowanej ciąży, leżąca nago w kącie celi. „Całe jej ciało, łącznie z twarzą, pokryte jest czerwonymi plamami, ociekającymi cuchnącym, lepkim płynem. Wstrętna woń, ogarniająca nawet najdalsze zakamarki obszernej celi, doprowadza nas do mdłości". Lekarz odmówił zabrania chorej do szpitala. Twierdził, że nikt się już tam nie zmieści (co zresztą mogło być prawdą), a obawiając się zarazy, zakazał innym więźniarkom zbliżać się do nieszczęśliwej.

Lecz oto Stasia, polska dziewczyna z Łohojska, miasteczka niedaleko Mińska, gdzie do dziś znajdują się ruiny zamku rodu Tyszkiewiczów, „która nie zna wstrętu przed gnijącymi ranami", ignoruje zakaz medyka i cały czas, w dzień i w nocy, otacza chorą swoją opieką, „obmywa jej rany, karmi wymodlonym od siostry medycznej mlekiem, spuchniętą, obolałą głowę chorej układa na swojej chuście, czesze zmierzwione włosy, rozmawia z nią, pociesza, modli się".

Ciężko chora kobieta ma na imię Łarysa, jest Białorusinką. W 1937 r. jej rodziców, nauczycieli, aresztowało NKWD. Nigdy nie wrócili do domu, zamordowani najpewniej w Kuropatach lub w innym miejscu komunistycznych zbrodni. W czasie okupacji ich córka związała się z Niemcem z lokalnych władz okupacyjnych w Mińsku. Wyrzuca jej to jedna z więźniarek, dodając, że zaraził ją chorobą weneryczną. „W odpowiedzi słychać płynący w śpiewnym języku białoruskim głos rzewny, łagodny, cichy jak szmer cmentarnych liści: Zarazę przyniosło mi więzienie. Hans nie zawinił, bo był dobry i kochał mnie [...]. Zabrali go na front. Nie doczekam jego ani dzieciątka, ale nie skarżę się. Szczęście tych trzech lat było tak wielkie, że niczym są teraz nędza i śmierć". Lipińska wspomina, że zadrżała, słysząc tę rozmowę. „Cóż to za idylla miłosna – gnijąca za życia kobieta o potwornie zniekształconej postaci i Niemiec

eprasa.pl baf56fd269

z Giebetskomissariatu, może jeden z tych, co strzelali do dzieci żydowskich. Jakie koszmarne sytuacje stwarza wojna na białoruskiej ziemi" – pisała.

Wkrótce rodzącą Łarysę zabrano do szpitala. Lipińska oddała jej jedyną koszulę, Stasia „otula ją swoją chusteczką, całuje serdecznie, robi znak krzyża na czole". A później – długo płacze, wspominając rodziców, których tak jak rodziców Łarysy bolszewicy zamordowali w 1937 r. I tak jak innych Polek w tej celi – Elżbiety Ejsmont, której NKWD w tym straszliwym roku zamordowało dwóch braci, nastoletnich chłopców zaledwie; Zienkiewiczówny o nieznanym imieniu, której wówczas zamordowano ojca, siostrę, braci i bratowe; Wandy Makowskiej, której odebrano ojca i męża.

„Pani Polka, wiadomo, trzeba aresztować. Na Polaków nawet donosicieli nie trzeba" – powiedziała później Lipińskiej na Łubiance więziona z nią starsza wiekiem Rosjanka, która „w towarzystwie swoich bliskich krewnych zbyt śmiało wyrażała się o Stalinie. Ktoś z nich doniósł o tym..." (dołączyła ona zresztą do więzionego tam od roku syna). Podobne uwagi rosyjskich więźniów Lipińska zapamięta z innych komunistycznych kazamatów: „W ogóle obywatelom sowieckim wystarczy wiedzieć, że aresztowany jest Polakiem. Mają oni wyrobioną opinię: »Siedzi, bo jest Polakiem«".

Co jednak stało się dalej z Łarysą? Wiadomo jedynie, że po trzech tygodniach do celi wprowadzono młodą, śliczną dziewczynę. Nie poznano początkowo, że była to – wydawałoby się – skazana na śmierć chora. Urodziwszy zdrowego chłopca, wyzdrowiała w czasie połogu. Udało jej się powierzyć opiekę nad dzieckiem w zaufane ręce. Sama wróciła do celi.

Sonia, żona Tatara

Kobieta, która była świadkiem tej przejmującej historii, wkrótce została zesłana do łagru i nie dowiedziała się, czy Łarysa wróciła do swojego dziecka. Nie minął jednak rok, kiedy Lipińska ponownie znalazła się w mińskim więzieniu. Tym razem przebywała w celi dwuosobowej. Jej towarzyszką była Sonia Karżanowska. Ojciec dziewczyny był Polakiem, zesłańcem syberyjskim. Po rewolucji pozostał w Rosji, w Smoleńsku, ożenił się (Sonia nie była pewna, czy matka była Rosjanką czy Białorusinką), doczekał się trojga dzieci.

Najstarsze, Sonię, nauczył języka polskiego i polskiej modlitwy. Młodszych dzieci nie zdążył, czerwoni przyszli po niego już w 1927 r. i ślad po nim zaginął. Wkrótce zmarła matka, a dzieci przemocą rozdzielono po sierocińcach. Sonia kilkakrotnie „uciekała ze Smoleńska, szła pieszo na bosaka dwadzieścia kilometrów, aby odwiedzić i obdarować sucharami młodsze rodzeństwo". Była za to surowo karana przez kierownika domu dziecka, który za którymś razem spowodował wysłanie rodzeństwa w inne, odległe miejsce i zataił jego adres.

Minęło kilka lat i dorastająca Sonia spotkała Tatara o imieniu Achmed, który wprowadził ją do swojego domu i poprosił matkę, by wychowała ją na przyszłą żonę dla niego. „Nie narzucała Soni swej wiary, choć sama była wierną muzułmanką. Uczyła ją kobiecego gospodarstwa. [...] W czasie wspólnego tkania dywanu opowiedziała jej o swym mężu, aresztowanym w 1933 r. i zaprzepaszczonym na wieki wraz z wieloma innymi Tatarami". Sonia uzyskawszy pełnoletniość, poślubiła Achmeda, urodziła córkę. Krótko trwało ich szczęście, w 1941 r. Achmeda wcielono do Armii Czerwonej.

Wkrótce Smoleńsk zajęli Niemcy. Po pewnym czasie Sonia, pod panieńskim nazwiskiem, wstąpiła do Armii gen. Andrieja Własowa. Znana z pięknego głosu, „przemawiała do żołnierzy ROA [Rosyjskiej Armii Wyzwoleńczej], jeździła na wiece i zebrania ludności cywilnej, odkrywała ohydę rządów bolszewickich". Kiedy Niemcy zaczęli wycofywać się z Rosji, Sonia uciekła na zachód i schroniła się z dzieckiem w Mołodecznie. Została jednak wytropiona i aresztowana przez NKWD.

Matka polska, matka żydowska

Z Mińska Grażynę Lipińską przewieziono na dalsze przesłuchania najpierw na osławioną moskiewską Łubiankę, a stamtąd do jednego z więzień w Wilnie. Wkrótce do celi przybyła wprost ze szpitala więziennego Jasia, młoda wiejska dziewczyna z Wileńszczyzny. Sowieci wtargnęli do jej domu i oskarżyli o wspieranie ostatnich walczących jeszcze żołnierzy Armii Krajowej. Broniący brzemiennej żony mąż został zastrzelony, Jasię zabrano do więzienia.

„Młoda kobieta marzyła, że nowo narodzone dzieciątko, otoczone jej troskliwością i miłością, będzie rosło dobre, podobne do swego ojca. Kiedy jej synek przyszedł na świat, zapłakał żałośnie. Lekarz więzienny uznał, że dziecko zmarło, i kazał wyrzucić je do kanału kloacznego. Ciężko nam słuchać żalów nieszczęsnej matki, ciężko pocieszyć". Jasię zabrano z celi po trzech dniach. Grażyna Lipińska nie miała wątpliwości, że teraz będzie przechodzić ciężkie śledztwo, podczas którego „na pewno będą ją męczyć za partyzantów".

Inną towarzyszką Lipińskiej w wileńskim więzieniu była młoda Żydówka, więziona z siedmioletnią córką. Trafiła ona do celi za próbę ucieczki z czerwonego „raju". Grupa Żydów w Wilnie przekupiła lotnika sowieckiego, „który zamiast do Leningradu miał z nimi polecieć do Szwecji. Lotnik zdradził nie ZSRS, tylko Żydów; pokołował nad Wileńszczyzną i wylądował na lotnisku w Wilnie, gdzie na jego pasażerów czekali już agenci MGB".

W więzieniu kobieta cały czas obawiała się, że zostanie rozdzielona z córką. Tak też się stało. „W naszej celi odbywa się makabryczna scena; dwaj strażnicy siłą wyrywają dziewczynkę z ramion matki. Matka jak wilczyca broni swego dziecka. Obydwie zwarły się ramionami tak mocno, że silni mężczyźni nie mogą ich rozerwać. Obydwie wściekle wyjąc kąsają ręce swych prześladowców. Przychodzą z pomocą jeszcze dwaj strażnicy, nakładają na głowy kobiety i jej córeczki worki i dopiero wtedy siłą rozdzielają je. Ręce strażników i ręce ich ofiar ociekają krwią".

Scena ta, jak świadczy Lipińska, wywołała wstrząsające wrażenie na pozostałych kobietach, przebywających w celi. Próba pocieszenia matki nic nie dała. Zaczęła ona uderzać głową w drzwi, „krzyczy przeraźliwie, wyrywa się nam i przed drzwiami pada w omdleniu na podłogę". Wezwani przez siostrę medyczną strażnicy wynoszą dotkniętą sowieckim okrucieństwem, nieprzytom-

eprasa.pl baf56fd269

ną matkę z celi i zabierają do szpitala więziennego. Po pewnym czasie przychodzą po jej rzeczy. „Z tego wnosimy, że nieszczęśliwa matka nie żyje".

Monaszki

Nazywano tak w sowieckich obozach kobiety należące do różnych odłamów wywodzących się z wyznania staroobrzędowego, powstałego po rozłamie w Kościele prawosławnym w Rosji w połowie XVII w. Przeważnie starsze wiekiem, „wyniszczone postami i głodem [...], aresztowane za odmawianie modlitw". Stłoczone w baraku inwalidów, modlą się – nikt im już tutaj nie przeszkadza, „nikt nie pędzi do pracy, bo ledwie zipią i chyba mają I grupę inwalidzką". Zresztą odmawiają one nie tylko pracy dla „szatana", jak nazywają system sowiecki, lecz także nie przyjmują z jego rąk głodowych racji żywnościowych. „Żywią się garścią sucharów, które im ktoś przysłał do obozu". Przyjmowały także skromne wsparcie współwięźniów, co nie mogło wystarczyć i – jak pisała Lipińska – „właściwie giną z głodu". Niektóre więźniarki starały się więc „zaoszczędzić kawałek chleba i niby to domowy sucharek ofiarować głodującym. Monaszki dzielą wtedy tę suchą kromeczkę sprawiedliwie między sobą na tyle kruszynek, ile ich jest razem".

Znacznie cięższy los czekał w sowieckich łagrach młode monaszki. Ponieważ odmawiały niewolniczej pracy, „całe miesiące siedzą w zimnych i ciemnych karcerach obozowych, tzw. burach, albo są bite przez nadzorców i konwojentów aż do skonania". Lipińska była świadkiem jednej z takich scen. Kiedy trzy monaszki odmówiły wyjścia do wyrębu tajgi, nadzorcy zrzucili je z pryczy na podłogę „i wlekli je po ziemi aż za bramę obozu, gdzie oddali w ręce konwojentów. Ci zawiązali na szyjach trzech kobiet sznury i ciągnęli do lasu na wyrąb [...]. W lesie przywiązali ich nogi powyżej kolan ciasno do drzew, a na szyi każdej z nich zawiesili na grubym sznurze szynę".

Na protest pozostałych kobiet konwojenci zagrozili im rozstrzelaniem. „Pod ciężarem szyn karki i kręgosłupy torturowanych wyginały się w kabłąk, lecz sznury były na tyle krótkie, że szyny nie dotykały ziemi i dalej obciążały kręgosłupy nieszczęśliwych". Wieczorem, kiedy je odwiązano, dwie już nie żyły. Trzecią z nich, nieprzytomną, pozostałe więźniarki zaniosły do obozu. Tam nadzorcy zamknęli ją w karcerze. Zmarła po kilku godzinach. Była połowa XX w.

Tym, co różniło monaszki od innych kobiet więzionych w komunistycznych obozach, była obojętność wobec spraw świata zewnętrznego: „Niczym i nikim nie interesują się, nic o sobie nie mówią, nawet swoich nazwisk nie zdradzają". Pytane o nie, czy to przez innych więźniów, czy przez nadzorców, „odpowiadają, każda to samo – Rab Boży". Lecz, jak świadczyła Lipińska, zdarzało się, że „te istoty, zdawałoby się, nieczułe na losy ludzi nienależących do ich grupy, budzą się z odrętwienia i walczą w naszej obronie".

Wiosną 1949 r. w więzieniu rozdzielczym w Nowosybirsku w jednym

GRAŻYNA LIPIŃSKA
„JEŚLI ZAPOMNĘ O NICH..."
EDITIONS SPOTKANIA

z drewnianych baraków zamknięto ok. 260 kobiet – głównie Ukrainek i Niemek, po 20 Litwinek, Łotyszek i Polek oraz 30 rosyjskich monaszek. W sąsiednim baraku ulokowano kryminalistów, przeważnie recydywistów, „najbardziej zbrodniczy element, [którzy] siedzieli już wiele lat w różnych obozach".

Pewnej nocy kobiety obudził „huk wyważanych drzwi i dziki, triumfujący wrzask". To kryminaliści wyłamali kraty w swoim baraku i wdarli się do kobiecego. „Jedni rzucają się na leżące najbliżej drzwi Niemki, inni rozbiegają się po baraku. Kobiety uciekają, krzycząc. Jeden z bandytów woła: »Każdą krzyczącą dziwkę uciszymy nożem«!. Wtedy monaszki szybko i zwinnie chwytają 20 najbliższych dziewcząt, przyciągają do swego ciemnego kąta, siadają na nich jak na tobołkach okrywając je swoimi szerokimi spódnicami i rozpoczynają codzienny modlitewny chór. Na mnie i na moją sąsiadkę jedna z nich rzuca habit mniszki. W baraku dzieją się rzeczy potworne – masowy gwałt bezbronnych kobiet, płacz i jęk. Worów [złodziei] jest kilkudziesięciu, same dzikie zwierzęta. Rozbestwia ich niemiecki język krzyczących o pomoc Niemek, kneblują usta, kaleczą, oporne rozciągają na ziemi i po kolei gwałcą. Wyciągają kryjące się po kątach dziewczęta. Na monaszki nawet nie patrzą, obrzucając je tylko plugawymi obelgami, spluwają z obrzydzenia. »Gniłyje staruchy! Proklatyje monaszki!«".

„Dobre siostrzane białoruskie serca..."

Przytoczone historie to zaledwie ułamek z wielu, opisanych przez Grażynę Lipińską w jej wspomnieniach pod mickiewiczowskim tytułem „Jeśli zapomnę o nich" (z których też zaczerpnąłem cytaty do tego tekstu). Wspomnieniach, będących wszakże tylko jednym z tysięcy świadectw losu kobiet różnych wyznań i narodowości, które doświadczyły komunistycznych prześladowań, głodu, poniewierki, pracy ponad siły, bicia, zwykle śmierci najbliższych w sowieckich więzieniach i obozach koncentracyjnych. Wspomnieniach, w których czasem zaledwie jednym zdaniem upamiętniono ich cierpienie, jak Ukrainki Oksany, o której Lipińska pisała jako na pozór młodej, silnej i zdrowej dziewczynie, która jednak „przy każdorazowym otwarciu ust pada jak martwa. Jest to następstwo bicia po głowie w czasie przesłuchań".

Wspólny los Polaków i innych mieszkańców ziem będących niegdyś częścią Rzeczypospolitej Obojga Narodów – Białorusinów, Ukraińców, Żydów, Tatarów – tak pięknie oddaje Lipińska, kiedy wspomina: „Siada koło mnie młodziutka Białorusinka, głaszcze delikatnie moje ręce i szepce cichutko drżącym głosem: »Moja Białoruś także w niewoli«. Jakby zwierzeniem swego tajnego cierpienia chciała zmniejszyć moje. Już wiem, za co męczy je Moskwa: za ich dobre siostrzane białoruskie serca".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest pracownikiem Biura Edukacji Narodowej IPN, profesorem Uczelni Łazarskiego.

eprasa.pl baf56fd269

RYS. KRZYSZTOF WYSOCKI

1941–1945 / Od batalionu „Nachtigall" do SS-Galizien

Ukraińscy esesmani

Arkadiusz Karbowiak

Wiosną 1943 r. do punktów werbunkowych SS zgłosiło się aż 81 999 ukraińskich ochotników, z których 11 578 ostatecznie przyjęto do służby

Upadek II RP na przełomie września i października 1939 r. spowodował, że znacząca część ziem zamieszkałych przez ludność pochodzenia ukraińskiego znalazła się pod sowiecką okupacją. Dla dążących do utworzenia samostijnej Ukrainy przywódców Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów stało się jasne, że od tego momentu głównym wrogiem ukraińskich dążeń niepodległościowych jest ZSRS. Wspomniani liderzy mieli także świadomość tego, że powstanie państwowości ukraińskiej będzie możliwe tylko dzięki współpracy z III Rzeszą. Jednym z jej elementów było stworzenie w ramach armii niemieckiej złożonej z Ukraińców jednostki wojskowej. W tym celu nawiązano kontakty z Oberkommando der Heeres (Naczelne Dowództwo Wojsk Lądowych) i wywiadem wojskowym. W efekcie prowadzonych rozmów 25 lutego 1941 r. szef Abwehry admirał Wilhelm Canaris wyraził zgodę na utworzenie dwóch niewielkich podległych Abwehrze ukraińskich oddziałów.

Proces formowania pierwszego z nich, noszącego nazwę Sonderverband „Nachtigall", czyli słowik (nazwa pochodziła od batalionowego chóru), rozpoczął się w marcu 1941 r. w Krakowie. Stamtąd ukraińskich ochotników dyslokowano do ośrodka szkoleniowego w Neuhammer (Świętoszów) na Śląsku. Dowódcą batalionu został oberlejtnant Albert Harzner, oficer Abwehry znany z mającej miejsce tuż przed wybuchem wojny polsko-niemieckiej akcji dywersyjnej na Przełęczy

eprasa.pl baf56fd269

Jabłonkowskiej. Oficerem łącznikowym jednostki mianowano Theodora Oberländera, późniejszego ministra ds. uchodźców w rządzie kanclerza Konrada Adenauera. Obok Niemców w gronie kadry dowódczej znaleźli się również Ukraińcy. Jednym z nich był późniejszy komendant główny UPA, Roman Szuchewycz.

„Nachtigall" liczył początkowo 330 żołnierzy umundurowanych w sorty mundurowe Wehrmachtu. Dla odróżnienia od innych niemieckich jednostek ukraińscy ochotnicy, będący głównie członkami lub sympatykami OUN-B, na pagonach przypinali żółto-niebieskie kokardy. Podporządkowany 800. Szkolnemu Pułkowi Brandenburg do Zadań Specjalnych, a operacyjnie 1. Dywizji Strzelców Górskich, 22 czerwca 1941 r. przeprawił się przez San i wyruszył w kierunku Lwowa.

Do miasta wkroczył 30 czerwca 1941 r. o godz. 4.30. „Słowiki" zajęły najważniejsze budynki użyteczności publicznej, ale wbrew lansowanym po wojnie tezom komunistycznej propagandy nie wzięły udziału w masakrze lwowskich profesorów dokonanej na Wzgórzach Wuleckich 4 lipca 1941 r. Istnieje natomiast prawdopodobieństwo uczestnictwa niektórych żołnierzy batalionu w przeprowadzonym pogromie ludności pochodzenia żydowskiego. Nie były to jedyne przestępstwa dokonane na Żydach – w okolicy Winnicy nachtigallowcy rozstrzelali nieustaloną liczbę osób wyznania mojżeszowego.

Z uwagi na fakt aresztowania przywódców frakcji banderowskiej OUN i krytyczną ocenę tego kroku wyrażaną przez żołnierzy, batalion wycofano do Frankfurtu nad Odrą, gdzie przeformowano go wraz bliźniaczym 269-osobowym, działającym na południowym odcinku frontu wschodniego batalionem „Rolland", w 201. batalion Schutzmannschaft. Wiosną został on skierowany na terytorium Reichskomisariatu Ostland, a konkretnie na Białoruś. Tam jego żołnierze rozpoczęli pełnienie rocznej służby kontraktowej, biorąc udział w walkach z sowiecką partyzantką oraz działaniach pacyfikacyjnych wobec wsi białoruskich, wspierających dobrowolnie i przymusowo czerwonych partyzantów. Podczas tych akcji zginęło 49 żołnierzy, a 40 odniosło rany. Dowódcą batalionu był mr Jewhen Pobihuszczy, a niemieckim oficerem nadzorującym – kapitan policji Wilhelm Mocha. Po rocznym pobycie w Reichkomisariacie Ostland batalion rozwiązano.

Żołnierze batalionu „Nachtigall" FOT. WIKIPEDIA

SS–Galizien

Z inicjatywą utworzenia kolejnej ukraińskiej jednostki wojskowej, ale funkcjonującej w strukturach SS, wystąpił gubernator dystryktu lwowskiego Austriak SS-Brigadeführer Otto Wächter. Już 24 grudnia 1942 r. wystosował on w tej sprawie pismo do SS-Reichsführera Himmlera. 2 marca 1943 r. doszło do spotkania, na którym Himmler zaakceptował propozycję Wächtera. W tym samym czasie z podobną inicjatywą wystąpił przewodniczący Ukraińskiego Centralnego Komitetu prof. Włodymyr Kubijowicz. W reakcji na ten fakt jeszcze w marcu gubernator Wächter we współpracy z UCK powołał do życia Wojskową Uprawę (Zarząd Wojskowy), strukturę zajmującą się rekrutacją Ukraińców chcących służyć w dywizji. Na jej czele stanął Austriak weteran Ukraińskiej Halickiej Armii, płk Alfred Bisanz. Spośród 12 pracujących w WU Ukraińców aż pięciu należało do OUN-B, co wskazywało, iż organizacja ta pomimo dystansowania się wobec idei powołania jednostki, starała się kontrolować proces jej formowania.

28 kwietnia ogłoszono oficjalną informację o rozpoczęciu naboru. Trwał on przez cały maj, a efekty przekroczyły najśmielsze oczekiwania jego organizatorów, ponieważ – jak pisał 3 czerwca 1943 r. w liście do SS-Reichsführera Heinricha Himmlera szef SS-HA Hauptamtu, czyli Głównego Urzędu SS, SS-Obergruppenführer Gotlob Berger – do punktów werbunkowych zgłosiło się aż 81 999 ochotników, z których 11 578 ostatecznie uznano za zdolnych do służby. Ukraińscy rekruci szkolili się na terenie poligonu Heidelager (Pustków) pod Dębicą. Wyższa kadra dowódcza dywizji składała się głównie z Niemców.

Pierwszym dowódcą został mianowany 30 czerwca 1943 r. SS-Gruppenführer Walter Schimana. Okres kierowania przez niego dywizją był krótki, już we wrześniu otrzymał bowiem nominację na Wyższego Dowódcę SS i Policji w Grecji. Na stanowisku dowódcy jednostki zastąpił go SS-Brigadeführer Fritz Freitag. Obok Niemców sporą część kadry oficerskiej stanowili ofic.erowie ukraińscy. W październiku 1943 r. było ich 206 na ogólną liczbę 234. Większość z nich miała za sobą służbę w Legionie Strzelców Siczowych, Ukraińskiej Halickiej Armii, armii Ukraińskiej Republiki Ludowej, armii carskiej i austro-węgierskiej. Niektórzy w okresie istnienia II Rzeczypospolitej – jak Waffen-Sturmbannführer Ewhen

eprasa.pl baf56fd269

Wojsko niemieckie wkracza do Lwowa, 1941 r. FOT. WIKIMEDIA COMMONS

Pobihuszczy czy Waffen-Hauptsturmführer Borys Barwiński – byli oficerami kontraktowymi Wojska Polskiego.

Zgodnie z założeniami, dywizja miała charakter galicyjski, a nie ukraiński. Dlatego symbolem jednostki nie został trużyb, ale żółty galicyjski lew z trzema złotymi koronami na niebieskim polu. Ów lew czasami widniał także na patkach kołnierzowych noszonych przez Ukraińców mundurów polowych SS. Dywizja należała do tych jednostek SS, w których swą pracę duszpasterską mogli pełnić kapelani wojskowi. W SS-Galizien było ich 12, wyznaczonych przez metropolitę Andrija Szeptyckiego. Według stanu na dzień 30 czerwca 1944 r. w dywizji służyło 346 oficerów, 1131 podoficerów i 13 822 szeregowych: w sumie 15 299 ludzi. Większość ochotników wstąpiła do dywizji z pobudek patriotycznych. Jeden z nich tak pisał do swych rodziców: „Droga Matko i Ojcze, wstąpiłem do dywizji Galizien. Wierzę, że nie będziecie temu przeciwni. Poszedłem za głosem sumienia. Chcę spełnić obowiązek wobec mojego narodu… Nadszedł ten moment i jeśli przegramy, nie powinniśmy siebie nazywać narodem".

Rzeź polskich wiosek

Wypada wspomnieć, że nadwyżki etatowe wolontariuszy, którzy z różnych względów nie znaleźli się w dywizji, skierowano do formowanych poza nią pięciu pułków policyjnych o numerach od 4 do 8. 16 lutego 1944 r. Himmler dał Wyższemu Dowódcy SS i Policji „Wschód" SS-Obergruppenführerowi Wihlemowi Kopnemu prawo do rozporządzania pułkami. Ten natychmiast dwa z nich – 4 i 5 – skierował do Galicji Wschodniej i na Lubelszczyznę do walki z partyzantami. Ta pierwsza z wymienionych jednostek krwawo zaznaczyła tam swoją obecność. Jej dowódca podpułkownik Schutzpolizei Sigfrid Binz, dowodzący wcześniej 307. batalionem policyjnym, miał doświadczenie w prowadzeniu brutalnych operacji antypartyzanckich. 23 lutego 1944 r. II batalion 4. pułku policji pojawił się w okolicy wsi Huta Pieniacka.

Policjanci mieli informacje o tym, że we wsi często stacjonuje sowiecki pododdział partyzancki płk. Dimitrija Miedwiediewa, podległy 4. Zarządowi NKGB. Ale to nie ta grupa, lecz oddział polskiej samoobrony dowodzony przez Kazimierza Wojciechowskiego wsparty przez pluton AK z pobliskiej Huty Wierhobuskiej uniemożliwił wkroczenie ukraińskim policjantom do wsi. Podczas starcia zginęło dwóch Ukraińców, a trzeci ciężko ranny zmarł wskutek odniesionych ran dwa dni później. Pięć dni później, 28 lutego 1944 r., ten sam ukraiński batalion pojawił się w pobliżu wsi po raz wtóry. Tym razem napastnicy otoczyli wieś szczelnym pierścieniem i po wystrzeleniu trzech rakiet przystąpili do ataku. Wewnątrz wsi doszło początkowo do kilku pojedynczych egzekucji, które jednak potem przerodziły się w masakrę. Mieszkańców wsi zamykano w budynkach, a następnie je podpalano. W rzezi zginęło od 600 do 800 osób.

Mniej krwawy charakter miały działania 5. pułku policyjnego skierowanego na Lubelszczyznę. Toczył on zacięte walki tak z polską, jak i sowiecką partyzantką. Pod Chmielnikiem ukraińscy esesmani zaatakowali pododdział 1. Ukraińskiej Dywizji Partyzanckiej płk. Piotra Werszyhory, zabijając w boju 17 Sowietów, a tracąc czterech rannych. W tym boju straty wysokości dwóch zabitych i sześciu rannych poniosła wspierająca 5. pułk wydzielona z dywizji SS-Galizien Grupa Bojowa Beyersdorff. Wspomniana Kampfgruppe nie mogła poszczycić się żadnymi szczególnymi osiągnięciami w walkach z partyzantami z uwagi na brak doświadczenia jej żołnierzy w zwalczaniu formacji nieregularnych. Dlatego 30 marca 1944 r. KG Beyersdorff została rozwiązana.

Podobnie postąpiono z pułkami policyjnymi. Policjantów 9 czerwca 1944 r. przekazano do dywizji „Galizien". Warto nadmienić, że służący szczególnie w 5. pułku ochotnicy byli rezerwuarem kadr dla tworzącej się na Lubelszczyźnie ukraińskiej partyzantki. Tylko w marcu 1944 r. do UPA zdezerterowało 136 ukraińskich esesmanów. Wśród nich był późniejszy komendant odcinka taktycznego Danyliw UPA, chorąży (pośmiertnie awansowany do stopnia majora) Marian Łukaszewycz „Jehoda".

Inną jednostką ukraińską, która w marcu 1945 r. weszła w skład dywizji, a której żołnierze ponosili odpowiedzialność za zbrodnie wojenne, był 31. Schutzmannschafts-Bataillon der Sipo (w literaturze historycznej często błędnie identyfikowany jako batalion SD), nazywany powszechnie Wołyńskim Legionem Samoobrony albo Ukraińskim Legionem Samoobrony. Legion powstał na Wołyniu na podbudowie kadrowej byłych policjantów ukraińskich z Krzemieńca, którzy zdezerterowali i utworzyli oddział melnykowskiej partyzantki pod wodzą Mykoły Nedzwiedśkiego „Chrina" (był komendantem policji ukraińskiej w Krzemieńcu). Inicjatorem powstania legionu ze strony ukraińskiej był członek wołyńskiej egzekutywy OUN-M Mychajło Sołtys „Czerkas". On to wraz Mychajło Karkociem „Wowkiem" wynegocjował w trakcie rozmów z przedstawicielami niemieckiej policji bezpieczeństwa w osobach funkcjonariusza Sipo z Łucka SS-Huaptsturmführera Siegfrieda Assmusa i szefa Policji Bezpieczeństwa i Służby Bezpieczeństwa (KdS – Komendantur Sipo und SD) w Równym

eprasa.pl baf56fd269

SS-Sturmbannführera Karla Pütza, warunki utworzenia jednostki. Komendę nad nią objął wspomniany SS-Hauptstrumführer Siegfried Assmus.

ULS pod jego dowództwem już w styczniu 1944 r. na Wołyniu zwarł się w bojach z Sowietami i oddziałami 27. Wołyńskiej Dywizji AK. Pod koniec lutego legioniści znaleźli się na Lubelszczyźnie, a w marcu 1944 r. starli się z I Batalionem BCh Stanisława Basaja -Kraski „Rysia". Na terenie powiatu krasnostawskiego w miejscowości Chłaniów żołnierze ULS 23 lipca 1944 r. dopuścili się zbrodni wojennej. Jej przyczyną było zdarzenie, do którego doszło dzień wcześniej. 22 lipca w godzinach wieczornych zginął w zasadzce zorganizowanej przez komunistycznych partyzantów dowódca legionu SS-Hauptsturmführer Siegfried Assmus. W odwecie ULS-owcy dokonali pacyfikacji współpracującej z partyzantami miejscowości. W jej trakcie spalono 41 zabudowań oraz zamordowano 44 osoby.

Kocioł pod Brodami

W wrześniu 1944 r. 219-osobowa grupa bojowa batalionu trafiła do Warszawy, gdzie na przyczółku czerniakowskim wzięła udział w walkach z powstańcami warszawskimi oraz jednostkami 1. Armii (ludowego) Wojska Polskiego. W ciągu trzytygodniowych walk zginęło 10 legionistów, a 34 odniosło rany. Od 24 września wycofany z Warszawy ULS uczestniczył w Puszczy Kampinoskiej w antypartyzanckiej operacji „Spadająca Gwiazda". Po jej zakończeniu legioniści przeniesieni zostali na Morawy, a potem do Słowenii. Tam w marcu 1945 r. włączono ich do dywizji Galizien.

W lipcu 1944 r. sama dywizja została wysłana na pierwszą linię frontu. Jako pierwszy chrzest bojowy przeszedł – odpierając w Ożydowie ataki sowieckiego lotnictwa – 14. dywizjon artylerii przeciwlotniczej. Reszta jednostek została rzucona do walki, kiedy 14 lipca 1944 r. sowieckie natarcie wbiło się klinem na wschód od Brodów w linie obronne dwóch niemieckich dywizji piechoty. Następnego dnia w godzinach rannych

Znaczek wydany w 100. rocznicę urodzin Romana Szuchewycza, dowódcy UPA FOT. WIKIPEDIA

ukraińscy esesmani z 30. pułku starli się w rejonie Kotłowa z sowiecką 336. Dywizją Strzelecką. Podczas zaciętych walk udało się zniszczyć kilka bolszewickich czołgów T-34.

Dzień później podobne osiągnięcia zanotowała kompania przeciwpancerna Waffen-Obersturmführera Ostapa Czuczkiewicza. Za wykazane w walce męstwo jej dowódca odznaczony został Krzyżem Żelaznym I klasy. Pomimo zatrzymania tempa sowieckiego natarcia dywizja wraz innymi jednostkami niemieckimi znalazła się w okrążeniu i jako związek taktyczny przestała istnieć. Poszczególne jej oddziały na własną rękę próbowały wyrwać się z kotła. Sztuka ta udała się 3 tys. żołnierzy, z których sporą część stanowili Niemcy. Straty dywizji były olbrzymie i wyniosły 7 tys. zabitych, rannych i zaginionych. Ich skalę obrazują ubytki poniesione przez 30. pułk grenadierów. Z 1903 żołnierzy zdołało się wydostać z okrążenia zaledwie 461. Zaginęło (część zginęła lub została rozstrzelana, inni dostali się do niewoli) 17 oficerów (czterech Niemców i 13 Ukraińców), 56 podoficerów (42 Niemców i 14 Ukraińców) i 1369 szeregowych (trzech Niemców, 1366 Ukraińców).

Nie wszystkich spośród zaginionych można traktować jako poległych lub jeńców. Część się uratowała, wstępując w szeregi UPA. Analiza biografii działających na terenach powojennej Polski dowódców sotni UPA pozwala stwierdzić, że weteranami dywizji SS-Galizien byli: dowódca sotni Udarnyk 1 Danyło Swisteł „Wesełyj", dowódca przemyskiego kurenia UPA Mychajło Galo „Konyk", dowódca sotni Udarnyk 8 – Longin Kołat „Stach", dowódca sotni Udarnyk 6 Mychajło Kuczer „Jar" i zastępca dowódcy sotni Udarnyk 2 Dmytro Karwańskyj „Orskij".

Klęska poniesiona pod Brodami zmusiła dowództwo niemieckie do reorganizacji z jednostki. Po jej zakończeniu w październiku 1944 r. dywizję przetransportowano na Słowację i skierowano do tłumienia trwającego tam od sierpnia powstania. Bezpośrednio do zwalczania powstańców wydzielono dwie grupy bojowe Kampfgruppe noszące od nazwisk dowódców nazwy „Wildner" i „Wittermayer". Toczone przez nie walki nie mogły być zbyt intensywne, skoro ukraińskie straty wyniosły zaledwie 19 zabitych i 74 rannych. 17 listopada 1944 r. do dywizji „Galizien" wróciła 300-osobowa grupa żołnierzy ukraińskich pełniących przez pewien czas służbę w 5. Dywizji Pancernej SS „Wiking".

Jej dowódca SS-Standartenführer Karl Urllich pożegnał ich słowami: „Ochotnicy w walce przeciwko bolszewizmowi! Za nami trzy tygodnie ciężkich walk. Wypełniliście swoje obowiązki i przyczyniliście się do tego, że możliwe było utrzymanie frontu, mimo przeważających sił wroga… Dziękuję Wam za okazaną wolę walki przeciwko bolszewizmowi i życzę Wam żołnierskiego szczęścia w szeregach galicyjskiej Dywizji Ochotników SS, aż do zwycięstwa nad naszym wrogiem, bolszewizmem".

W styczniu 1945 r. FHA-SS (Dowództwo Wojsk SS) wydało rozkaz przeniesienia dywizji do Styrii. Dyslokacja odbywała się pieszo. Dywizyjniacy dziennie maszerowali 30–40 km. Jednostkę podporządkowano Wyższemu Dowódcy SS i Policji Alpenland SS-Obergruppenführerowi Erwinowi Rösenerowi. Zadaniem ukraińskich żołnierzy było oczyszczenie obszarów północnej Słowenii z oddziałów komunistycznej partyzantki. Po dwóch miesiącach służby jednostkę przesunięto do Austrii. Tam 24 kwietnia 1945 r., ale tylko teoretycznie, weszła ona w skład Ukraińskiej Armii Narodowej, w rzeczywistości bowiem próba objęcia komendy nad jednostką przez Ukraińców zakończyła się tylko częściowym powodzeniem z uwagi na to, że SS-Brigadeführer Fritz Freitag zdecydował się przekazać ukraińskiemu generałowi Mychajłowi Kratowi dowodzenie głównie nad jednostkami zapasowymi dywizji.

8 maja 1945 r. 14. Dywizja Grenadierów SS-Galizien zeszła z linii frontu, a jej żołnierze poddali się Brytyjczykom. Pomimo rozlicznych nacisków sowieckich alianci zachodni nie zdecydowali się na wydanie żołnierzy dywizji, będących przedwojennymi polskimi obywatelami, w ręce bolszewików.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl baf56fd269

FOT. WIKIPEDIA (2)

XX w. / Romans Inessy Armand i Włodzimierza Uljanowa

Kochanka Lenina

eprasa.pl baf56fd269

Piotr Semka

Niedawno z prośbą o wywiad zwróciła się do mnie dziennikarka z Białorusi o nieczęstym imieniu Inessa. Zapytana o oryginalne imię przyznała, że było ono i jest popularne na terenie dawnych państw ZSRS, ale nie wiedziała dlaczego

Wtedy ja przypomniałem sobie dziwną i jedyną w swoim rodzaju legendę Inessy Armand, długoletniej kochanki Lenina, której sława w kraju Sowietów funkcjonowała na jedynych w swoim rodzaju zasadach.

Urodzona w 1874 r. jako Inessa Pécheux d'Herbenville, w wieku pięciu lat straciła oboje rodziców i przygarnęła ją francuska ciotka mieszkająca w Moskwie. Tu poznała rosyjski i nabrała niechęci do caratu. Ożeniona z kupcem Aleksandrem Armandem szybko rzuciła go dla jego młodszego brata, a potem związała się z ruchem marksistowskim, zaczynając karierę zawodowej rewolucjonistki. W 1903 r. wstąpiła do Socjaldemokratycznej Partii Rosji, a gdy cztery lata później aresztowano ją z ulotkami, trafiła na syberyjskie zesłanie na dwa lata, po czym zbiegła na Zachód.

Jak wszystkie wyzwolone obyczajowo działaczki tej doby żyła, z kim chciała, zmieniając ciągle miejsca pobytu stosownie do poleceń partii. W Paryżu w końcu drogi Inessy zbiegły się z liderem frakcji bolszewików – Włodzimierzem Leninem. Poznali się w Paryżu w 1910 r., ale płomienny romans rozgorzał ponoć na polskiej ziemi, w Krakowie, gdy Inessa przybyła z partyjną misją do Lenina. Czy Krupska – z racji postępowych poglądów – bez oporu zaakceptowała romans męża z młodszą o pięć lat rywalką, czy też była zmuszona go znosić? Zdania są podzielone. Faktem jest, że to Lenin dysponował pieniędzmi od bogatych sponsorów rewolucji w rodzaju Aleksandra Parvusa. Gdyby porzucił Krupską, ta nie bardzo miałaby się gdzie podziać sama na obczyźnie. Zresztą konwencja „le mariage à trois" nie była wówczas w kręgu postępowej inteligencji rosyjskiej czymś wyjątkowym. Według książki Aleksandra Sołżenicyna „Lenin w Zurychu" romans jeszcze bardziej rozkwitł w czasie wojennego pobytu w Szwajcarii.

Pozycja Inessy była na tyle mocna, że znalazła się na liście 26 bolszewików, których Niemcy przepuścili w zaplombowanym wagonie ze Szwajcarii do wówczas rosyjskiej Finlandii. Stale była niedaleko wodza rewolucji, choć – jak twierdzą historycy – po rewolucji październikowej romans wystygł. Nic dziwnego. Kochankami Lenina stały się wtedy furie nieograniczonej władzy i terroru.

Inessa została szefową Żenotdiełu, czyli wydziału kobiecego partii, gdzie lansowała tolerancję dla równouprawnienia, swobody obyczajowej i aborcji na życzenie. Jeszcze w 1920 r. przewodniczyła międzynarodowej konferencji kobiet komunistycznych. Zarażona cholerą zmarła w Nalcziku 24 września 1920 r. w wielu 46 lat. Na polecenie Lenina pochowano ją w niezwykle zaszczytnym miejscu – w Murze Kremlowskim, co było przywilejem jedynie najwyższych rangą person w Rosji sowieckiej.

W kraju, w którym życiorys Lenina był skrupulatnie usankcjonowaną hagiografią, informacja, że miał kochankę i zdradzał Nadieżdę, była nie do przyjęcia dla propagandzistów.

Za pomocą półsłówek i aluzji historycy i dziennikarze dawali do zrozumienia, że Inessa była kimś ważnym dla Lenina. Być może ktoś uznawał, że w tej jednej sprawie można nieco ocieplić i uczłowieczyć image wodza rewolucji. Ale wprost o sprawie nie mówiono na głos.

Gdy w scenariuszu kręconego w 1980 r. sowieckiego filmu „Lenin w Paryżu" znalazł się epizod spotkania Lenina z ukochaną Inessą Armand na ławce w paryskim parku, władze partyjne nakazały zmienić scenę. Filmowa Inessa, owszem, zakochuje się, ale w przybyłym z Rosji na emigrację młodym robotniku – rewolucjoniście Trofimowie.

Subtelny nimb otaczał też syna Inessy, urodzonego w 1903 r. Andrieja, w którym dopatrywano się syna Lenina. Podkreślano jego bohaterską śmierć na froncie w 1944 r., nie wyjaśniając, dlaczego wyróżnia się go z milionów poległych bohaterów ostatniej wojny. Swoją ulicę w Moskwie piękna Inessa dostała późno, bo dopiero w 1984 r. Dlaczego akurat wtedy? No cóż. Całe losy pamięci o pięknej „Leninessie" pełne są zagadek...

Inessa Armand z dziećmi

FOT. DOMENA PUBLICZNA

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl baf56fd269

1940 r. / Operacja „Lew Morski": podbój Anglii

Adolf Hitler podczas narady sztabowej

FOT. BUNDESARCHIV BILD

Największy blef Hitlera

Radosław Golec

Luftwaffe nie pokonała RAF, Kriegsmarine nie miała szans z Royal Navy, Wehrmacht stał na francuskim brzegu...

Po kapitulacji Francji w czerwcu 1940 r. Adolf Hitler wierzył, że wojna jest już przez niego wygrana. Uważał, że wystraszona jego błyskawicznymi podbojami na zachodzie Wielka Brytania padnie przed nim na kolana i poprosi o podpisanie pokoju. W takiej sytuacji rząd Churchilla musiałby upaść, powstałby nowy, bardziej ugodowy, chętny do współpracy z Niemcami, nowymi panami Europy.

Spełniłoby się wówczas jego marzenie o niemiecko-brytyjskim przymierzu dwóch aryjskich narodów. Tak się jednak nie stało. Zarówno jego wcześniejsze oferty, jak i ta najsłynniejsza, wygłoszona 19 lipca w Reichstagu, zostały zdecydowanie odrzucone. Przeczuwając reakcję Brytyjczyków, 16 lipca Hitler podpisał dyrektywę numer 16 – rozkaz przygotowania planu inwazji na Wyspy Brytyjskie. Ze względów pogodowych plan miał być gotowy do realizacji nie później niż w połowie września 1940 r.

Mam plan!

W ciągu sześciu tygodni niemiecki sztab opracował operację, której nadano kryptonim Seelöwe (Lew Morski). Uznano, że jedyną szansą jej powodzenia jest wcześniejsze zdobycie bezwzględnej dominacji w powietrzu. Niemieckie samoloty musiały najpierw całkowicie zniszczyć siły powietrzne RAF. Następnie do akcji miała wkroczyć Kriegsmarine, aby uzyskać lokalną przewagę na morzu. Dopiero wtedy możliwy był desant tysięcy żołnierzy na angielskich plażach. Zatem pierwsze zadanie do spełnienia miało Luftwaffe, a następnie hitlerowska marynarka wojenna. Dopiero na końcu wykazać się miały siły lądowe.

Już na początku wykluczono możliwość okrążenia wyspy i uderzenia w nią z kilku kierunków na raz. Rozproszone jednostki nie mogły być skutecznie chronione przez samoloty i jednostki morskie. Ponadto przypływy i odpływy w różnych miejscach kraju następowały w różnym czasie. Odznaczałoby to, że poszczególne siły inwazyjne zmuszone by były atakować w różnych porach dnia i nocy. Atak pozbawiony by został elementu zaskoczenia. Dlatego lądowanie musiało nastąpić w kilku miejscach, ale na bardzo wąskim odcinku. Dowódca Kriegsmarine admirał Erich Raeder doskonale to rozumiał. Udało mu się wybić z głowy szefom sztabu głównego pomysł

eprasa.pl baf56fd269

szerokiego frontu rozciągającego się na południu od Dorset do Dover.

Ukrycie przed wrogiem nagromadzenia floty na otwartym morzu było niemożliwe. Niezwykle istotne było więc zachowanie do samego końca tajemnicy dotyczącej momentu rozpoczęcia najazdu. Jako miejsce ataku wytypowano okolice Dover – miasta ulokowanego najbliżej francuskiego wybrzeża. Plan zakładał użycie dwóch grup armii lądowych. Pierwsza była złożona z usytuowanej w okolicach Cherbourga 6. Armii pod dowództwem Waltera von Reichenaua oraz 9. Armii Johannesa Blaskowitza z Le Havre. W skład drugiej grupy wchodziła 16. Armia Ernsta Buscha. Atak tej ostatniej miał nastąpić z okolic Calais i Dunkierki.

Pierwszy i najtrudniejszy etap inwazji, a mianowicie zdobycie i zabezpieczenie miejsca lądowania wojska, miał nastąpić w trzech fazach. Do natarcia przekierowano by dziewięć dywizji, prawie 70 tys. żołnierzy. Przed świtem, kilka godzin po przypływie, oddziały piechoty miały przekroczyć kanał na barkach rzecznych, amfibiach i motorówkach. Ich atak wspierany byłby przez świetnie wyszkolonych komandosów z jednostki Brandenburg. Po udanym lądowaniu barki zostałyby odholowane z powrotem do wybrzeży Francji i Belgii. Posłużyłyby w trzeciej fazie najazdu. Jednocześnie trzy tysiące spadochroniarzy miało za zadanie opanować lotnisko RAF i zabezpieczyć mosty na historycznym Royal Military Canal. Dzięki temu Niemcy zdobyliby port Folkestone niezbędny do dostarczenia ciężkiego sprzętu na ląd.

W drugim etapie do akcji wkroczyłoby kolejnych osiem dywizji Wehrmachtu, w tym wszystkie pancerne i zmotoryzowane. Duże jednostki morskie miały przetransportować artylerię, pojazdy opancerzone oraz czołgi. W ostatniej fazie do sił inwazyjnych miało dołączyć kolejnych sześć dywizji. Żołnierzom na barkach towarzyszyć miały personel pomocniczy, zaopatrzenie oraz lekkie pojazdy. Na pokład łodzi planowano załadować także setki koni. Po opanowaniu wybrzeża nadszedłby czas na działania armii lądowej, która ruszyłaby w kierunku oddalonego nieco ponad 100 km Londynu.

Plan zakładał wcześniejsze zaminowanie wód dookoła kanału w celu zablokowania nieprzyjaciela w dostępie do niemieckiej floty. Ta na każdym etapie posiadałaby ochronę w postaci U-Bootów i maszyn Luftwaffe. Część z messerschmittów planowano wyposażyć w tajną broń: przymocowane do brzucha kadłuba długie kable z obciążnikami. Ich zadaniem było uszkadzanie linii elektrycznych wroga powodujące energetyczny paraliż, zaciemnienie i panikę wśród mieszkańców miast. Niemcy szykowali także podstęp. Trzy dni przed rozpoczęciem operacji kilkanaście statków bez żołnierzy (w tym wszystkie dostępne krążowniki) miało wypłynąć w kierunku Szkocji. Ich zadanie polegałoby na zmyleniu brytyjskiej floty, która oddalając się od kanału, podążyłaby za flotyllą.

Na przyszłego zarządcę okupowanej Anglii wyznaczony został pełniący wówczas obowiązki naczelnego dowódcy armii gen. Walther von Brauchitsch. Z jego zarządzenia po udanym podboju 2 mln jeńców wojennych zostałoby wywiezionych do specjalnych obozów we Francji. Część z nich zapędzono by do pracy przymusowej. Okupacja miałaby bardzo łagodny charakter, podobny do tego, jaki zastosowany został wobec Wysp Normandzkich – jedynego skrawka królestwa, jaki do tej pory udało się Niemcom podbić.

Sposób, w jaki Wehrmacht miał zachowywać się na wyspie, został dokładnie określony przez Brauchitscha w specjalnym „Przewodniku dla wojska w okupowanej Anglii". Wprowadzał on karę śmierci dla żołnierzy dokonujących aktów przemocy wobec ludności cywilnej. Wszelkie kradzieże musiały być zwracane w gotówce (za każdy ukradziony funt należał się zwrot w wysokości 9 marek). Niepotrzebne antagonizowanie zwykłych Brytyjczyków, którzy w opinii Niemców należeli również do nordyckiej rasy panów, było zabronione.

Akcją policyjną na zdobytych terenach miał się zająć stojący na czele Einsatzgruppe England oficer SS Franz Six (w późniejszym okresie inwazji na ZSRS jeden z dowódców Einsatzgruppe B). Jego główne zadanie polegałoby na zwalczaniu antynazistowskiego elementu na wyspach. Na polecenie Reinharda Heydricha, szef SD (wywiadu SS) Walter Schellenberg opracował mu dokładną listę osób, które miały zostać schwytane i wyeliminowane po udanej inwazji, tzw. Czarną Księgę. Ofiarami ulokowanego w Londynie Sixa miało paść blisko 3 tys. osób. Na liście w alfabetycznym porządku znaleźli się prominentni Brytyjczycy, m.in. członkowie rządu z Churchillem na czele, profesorowie uniwersytetów, słynny pisarz science fiction H.G. Wells i twórca psychoanalizy Sigmund Freud (mimo że ten zmarł niecały rok wcześniej). SS planowała także „ewakuację" z wyspy

RYS. JACEK GRAMBURG

eprasa.pl baf56fd269

Wyładunek czołgu Panzer III podczas przygotowań do operacji desantowej FOT. BUNDESARCHIV BILD

300 tys. brytyjskich Żydów, świadków Jehowy i innych „niepożądanych elementów". Czarna Księga zawierała dokładne listy organizacji żydowskich, masońskich, także listę muzeów i dzieł sztuki, które miały zostać wywiezione do Rzeszy.

Okupanci wytypowali także listę potencjalnych kolaborantów, głównie szefów policji. Na czele marionetkowego rządu większą szansę miałby stanąć raczej któryś z ówczesnych angielskich polityków niż przysłany z Berlina gauleiter. Na tę funkcję rozważano lidera Brytyjskiej Unii Faszystów Oswalda Mosleya. Hitler skłaniał się jednak ku kandydaturze kogoś bardziej szanowanego, postaci formatu Philippe'a Pétaina. Możliwe, że kolaboracyjny gabinet stworzyłby wcześniejszy piewca dyktatora i przeciwnik Churchilla Lloyd George.

Rezygnacja z inwazji

Raeder był bardzo sceptyczny co do szans powodzenia „Lwa Morskiego" i proponował przełożenie operacji na wiosnę 1941 r. Rozumiał, że nawet gdyby udało się Luftwaffe uzyskać „czyste niebo" nad kanałem, to jego Kriegsmarine nie byłaby w stanie zdobyć dominacji na morzu. Bez niej barki z żołnierzami zostałyby zmasakrowane przez potężną Royal Navy, która siłą i liczbą jednostek bojowych dziesięciokrotnie przewyższała hitlerowską flotę. Znaczną część statków Niemcy stracili podczas inwazji na Norwegię. Wielkie pancerniki „Bismarck" i bliźniaczy „Tripitz" nie były jeszcze gotowe. Dostępne były tylko dwa duże krążowniki: „Admirał Sheer" i „Admirał Hipper". Kilkadziesiąt U-Bootów, które zbudowano do zatapiania statków, a nie ochrony konwojów, miało niewielkie znaczenie. Kilka niszczycieli, kilkanaście torpedowców i przerobionych kabotażowców oraz ściągnięte z Europy barki rzeczne nie miały szans w walce z brytyjskimi jednostkami. Do tego Niemcy w ogóle nie posiadali ani sprzętu, ani doświadczenia desantowego (przy inwazji na Norwegię wykorzystano istniejące porty, a nie gołe plaże).

Hitler dobrze to rozumiał. Zadał sobie jednak wiele trudu, aby przekonać swoich generałów i świat, że naprawdę chce najechać Wielką Brytanię. Tylko jego najbardziej zaufani ludzie zdawali sobie sprawę z tego, że „Lew Morski" jest jednym wielkim blefem, zasłoną dymną, która miała ukryć jego prawdziwe zamiary. W lipcu 1940 r. zdecydował się już na atak na ZSRS. Pod koniec miesiąca podczas specjalnego spotkania w Berghofie przedstawił generałom swoje zamiary. Po tej dacie rzadko już wspominał o „Lwie Morskim". W konsekwencji niektórzy generałowie odmawiali uczestnictwa w naradach dotyczących operacji. Przykładowo Hermann Göring, którego Luftwaffe miało odegrać w niej istotną rolę, nie wziął udziału w ani jednej konferencji.

Führer rozumiał, że skuteczna inwazja niechybnie doprowadziłaby do rozkładu imperium brytyjskiego i wzrostu znaczenia dalekich mocarstw, które z chęcią przejęłyby angielskie kolonie. „To nie przyniosłoby pożytku Niemcom – mówił Goebbelsowi. – Niemcy przelaliby krew, tylko po to, aby skorzystały na tym Japonia, Stany Zjednoczone i inni". Prawdziwym celem bitwy lotniczej o Anglię nie było zdobycie dominacji w powietrzu w przededniu inwazji, ale osłabienie morale Brytyjczyków, złamanie ich ducha walki i zmuszenie do kapitulacji.

Winston Churchill także coraz mniej wierzył w realność najazdu. Regularnie otrzymywał zamknięte na kluczyk skrzyneczki z rozkodowanymi przez kryptologów z Bletchley Park niemieckimi meldunkami, tzw. Black Jumbos. Sekretami, które w nich wyczytywał, nie dzielił się z nikim, nawet z Anthonym Edenem. Wynikało z nich jasno, że Niemcy przesuwają sprzęt i infrastrukturę wojskową na wschód (do września 1940 r. z frontu zachodniego przerzucono tam połowę żołnierzy).

Co ciekawe, zarówno Churchillowi, jak i Hitlerowi zależało na utrzymywaniu Anglików w ciągłym strachu przed inwazją, choć mieli inne powody. Niemiecki dyktator liczył, że wystraszone społeczeństwo obali Churchilla i doprowadzi do powstania ugodowego rządu, który wycofa się z wojny. Z kolei dla brytyjskiego premiera straszenie przed hordami okrutnych nazistów najeżdżających wyspę było jedną z metod wciągnięcia do wojny USA. Wpływało też na konsolidację mieszkańców królestwa. Zmobilizowane społeczeństwo łatwiej kontrolować i zmuszać do ciągłych wyrzeczeń na rzecz wysiłku wojennego.

Mimo niewielkich szans realizacji, kontynuowano przedsięwzięcia służące inwazji. Szkolono żołnierzy i konstruowano sprzęt desantowy. Z całej Rzeszy i terenów okupowanych ściągano ok. 2,5 tys. barek rzecznych. Obcinano im tyły, wylewano je betonem, instalowano rampy i metalowe szyny, aby umożliwić nimi transport czołgów. W celu zwiększenia ich niewielkiej prędkości doczepiano im nawet lotnicze śmigła wraz z silnikami. Wszystkie te zabiegi okazały się bezowocne. Luftwaffe nie zdołało złamać ani siły militarnej RAF, ani morale brytyjskiego społeczeństwa. 17 września 1940 r. Adolf Hitler wydał rozkaz przełożenia „Lwa Morskiego" na nieokreśloną przyszłość, choć przygotowania do niego miały trwać nadal jako element wywierania politycznej presji na Brytyjczykach. Oznaczało to de facto rezygnację z zamiaru przeprowadzenia najazdu. Latem i wczesną jesienią 1940 r. jego militarne zamiary koncentrowały się już na zdobyciu przestrzeni życiowej na wschodzie. Priorytet otrzymała operacja „Barbarossa".

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl baf56fd269

1941 r. / Siły specjalne i torpedy w akcji

Trzy eksplozje w Aleksandrii

Brytyjskie okręty w szyku: HMS „Valiant", HMS „Queen Elizabeth" i HMS „Barham"

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Piotr Zychowicz

Włoscy komandosi wdarli się na torpedach do brytyjskiego portu i zatopili dwa pancerniki. To jedna z najbardziej brawurowych akcji sił specjalnych w historii

Było krótko po północy 19 grudnia 1941 r. Brytyjski port wojenny w Aleksandrii w Egipcie znajdował się w stanie podwyższonej gotowości. Poprzedniego dnia po południu z admiralicji nadeszło pilne ostrzeżenie o wzmożonej aktywności nieprzyjaciela we wschodniej części Morza Śródziemnego. A co za tym idzie – o zagrożeniu potencjalnym atakiem.

U wejścia do portu pływały łodzie patrolowe, których załogi co pewien czas – na chybił trafił – wrzucały do wody ładunki wybuchowe. Tafla morza była skanowana światłami szperaczy. Wyposażeni w lornetki brytyjscy marynarze wytężali wzrok, próbując dostrzec coś w – nomen omen – egipskich ciemnościach. Na tle czarnego nieba ledwo można było dostrzec sylwetki wielkich okrętów wojennych zakotwiczonych przy nabrzeżu.

Tej nocy zagroda bonowa zamykająca wejście do portu otworzyła się tylko dwukrotnie, żeby wpuścić do środka brytyjskie okręty wracające z misji bojowych. To jednak wystarczyło komandosom Regia Marina, czyli włoskiej marynarki wojennej. Sześciu z nich pod osłoną nocy podjęło próbę wpłynięcia do portu na trzech sterowanych ręcznie torpedach typu SLC.

W pewnym momencie jedna z torped niemal otarła się o burtę brytyjskiej łodzi motorowej. Innym razem światła reflektorów przeszły dosłownie o kilka metrów od Włochów ubranych w czarne skafandry płetwonurków. Fale wywołane przez wpływające do portu niszczyciele omal nie wywróciły torped. Tej nocy komandosom sprzyjało jednak szczęście. Wszystkie trzy załogi pozostały niezauważone i bezpiecznie znalazły się wewnątrz portu.

Bomba na kilu

Komandosi założyli aparaty tlenowe i rozpoczęli procedurę zanurzania pod wodę. Po dwóch na każdej maszynie. Groźne torpedy – pozostawiając za sobą długie smugi bąbli – ruszyły powoli w stronę oddalonych o ok. 2,2 tys. m brytyjskich pancerników HMS „Valiant" i HMS „Queen Elizabeth". Dumy marynarki wojennej Jego Królewskiej Mości.

Nieświadome niczego załogi obu okrętów pogrążone były we śnie. Wystawiono tylko rutynowe wachty. Brytyjczycy byli przekonani, że nikt nie jest w stanie spenetrować tak doskonale strzeżonej bazy morskiej. Już wkrótce mieli przeżyć szok. Jeden z największych, jakie przeżyli podczas tej wojny.

Siedzący okrakiem na torpedach Włosi podpłynęli pod kile okrętów. Torpeda, którą dowodził kpt. Antonio Marceglia, osiadła na dnie morskim tuż przy HMS „Queen Elizabeth", wzbijając przy tym chmurę pyłu. Podczas wznoszenia SLC

eprasa.pl baf56fd269

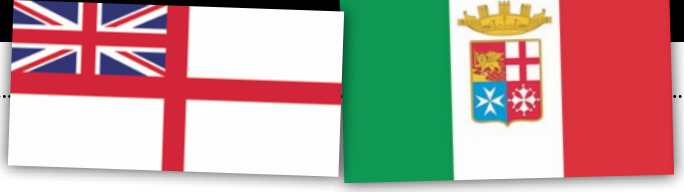

uderzyła w kil brytyjskiej jednostki. Całe szczęście dla Włochów nikt na pokładzie nie zwrócił jednak uwagi na huk.

Około trzeciej nad ranem Marcegli i jego towarzyszowi udało się przymocować ładunek wybuchowy do kilu pancernika, nastawić detonator, a następnie bezpiecznie odpłynąć. Żołnierze dotarli do wybrzeża, z wyczerpania ledwo trzymali się na nogach.

Jak wyliczyli historycy Vincent P. O'Hara i Enrico Cernuschi, Włosi w wodzie spędzili ponad osiem godzin. Przez następne dwa dni błąkali się po Aleksandrii, twierdząc, że są Francuzami. Egipska policja aresztowała ich, gdy próbowali pociągiem dostać się do portu Rosetta, gdzie miał ich odebrać włoski okręt wojenny.

Znacznie większe problemy z wykonaniem misji miała ekipa por. Luigiego Duranda de la Pennego, który miała zatopić HMS „Valiant". Śruba torpedy zaplątała się w sieć, a w skafandrze włoskiego oficera pojawiła się dziura, przez którą wlewała się do środka lodowata woda. Temperatura ciała porucznika szybko spadała. Gdy wreszcie udało mu się podpłynąć pod brytyjski okręt – zgasł silnik torpedy.

SLC ugrzęzła w mule ok. 10 m od kilu HMS „Valiant". Na domiar złego drugi pilot Emilio Bianchi z powodu zbyt małej ilości tlenu w butli zaczął tracić przytomność i musiał się wynurzyć. De la Penne próbował bezskutecznie zaciągnąć ciężką torpedę pod brytyjski pancernik. Gdy to się nie udało – uzbroił ładunek. Miał nadzieję, że torpeda zadziała jak mina podwodna.

De la Penne wynurzył się i dołączył do Bianchiego, który trzymał się dryfującej boi. Komandosi szybko zostali dostrzeżeni przez Anglików, wyłowieni z wody i wzięci do niewoli.

Mówiący po włosku oficerowie brytyjskiego kontrwywiadu natychmiast przystąpili do przesłuchania. Kim są? Skąd przypłynęli? Jak dostali się do portu? Czy udało im się podłożyć jakieś ładunki? Włosi – mimo że grożono im rewolwerem – trzymali się świetnie. Odmówili odpowiedzi na wszelkie pytania.

Tymczasem trzecia para komandosów – jej dowódcą był Vincenzo Martellotta – szukała celu. Jej zadaniem było zniszczenie lotniskowca albo – gdyby nie było go w porcie – dużego tankowca. Dok lotniskowca okazał się pusty, Martellotta skierował więc torpedę w stronę norweskiego tankowca „Sagona".

Ponieważ torpeda nie chciała się zanurzyć – Włosi przyczepili ładunek wybuchowy do rufy jednostki. Tuż pod poziomem wody. Po czym popłynęli wpław do wybrzeża. Tam aresztowała ich egipska policja i przekazała Anglikom.

Admirał w piżamie

Vincent P. O'Hara i Enrico Cernuschi w znakomitym tekście „Frogmen Against the Fleet" wskazują, że szybkie złapanie de la Pennego i jego towarzysza dało Brytyjczykom szansę na rozbrojenie bomb.

Dowódca brytyjskiej Floty Śródziemnomorskiej adm. Andrew Cunningham został wyrwany z łóżka o godz. 4 w nocy. Wynurzył się ze swojej kajuty na HMS „Queen Elizabeth" i – w płaszczu przeciwdeszczowym narzuconym na pidżamę – próbował desperacko ratować sytuację.

Gdy komandosi odmówili złożenia zeznań, Cunningham zastosował drastyczne środki. Obu schwytanych Włochów kazał umieścić głęboko pod pokładem HMS „Valiant". Miał nadzieję, że aby ratować życie, komandosi zdradzą, gdzie umieścili ładunki. Ci jednak milczeli jak grób.

Jednocześnie admirał nakazał wszystkim załogom, aby przeciągnęły liny po kilach swoich okrętów. Jeżeli Włochom udało się przyczepić bomby, to liny powinny o nie zaczepić. A być może nawet strącić je do wody. I tym samym zminimalizować uszkodzenia.

Wszystkie te środki okazały się nadaremne. Brytyjskie okręty były zgubione. Na dziesięć minut przed detonacją ładunku de la Penne poprosił o rozmowę z kapitanem HMS „Valiant". Spokojnym głosem oświadczył brytyjskiemu oficerowi, że za chwilę jego okręt pójdzie na dno. Dzięki temu rycerskiemu ostrzeżeniu Anglikowi udało się przeprowadzić błyskawiczną ewakuację i uratować załogę.

Chwilę później portem w Aleksandrii wstrząsnęły trzy kolosalne eksplozje. Między godz. 5.47 a 6.10 wybuchły wszystkie podłożone przez Włochów ładunki. W powietrze wystrzeliły wysokie na kilkadziesiąt metrów gejzery wody i fragmenty stalowych konstrukcji. Ogłuszający huk słychać było w najbardziej oddalonych zakątkach miasta.

„Okręt gwałtownie stanął dęba – wspominał de la Penne, który był pod pokładem »Valianta«. – Wszystkie światła zgasły, a ładownię wypełnił dym. Jednostka zaczęła przechylać się w stronę portu".

Jak piszą O'Hara i Cernuschi, włoskiemu oficerowi, mimo że został ranny w nogę, udało się wdrapać po drabinie na pokład. Zrobił to w samą porę – zobaczył bowiem eksplozję bomby pod HMS „Queen Elizabeth".

„Ona też eksplodowała – pisał. – Wzniosła się na kilka cali z wody, a z jej

Włoski atak torpedowy, grafika Morta Künstlera FOT. HA.COM

eprasa.pl baf56fd269

komina wystrzeliły odłamki żelaza i inne przedmioty. Wszystko to było zmieszane z paliwem, które ochlapało mnie i innych stojących na rufie".

W momencie eksplozji admirał Cunningham był na pokładzie „Queen Elizabeth". Siła wybuchu wyrzuciła go na półtora metra w powietrze. Ośmiu członków załogi jego okrętu zginęło – były to jedyne ofiary śmiertelne podczas całego ataku.

Wszystkie trzy okręty zaczęły błyskawicznie nabierać wody. Pod pokładami szalały pożary. Spustoszenia były największe na okręcie flagowym. Z kolei eksplozja ładunku podłożonego pod „Sagoną" była tak wielka, że nie tylko zdruzgotała tankowiec, lecz także poważnie uszkodziła zakotwiczony obok w celu zatankowania niszczyciel – HMS „Jervis".

Wszystkie zaatakowane okręty zostały wykluczone z akcji. HMS „Valiant" musiał przejść poważne naprawy i do służby wrócił dopiero w sierpniu 1942 r. Naprawy na HMS „Queen Elizabeth trwały z kolei do stycznia 1944. „Sagona" w kolejny rejs wypłynęła dopiero po wojnie – w roku 1946.

Było to wielki sukces Włochów i równie wielka klęska Włochów. Zaledwie sześciu bohaterskich komandosów położyło na łopatki brytyjską flotę we wschodniej części Morza Śródziemnego. Był to triumf o znaczeniu strategicznym. W 1941 r. Regia Marina znalazła się bowiem w poważnych opałach.

Dysponujący trzema potężnymi pancernikami Brytyjczycy zdobyli panowanie w tej części akwenu. Atakowali konwoje morskie i skutecznie paraliżowali dostawy zaopatrzenia dla wojsk Osi bijących się z aliantami w Afryce Północnej. Sytuacja stała się krytyczna. Armii dowodzonej przez marszałka Erwina Rommla groziło „odcięcie tlenu" i klęska.

Zniszczenie „Valianta" i „Queen Elizabeth" w kilka minut odwróciło układ sił. Szczególnie, że niecały miesiąc wcześniej – 25 listopada 1941 r. – niemiecki U-Boot posłał na dno trzeci angielski pancernik HMS „Barham". W ten sposób brytyjskiej flocie wyrwano zęby. Razem z dziąsłami.

Włoskie konwoje morskie mogły teraz nieniepokojone dostarczać broń, sprzęt i posiłki do Afryki. Mało tego Regia Marina mogła teraz skutecznie blokować linie komunikacyjne między Aleksandrią a Maltą. Większość brytyjskich jednostek próbujących pokonać tę trasę nigdy nie wróciła do portów. Włosi zdobyli supremację na tej części Morza Śródziemnego.

HMS „York" został ciężko uszkodzony przez włoski atak FOT. WIKIPEDIA

Decima Flottiglia

Komandosi, którzy dokonali ataku w Aleksandrii, służyli w elitarnej – a dziś legendarnej – jednostce szturmowej X (decima) Flottiglia. Do dzisiaj stanowi ona dumę włoskiej Marynarki Wojennej. Jej znakomicie wyszkolonych i zmotywowanych żołnierzy nazywano „ludźmi-żabami". Nocne, niespodziewane ataki na porty były bowiem ich specjalnością. Nawet obecnie stanowią one wzór do naśladowania dla morskich sił specjalnych.

Akcja w Aleksandrii była tak niebywała, że stała się kanwą dla kilku filmów akcji. Brytyjskich „The silent enemy" (1958) i „The Valiant" oraz włoskiego „I sette dell'Orsa Maggiore" (1953).

Brytyjczycy po katastrofie gorączkowo szukali winnych. Próbowali zrzucić winę na Francuzów, których okręty stały w porcie, lub na rzekomych „zdrajców". W rzeczywistości zgubiła ich nadmierna pewność siebie i najpoważniejszy błąd, jaki można popełnić na wojnie – zlekceważenie przeciwnika. „Wszyscy myśleliśmy – przyznał jeden z angielskich oficerów – że włoska marynarka jest beznadziejna, nieskuteczna i tchórzliwa".

Tymczasem nie był to jedyny raz, gdy komandosi z Decima Flottiglia X utarli nosa zarozumiałym Brytyjczykom. Na początku wojny dokonali co prawda kilku nieudanych ataków – m.in. na Gibraltarze – ale wraz z nabieraniem doświadczenia i ulepszaniem sprzętu stawali się coraz groźniejsi.

Udało im się zatopić blisko 20 statków transportowych, a 26 marca 1941 r. dokonali brawurowego rajdu w zatoce Suda na Krecie. Włosi podpłynęli łodziami pod burtę pancernika HMS „York", zamontowali ładunki i wysadzili jednostkę w powietrze. Zniszczenia były tak rozległe, że okręt poszedł na dno i został spisany na straty. Po wojnie Grecy przerobili go na żyletki. Z kolei w sierpniu 1942 r. żołnierze Decimy zniszczyli brytyjski niszczyciel HMS „Eridge".

Sporymi sukcesami w walce z Imperium Brytyjskim mogły się też poszczycić włoskie okręty wojenne. W książce „Alianci" opisałem historię potężnego brytyjskiego okrętu podwodnego HMS „Thunderbolt". 14 marca 1943 r. został on wytropiony i zatopiony wraz z całą załogą przez włoską korwetę „Cicogna". Włosi zrzucili na Brytyjczyków ładunki głębinowe.

Wszystkie te sukcesy zadają kłam stereotypowej opinii, że Włosi byli marnymi żołnierzami. I, że zawsze przegrywali z Brytyjczykami. Na wojnie – jak to na wojnie – bywało różnie.

Na koniec warto napisać kilka słów o losach por. de la Pennego, Który kierował rajdem na Aleksandrię. Po tym, gdy w 1943 r. Włochy porzuciły Hitlera i przeszły na stronę aliantów – włoski oficer opuścił obóz jeniecki. Zdążył wrócić do Regia Marina i wziąć udział we wspólnych brytyjsko-włoskich operacjach bojowych wymierzonych w Niemców, m.in. zatopieniu ciężkiego krążownika Kriegsmarine w La Spezii.

Jeden z licznych orderów, którym w trakcie swojej wojskowej kariery został udekorowany de la Penne, przypiął mu do piersi admirał Charles Morgan. Były szyper HMS „Valiant".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Publikacja tego artykułu krótko po zwycięstwie Włoch nad Anglią w finale mistrzostw Europy to zbieg okoliczności. Korzystamy jednak z okazji, by pogratulować Włochom!

eprasa.pl baf56fd269

1898–1966 / CV znakomitego bajkopisarza polskiego

Dwie twarze Brzechwy

Krzysztof Masłoń

Jego lis Witalis, korsarz Palemon i Pan Kleks towarzyszą kolejnym już pokoleniom polskich dzieci, niezależnie od wielu – rzeczywiście paskudnych – „dorosłych" wierszy, które napisał w PRL

Idzie Tomek w świat szeroki, / Zamaszyste stawia kroki, / Na grzebieniu gra walczyka, / A tak wabi ta muzyka, / Że tuż za nim środkiem drogi / Kroczy bocian długonogi…". Tego właśnie „Pana Dropsa i jego trupę" czytał autor – Jan Brzechwa – Jarkowi Szulcowi (późniejszemu poecie Jarosławowi Markowi Rymkiewiczowi) i jego siostrze Alince na strychu domu w podwarszawskim Gołkowie jesienią 1944 r.

Joanna Lichocka w książce „Rymkiewicz. Genealogia" przywołuje wspomnienie o Brzechwie ojca twórcy „Ulicy Mandelsztama", Władysława Rymkiewicza: „Tłoczyliśmy się w małym pokoiku, cztery osoby na przestrzeni około dwunastu metrów kwadratowych. Janek przynosił rękopisy swoich wierszy i opowiadań: »Akademia Pana Kleksa« i »Pan Drops jego trupa«. Nasza dwunastoletnia córka i dziesięcioletni syn byli zafascynowani urzekającym dowcipem i poezją tych utworów".

Brzechwa (naprawdę Jan Lesman) był częstym gościem w tym domu, ukrywał się bowiem – ze względu na żydowskie pochodzenie – w pobliskim Zalesiu. A Władysława Rymkiewicza (wtedy Szulca) znał dobrze sprzed wojny, ściśle mówiąc nawet z poprzedniej wojny – z bolszewikami, gdyż obaj służyli w Legii Akademickiej. Po zwycięstwie obaj powrócili na studia prawnicze i zaprzyjaźnili się. Następnie przez pewien czas pracowali razem w warszawskim Cywilnym Sądzie Okręgowym przy ulicy Miodowej, później jednak Jan Lesman zajął się prawem autorskim, zdobywając

FOT. NAC

eprasa.pl baf56fd269

Medal 10-lecia Polski Ludowej FOT. WIKIPEDIA

w tej dziedzinie ogromny autorytet, Władysław Szulc został adwokatem, obrońcą w sprawach karnych. Zdobywali też ostrogi literackie, przy czym Brzechwa nie osiągnął powodzenia jako liryk, na czym mu – jako stryjecznemu bratu Bolesława Leśmiana, bardzo zależało, ale na niwie estradowej i kabaretowej, a także jako twórca wierszy dla dzieci, które wydał w 1937 r. w tomie zatytułowanym Tańcowała igła z nitką, a w ślad za nim ukazała się sławna Kaczka dziwaczka.

Lepiej niech się nie pokazuje

Na pierwszej stronie „Wiadomości Literackich" 3 września 1939 r. wydrukowano jednak wiersz Brzechwy zupełnie innego rodzaju – „Ojczyzna" ze słowami:

O, matko! Mundur mi podaj –
Ten sprzed dwudziestu lat.
Krew moja jest znowu młoda
Jak rozmarynu kwiat.

W wojnie Brzechwa nie wziął udziału, a pozostanie w Warszawie groziło mu denuncjacją. Był osobą znaną, podobnie jak znane było jego pochodzenie. Do tego semicka aparycja nie ułatwiała kamuflażu. A jednak przetrwał długą okupację, a to pod Krakowem, gdzie zauważył go sam Oskar Schindler, który właścicielce majątku, gdzie Brzechwa znalazł schronienie – Helenie Oskierko-Haller – miał powiedzieć: – Kiedy ja tu przyjeżdżam, ten pan może bez obaw zasiadać z nami do stołu. Ale jeśli przyjdą Niemcy, lepiej niech się nie pokazuje".

Przed wojną w niektórych utworach odnosił się Brzechwa do swego pochodzenia. Niekiedy bezpośrednio, innym razem tak jak w wierszu „Żydokomuna":

Kołtun pod rękę bierze kołtuna:
– Wódki na kredyt nie chce dać sklep!
– Żydokomuna! Żydokomuna!
Huzia panowie! Kija – i w łeb!
Przytycki kołduny pcha do kałduna,
Czosnkiem w tramwaju odbąknął, więc:
– Żydokomuna! Żydokomuna!
Huzia, panowie! Kija!
I bęc! [...]

Deszcz pada w Tatrach. Cóż, do pioruna?
Wiatr, panie dziejski, wieje od hal!
– Żydokomuna!
Żydokomuna!
Huzia panowie! Kija! I wal!

Trudno się dziwić autorowi, niezwiązanemu przecież z religią żydowską ani z jej kulturą i językiem, że bolały go wypominania „prawdziwych Polaków", odmawiających mu – między innymi – prawa do wyrażania bólu i żalu po śmierci Józefa Piłsudskiego. Brzechwa poświęcił Marszałkowi cały tom „Imię wielkości", a jego wiersz trafił nawet do gimnazjalnych wypisów.

Znajomi wspominali, że Brzechwa podczas okupacji zachowywał się tak, jakby nie groziło mu żadne niebezpieczeństwo. Za to mocno przeżywał liczne romanse i wielką miłość, która mu się też w tym czasie przytrafiła. Zakochał się w Janinie Serockiej, która wprawdzie po wojnie została jego żoną (trzecią), ale wcześniej oświadczała mu, że nie porzuci męża, fryzjera zresztą, z czym poeta w żaden sposób nie mógł się pogodzić. A do tego z rozpaczy chudł, co wyostrzało jego niearyjskie rysy.

„Dożywiał się słodyczami – pisze Mariusz Urbanek w książce »Brzechwa nie dla dzieci« – ale nie przynosiło to żadnych efektów. Chudł dalej. Któregoś dnia, gdy kupował w cukierni torcik mocca, podeszło do niego dwóch mężczyzn w cywilu. Zabrali go do siedziby gestapo w alei Szucha i oskarżyli, że jest Żydem. Brzechwa miał odpowiedzieć, że mylą się, ale jeśli chcą go rozstrzelać, mogą to zrobić, bo jemu już i tak nie zależy na życiu.

– Czemu? – chcieli wiedzieć Niemcy.

– Kobieta, którą kocham, nie chce się ze mną połączyć, a życie bez niej nie ma dla mnie wartości – odparł.

Odpowiedź była tak absurdalna, że trudno było ją wziąć poważnie. Niemcy ryknęli śmiechem i wyrzucili go za drzwi. Był już na dziedzińcu, przy budce wartownika, gdy przypomniał sobie, że przecież w pokoju, w którym był przesłuchiwany, został torcik. Wrócił, zastukał, przeprosił i zabrał zgubę. Niemcy byli tak zaskoczeni niewiarygodną bezczelnością tego, co zrobił, że nie oponowali. »Ukochaną kobietę zdobył dopiero po wojnie« – napisał Brandys [Kazimierz – przyp. K.M.]. »Romansować z innymi kobietami zaczął wkrótce po ślubie. Byli dobrym małżeństwem aż do śmierci Bajkopisarza«".

Prawdziwe zmyślenie? Zapewne nie do końca.

Powstanie spędził Brzechwa na Powiślu; pisał teksty zagrzewające do walki, był też członkiem teatrzyku Kukiełki pod Barykadą, ale pod koniec sierpnia znów został aresztowany, tym razem przez AK-owską żandarmerię. Ponoć przyczyną było jego podobieństwo do jakiegoś ważnego Niemca. Nieporozumienie się wyjaśniło; po upadku powstania Brzechwa trafił do obozu w Pruszkowie, by stamtąd przedostać się do Zalesia. I wtedy właśnie natknął się na mieszkającego w pobliżu kolegę z wojska i ze studiów, który zaprosił go na obiad i odtąd bywał częstym u niego gościom, czytając jego dzieciom pisane w tym czasie wiersze.

Z pepeszą przy mordach

Po ucieczce Niemców i zajęciu Warszawy przez Sowietów Jan Brzechwa udał się do Lublina, gdzie na jego życiowej drodze stanął Jerzy Borejsza. Szybko się domówili i niemal od razu poeta pojechał do Łodzi, by objąć tam funkcję radcy prawnego powstającej właśnie Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik". Natychmiast przypomniał sobie o Władysławie Szulcu i ściągnął go do „stolicy kulturalnej Polski" wraz z rodziną. Magnes był na owe czasy niesłychanie mocny: mieszkanie.

Przewodniczącą łódzkiego oddziału Związku Zawodowego Literatów Polskich jeszcze w 1945 r. została Zofia Nałkowska, ale już po miesiącu organizacyjne stery przejął Brzechwa. Ponadto kierował w Czytelniku redakcją literatury dla dzieci, biblioteką związkową, no i pełnił obowiązki, jakże ważnego, radcy prawnego. Coraz więcej też publikował.

eprasa.pl baf56fd269

W lutym 1946 r. w „Szpilkach" ukazał się jego wiersz „Gryps do Jana Lechonia". Prześmiewczy i ironiczny:

Głowy mamy golone. Nasz pokarm jedyny
To z łebków emigranckich przysłane trociny.
Milicjanci nas łapią i pod chloroformem
Każą pisać do „Szpilek" i chwalić reformę,
Światło, wodę – od dawna skasowano w Łodzi,
Do kościoła, rzecz prosta, nikt dzisiaj nie chodzi
Bo tam, żandarm sowiecki, przebrany za księdza,
Każdego, kto się zjawi, na Sybir wypędza.

Z tegoż „Grypsu…" dowiadujemy się ponadto, że:

Ja z garstką literatów, na twardym posłaniu,
W łachmanach i kajdanach, z pepeszą przy mordach
Za karę oglądamy nowe filmy Forda,

jak również o NKWD zatrzymującym na ulicach polskich patriotów:

By gościa, jego żonę, i ojca, i matkę
Całkiem nagich, traktorem wywieźć na Kamczatkę.

W ówczesnej rzeczywistości było to zupełnie niedowcipne, za to mocno propagandowe. Przebywający w Ameryce Lechoń na zaczepkę nie odpowiedział, za to z Londynu odezwał się Marian Hemar, pisząc:

Różne bywają w świecie demokracje.
Nie wierzysz w naszą – to mi waszej dowiedź.
Twój wiersz na całą polską emigrację
Dziś ja ogłaszam – jeśli mą odpowiedź
Z kolei Wasze przedrukują „Szpilki"
Oświadczam: Wracam, nie czekając chwilki.

Kpiąc sobie z propagowanej przez Brzechwę swobody, wyliczał Hemar, co wolno w zsowietyzowanej Polsce atakować: sanację, Armię Krajową, Powstanie Warszawskie, Andersa, Maczka… I apeluje do przedwojennego znajomego, było nie było kolegi po fachu:

Jeśli tam wolność sumienia i słowa,
Jeżeli taka odwaga cywilna,
Napisz – co myślisz o Polsce bez Lwowa?
Napisz – co myślisz o Polsce bez Wilna?
Ten tylko temat nas wszystkich obchodzi.
O tym bym pisał, gdybym też był w Łodzi.

W końcu utworu proponuje Hemar, by tak jak on w londyńskim „Dzienniku", tak Brzechwa w „Szpilkach" przedrukował jego „Odpowiedź", bo tak zatytułował poeta swą polemikę. Tego się, oczywiście, nie doczekał. Brzechwa jednak brnął dalej, po paru miesiącach publikując „Marianowi Hemarowi – odpowiedź", mętną i kompletnie nieprzekonującą. Za to z nieprzyjemnymi akcentami wypominającymi Hemarowi spokojny żywot na emigracji, podczas gdy on z milionami Polaków przeżył piekło okupacji, z którego wyzwolił go żołnierz sowiecki. A tu taki „Rejtan" z Londynu śmie go karcić!

Hemar wzgardliwie nie kontynuował już tej zaostrzającej się wymiany poglądów, natomiast właściwy adresat nieszczęsnego „Grypsu…" – Jan Lechoń, po paru latach dopiero, w maju 1952 r. odniósł się do osoby Jana Brzechwy w „Dzienniku", twierdząc, że nigdy nie napisałby wierszy na cześć Bieruta i Stalina, jak Iwaszkiewicz i właśnie Brzechwa. Nie byłby w stanie tego zrobić, podobnie jak nie zabijałby i nie kradł, bowiem – utrzymywał: „Człowiek, który raz ukradł, jest złodziejem, pisarz, który pisze takie wiersze jak Iwaszkiewicz i Brzechwa – przestaje być pisarzem i naród nie ma żadnej z niego pociechy".

Z Brzechwy naród pociechę miał jednak i ma nadal. Jego utwory dla dzieci porównywalne są jedynie z podobnymi wierszami Tuwima. W tej kategorii w literaturze polskiej nie ma nic lepszego (nie zapominając o Konopnickiej, Makuszyńskim i jeszcze paru mistrzach pióra).

Pomnik sowieckiej przyjaźni

Niewątpliwie, był koniunkturalistą. W 1964 r. po Liście 34 będącym protestem przeciw działalności cenzury, poeta podpisał tzw. kontrlist w obronie Polski Ludowej oczernianej rzekomo przez Radio Wolna Europa. Marna pociecha, że jego podpis figurował obok autografów m.in. Wisławy Szymborskiej i Tadeusza Różewicza.

Naprawdę fatalne były jednak jego utwory polityczne z lat stalinowskich. Pisał ich dużo i wydawał w kolejnych tomach, takich jak: „Pokój zwycięży" i „Strofy o Planie Sześcioletnim" (1951) oraz „Cięte bańki" (1952). Na szczęście wydawał również książki dla dzieci, wznawiając stare utwory i pisząc nowe. Wydaje się to niemożliwe, ale spotykał się z ich krytyką. I to ze strony, podobno, specjalistów. Krystyna Kuliczkowska, późniejsza alfa i omega rodzimej literatury dziecięcej, publikację przedwojennych tomików Brzechwy uznała za poważny błąd, jako że miała je cechować „arystokratyczna aspołeczność". Poecie wytykano i inne błędy, on się bronił, składał samokrytyki, zezwalał na cenzuralne zmiany, w sumie jednak umacniał swoją bardzo mocną pozycję na rynku książki.

Pisał o socjalizmie i o pokoju. O tym ostatnim bez opamiętania, także w podpisanym wspólnie z Januszem Minkiewiczem zbiorze „Pokój zwycięży" (1951). Niektóre z tych wierszy dostały po latach drugie życie, np. adresowany do dzieci „Pokój", który ze swoją muzyką nagrał w 1980 r. na płycie „Postscriptum" Czesław Niemen, wraz z innym, uroczym utworem Brzechwy „Elegia śnieżna". Nawiasem mówiąc, piosenki pisał od zawsze. To jego były słowa do popularnego walczyka „Panna Pelagia", jak również teksty do piosenek „Czarny kot" i „Barbara, dziewczyna ma".

Ale jeszcze większą popularność zdobyły jego rymy w rodzaju: „Samochwała w kącie stała" czy „Chrząszcz

eprasa.pl baf56fd269

Kadr z filmu „Podróże pana Kleksa" Krzysztofa Gradowskiego FOT. INPLUS/EAST NEWS

brzmi w trzcinie' (oczywiście „w Szczebrzeszynie"). Niestety, zapamiętaliśmy mu także wpadające w ucho fragmenty utworów-potworków, choćby takich jak „Pałac Kultury":

W sercu Polski, widoczny z daleka,
Będzie trwał tak jak wiara w człowieka.
Będzie trwał tak jak miłość do dziecka,
Będzie trwał tak jak przyjaźń radziecka.

Socrealizm, Bogu dzięki, odchodzić zaczął w przeszłość, na czym twórczość Brzechwy (jak i wszystkich innych autorów z prawdziwego zdarzenia) zyskała. Do gigantycznego sukcesu jego książek przyczynił się też Jan Marcin Szancer, którego rysunki, choćby do „Akademii Pana Kleksa" przeszły do historii. Panowie nawiązali zresztą stałą współpracę – ku radości czytelników. A w marcu 1956 r. opublikował Brzechwa w „Życiu Warszawy" artykuł o mało odkrywczym tytule „Ludzie łakną prawdy", którym w istocie zgłosił swój akces do coraz bardziej widocznej odnowy. Wypada także w tym miejscu odnotować przełożenie przez Brzechwę powieści Ilji Erenburga „Odwilż", uznawaną wówczas za niezwykle odważną. No cóż, sławny Październik '56 obok rzeczywiście zrewoltowanej młodzieży firmowali również stalinowcy. I w ZSRS, i w PRL.

W 1958 r. ukazała się autobiograficzna powieść autora „Akademii…" – „Gdy owoc dojrzewa". Mimo zainteresowania krytyki chyba jej nie doceniono. Dziś czytana, chociaż sprawia wrażenie ramotki, bo i opowiada o dzieciństwie urodzonego w 1898 r. autora, zwraca uwagę świeżością spojrzenia na budzące się w bohaterze uczucia miłosne, zwolna budzący się chłopięcy erotyzm. Z pewnością lepiej zniosła próbę czasu niż liryka Brzechwy, która nie wytrzymuje porównania z wierszami Leśmiana, na którym się wzorował i z którym, po cichu, rywalizował. Nawiasem mówiąc, na pogrzebie sławnego kuzyna – w roku 1937 – po raz pierwszy ujrzy Brzechwę na oczy jego córka Krystyna, w dorosłym życiu malarka, która choć w trakcie studiów wspierał ją finansowo, nie ukrywała, że stosunki między nimi były raczej chłodne. Na pytanie Mariusza Urbanka postawione w wywiadzie Krystynie Brzechwie, jakie jej ociec miał podejście do dzieci, odpowiedziała: „Do cudzych? Dobre".

Na początku lat 60. powrócił Jan Brzechwa do pisania satyrycznych szopek noworocznych, które współtworzył z Antonim Marianowiczem, a później i z Januszem Minkiewiczem. Pokazywane w telewizji (z kukiełkami Jerzego Zaruby) cieszyły się wielkim powodzeniem, niezależnie od faktu, że ociekały lukrem w stosunku do rządzących. W 1962 r. wszedł na ekrany film Jana Batorego według powieści Kornela Makuszyńskiego z braćmi Kaczyńskimi w rolach głównych – „O dwóch takich, co ukradli księżyc". Współautorem scenariusza był Brzechwa. A jesienią roku następnego w Teatrze Narodowym miała miejsce premiera jego sztuki „Niezwykła przygoda Pana Kleksa". Po latach Pan Kleks stanie się bohaterem aż czterech filmów Krzysztofa Gradowskiego: „Akademia Pana Kleksa" (1983), „Podróże Pana Kleksa" (1985), „Pan Kleks w kosmosie" (1988) i „Tryumf Pana Kleksa" (1999).

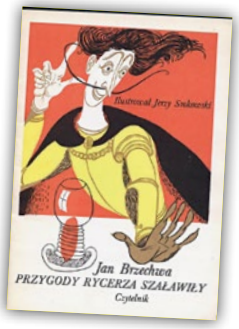

Tak jak w młodości jego największą namiętnością były kobiety, tak pod koniec życia… karty. Nie tylko brzydź, także remik i kierki, rzadziej poker. No i palił jak smok. Zmarł 2 lipca 1966 r. w Warszawie. Pochowany został na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach. Pisarze wspominali go jako człowieka otwartego, serdecznego, „strasznie sympatycznego" – jak mówił o nim Tadeusz Konwicki.

Jego Pan Soczewka i lis Witalis, korsarz Palemon i Pan Kleks, pani Gadalińska i rycerz Szaławiła towarzyszą kolejnym już pokoleniom polskich dzieci. Niemniej w 2000 r. gdy w Dmosinie pod Głownem zaproponowano, by patronem nowej szkoły został Jan Brzechwa, napotkano na protest, nagłośniony przez większość mediów jako antysemicki. Dopiero po pewnym czasie zaczęto godniej mówić o mniej znanej, bynajmniej niechwalebnej części twórczości poety, ale szkoła, po wielu przepychankach, szkoła otrzymała w końcu imię twórcy „Pchły Szachrajki".

Podobne sytuacje miały miejsce później i w Warszawie, i we Wrocławiu, i w Tarnowie, gdzie chodziło o skwer poetów, na którym rzeźba Brzechwy miała nie pasować do odlanych z brązu Osieckiej (?) i Herberta. Wygląda jednak na to, że najpopularniejszy polski pisarz dla dzieci korzystać będzie nadal ze specjalnej ochrony dekomunizacyjnej, razem m.in. z Władysławem Broniewskim. Niezależnie od wielu, rzeczywiście paskudnych, „dorosłych" wierszy, jakie napisał.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl baf56fd269

Rok 1944 / Powstanie Warszawskie

Dzieci walczące i cierpiące

Zacząć trzeba od tego, że nie jest to tylko czy przede wszystkim książka o wspaniałych, bohaterskich nieletnich powstańcach. Jest także – i to robi największe wrażenie – o lęku, strachu, śmierci oraz cierpieniach najmłodszych warszawian.

Pomnik Małego Powstańca, dziecka w za dużym hełmie, z pistoletem automatycznym, ustawiony na murach Starego Miasta, nie symbolizuje losu dzieci w Powstaniu Warszawskim, lecz tworzy pewien mit. Agnieszka Cubała pisze, że chłopcy byli zafascynowani bronią, prosili, by robić im fotografie z nią. „Niestety, te zdjęcia stały się dla wielu krytyków powstania przyczynkiem do budowania tezy, że dzieci walczyły z bronią w ręku […]. Nikt przecież nie dałby dziecku broni, której i tak brakowało”.

Faktem jest jednak, że niektóre dzieci garnęły się do powstańczych szeregów. Krystyna Zachwatowicz-Wajda stwierdzała: „Chęć, żeby walczyć, była bardzo silna. Pamiętam wtedy mój dramat, że mam dopiero dwanaście lat i nie mogę mieć broni”. Zamierzała mścić się za rozstrzeliwania na ulicach Warszawy i wywózki Polaków do Auschwitz. Były sytuacje, gdy rodzice zamykali dzieci w domu na klucz, by nie uciekły do najbliższego oddziału. Jeden z bohaterów książki wspomniał więc, że czytał opis obrony Częstochowy w „Potopie”, a za oknem słyszał wybuchy bomb i pocisków.

FOT. C. PIWOWARSKI/WIKIPEDIA

Nastoletnie dzieci były łącznikami, sanitariuszkami, listonoszami. Radość niosła ośmioletnia Różyczka Goździewska, pomagająca w szpitalu polowym. Podawała wodę, odganiała muchy, ale „przede wszystkim przywoływała uśmiech na wszystkich twarzach”. Poległa. Członków harcerskiej poczty powstańczej nazywano „roznosicielami nadziei”, choć nierzadko listy przynosiły smutne, tragiczne wiadomości. Harcerki chodziły po domach w poszukiwaniu mleka w proszku i odżywek, kaszy manny dla niemowląt urodzonych już w czasie powstania.

Dzieci zaangażowane w pomoc powstańcom stanowiły pewien mały procent. Autorka pisze więc nie tylko o nich, lecz także o znakomitej większości dzieci. O ich wspólnym doświadczeniu, jakim były strach, przerażenie, głód, czas spędzany w piwnicach. „Drżałem jak w febrze, strach podchodził mi pod gardło. Powtarzając ciągle słowa modlitwy, myślałem ciągle koniec... koniec...” – wspominał ówczesny chłopiec najście Niemców. Inna osoba relacjonowała przeżycia, gdy usłyszała ryk nurkującego samolotu i świst bomb: „Ta minuta była najdłuższa w moim życiu”.

Nie dały usunąć się z pamięci makabryczne obrazy rozstrzelanych osób, także w masakrze ludności cywilnej na Woli. „Wyczołgałam się spod tych ludzi. Miałam na sobie krew, czyjś mózg” – relacjonowała cudem ocalała dziewczynka. Krzysztof Zanussi zapamiętał płonące konie i wycie psa uwięzionego w ogarniętym pożarem domu.

Autorka pisze o inicjatywach, mających choć w części zniwelować straszne przeżycia dzieci: pisemkach „Jawnutka” i „Dziennik Dziecięcy” oraz teatrzyku. W gazetkach zamieszczano, obok wiadomości bieżących i ostrzeżeń, wierszyki, bajeczki, rysunki wykonane przez dzieci, ogłaszano konkursy z nagrodami. Pisemka te „pomagały małym czytelnikom radzić sobie z traumatycznymi doświadczeniami, rozładować strach i wzbudzić nadzieję na szybką poprawę losu oraz szczęśliwe zakończenie”. A Dziecięcy Teatr Kukiełkowy „Baj” „powstał z myślą wywołaniu uśmiechu na dziecięcych twarzyczkach, rozjaśnieniu przedwcześnie zasmuconych oczu”.

Pamięć o Powstaniu Warszawskim to nie tylko uroczystości w dniu 1 sierpnia, lecz także pamięć przekazywana przez tych, którzy przeżyli dramatyczne 63 dni w stolicy, nie tylko słownie. Autorka przywołuje opinię prof. Jadwigi Jośko-Ochojskiej o dziedziczeniu pamięci o lęku, stresie pourazowym. A także o pamięci komórkowej. Trauma dzieci z czasu powstania często przechodziła – niestety – na ich dzieci i wnuki. ©℗

Tomasz Stańczyk

AGNIESZKA CUBAŁA
„WARSZAWSKIE DZIECI '44”
PRÓSZYŃSKI I S-KA

sa.pl baf56fd269

W jądrze Europy

Autor (rocznik 1965) najpierw uczył się dziennikarstwa, a potem studiował historię w Bochum, co trochę wyjaśnia ujęcie obrazu XII w. w samym jądrze średniowiecznej Europy. Autorskie ujęcie prawdziwego bogactwa nagromadzonych źródeł i faktów służy bowiem publicystycznej narracji o życiu w Niemczech – głównie Nadrenii, z odniesieniami do Francji, Włoch i niekiedy Anglii. Dalej na wschód Bendikowski się nie zapuszcza, zwłaszcza że brak tam „utwardzonych traktów"...

Kiedy wkraczamy do Kolonii wraz z „relikwią kości Trzech Króli" – jaką cesarz Fryderyk Barbarossa zrabował w Mediolanie i podarował abp. Rainaldowi – „wokół manufaktur garbarskich i kuśnierskich unosi się silny odór... Ulice są pełne odpadków wszelkiego rodzaju, także ludzkich odchodów, pomiędzy nimi błąkają się zwierzęta. Jeśli miłosierna ulewa nie zmyje najgorszych zapachów, smród z każdym dniem będzie się nasilać...". Kolonia jest wówczas najludniejszym z miast, których w Europie „liczba stale rośnie: około 1150 r. było ich może dwieście, sto lat później już około tysiąca pięciuset".

W 12 rozdziałach – miesiąc po miesiącu – dowiadujemy się o miejskim ścisku, ale i prawodawstwie umożliwiającym uwolnienie się od feudalnych więzów, o sposobach budowania, o niebezpieczeństwie podróżowania przez gęste lasy bukowe i dąbrowy, gdzie czyhali rabusie (często rycerze z pobliskich zamków), o rycerskich turniejach i wojnach, o chorobach i głodzie, o ubezwłasnowolnieniu kobiet, którymi „rozsądni mężczyźni muszą kierować oraz chronić je swoją siłą i dzielnością", no i oczywiście o zacofanym Kościele, uzurpującym sobie nadzór nad wszelkimi przejawami ludzkiego życia. Czy obecnie w Europie nie da się inaczej wydać książki o średniowieczu?

W zdaniu kończącym dzieło Bendikowski jakby dystansuje się nieco od takiego wniosku, pisząc, że i dziś: „nie są nam obce obawy wielu ówczesnych ludzi, ich strach przed rabusiami w ciemnym lesie, przed biedą, nieurodzajem, chorobami, bólem i oczywiście śmiercią. Czy i nas nie porusza kwestia życia po śmierci? Płynąca z religijnych wierzeń pociecha i nadzieja nie są wyjątkową cechą XII w., być może zmieniły się tylko ich przejawy". ©℗ ***Maciej Rosalak***

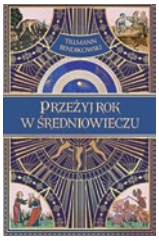

TILLMANN BENDIKOWSKI
„PRZEŻYJ ROK W ŚREDNIOWIECZU"
ZNAK

Antykomunista ideowy

Sergiusz Piasecki bywał przemytnikiem, agentem polskiego wywiadu, a za rozbój skazano go na wieloletnie więzienie. Jego książka „Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy" bywa odczytywana tylko jako powieść sensacyjno-przygodowa. Ale autor maluje portret Piaseckiego – człowieka i pisarza, antykomunisty ideowego. Niejako w kontrze do tych, którzy bezkompromisowy antykomunizm nazywają „zoologicznym".

Autor stwierdza, że z dzieł Piaseckiego wynika przesłanie: „Sprzyjanie ideologii komunistycznej to dawanie przyzwolenia na zbrodnię i destrukcję społeczną o charakterze cywilizacyjnym". Nie ma już ZSRS, jednego z wcieleń Rosji, ale spuścizna pisarska Piaseckiego pokazuje, że należące do Europy Polska i Rosja to kulturowo dwa światy. ©℗ ***(t.s.)***

GRZEGORZ ŁUKOMSKI
„SERGIUSZ PIASECKI (1901–1964)
LTW

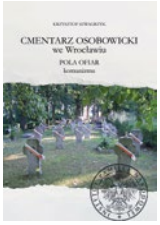

KRZYSZTOF SZWAGRZYK
„CMENTARZ OSOBOWICKI WE WROCŁAWIU. POLA OFIAR KOMUNIZMU"
IPN

NIE TYLKO „ŁĄCZKA"

Autor – znany z prac na powązkowskiej „Łączce" – odkrywał szczątki ofiar komunizmu już w 2003 r. na cmentarzu Osobowickim we Wrocławiu. Między innymi kpt. Włodzimierza Pawłowskiego z PSL, założyciela antykomunistycznej organizacji „Kresowiak", straconego w 1953 r. Książka stanowi podsumowanie wrocławskich badań i przynosi imienną listę 800 ofiar, przywracając pamięć o nich.

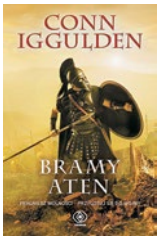

CONN IGGULDEN
„BRAMY ATEN"
REBIS

MARATON I SALAMINA

Z tej powieści dowiadujemy się, jakim sposobem ateńscy hoplici zwyciężyli Persów w 490 r. p.n.e. i dlaczego pod Maratonem zabrakło konnicy wroga. Dziesięć lat później fascynuje opis obrony Hellady na wąskim przesmyku (nie wąwozie!) Termopile, gdzie Spartanie króla Leonidasa ginęli co do jednego, a Ateńczycy Temistoklesa mogli rozgromić flotę perską pod Salaminą. Nareszcie ktoś tłumaczy działanie greckiej trójrzędowej galery! ©℗ ***(m.r.)***

„SPORT W POLSCE LUDOWEJ"
(RED. GRZEGORZ MAJCHRZAK I PAWEŁ SZTAMA)
IPN

SZERMIERZ I AGENT

Ciekawy zbiór artykułów poświęconych kulisom rozgrywek sportowych w komunistycznej Polsce. Sport – dla ówczesnych władz – był ważnym narzędziem oddziaływania na masy. A dla tajnej policji wymarzonym polem do działania. Przykładem może być tekst Bartosza Kapuściaka o Jerzym Pawłowskim, słynnym mistrzu szermierskim, a jednocześnie agencie tajnych służb. Świetnie się czyta! ©℗ ***(p.z.)***

eprasa.pl baf56fd269

Nieznany archipelag

RYS. JACEK GRAMBURG

W 1945 r. w granicach nowej, komunistycznej Polski znalazły się 44 niemieckie wyspy położone u ujścia Odry. Najważniejsze z nich to Wolin, Karsibór i część wyspy Uznam wraz z miastem Świnoujście (Swinemünde). Miejscowa ludność uciekła lub została wypędzona przez komunistów, a zamiast niej sprowadzono Polaków. W dużej mierze ludzi wyrzuconych z ziem wschodnich II RP, które po wojnie znalazły się pod okupacją bolszewików.

Piotr Oleksy w książce „Wyspy odzyskane" w ciekawy sposób opisuje pierwsze powojenne lata na wyspach. Jest to opowieść naznaczona ludzkim nieszczęściem. Po pierwsze, nieszczęściem niemieckiej ludności cywilnej – która w wyniku decyzji wielkich mocarstw musiała opuścić swoją małą ojczyznę. Po drugie, nieszczęściem polskiej ludności cywilnej – która została z kolei wypędzona z Wilna czy Wołynia. Po trzecie, trudnym losem osadników, którym przyszło żyć na wyspach w pierwszych latach powojennych.

PIOTR OLEKSY „WYSPY ODZYSKANE"
CZARNE

Tereny te były bowiem – jak określa to autor – najbardziej dziką częścią „polskiego Dzikiego Zachodu". Panowała na nich bezwzględna przemoc. Ludziom groziło niebezpieczeństwo z trzech stron. Po pierwsze, ze strony żołnierzy Armii Czerwonej, którzy gwałcili, rabowali i terroryzowali ludność cywilną bez względu na jej przynależność narodową.

Po drugie, ze strony organów nowego państwa komunistycznego (milicji, UB i WOP), których funkcjonariusze niewiele ustępowali Sowietom. Po trzecie wreszcie, ze strony pospolitych kryminalistów. Szajek złodziei, morderców i – co było zmorą tamtych terenów – szabrowników. Ludzi przybywających z całego kraju, by kraść i rabować niemieckie „skarby". Meble, zastawy stołowe, pościel, narzędzia…

Oleksy najwięcej miejsca poświęca osadnikom – ludziom, którzy przybyli na kompletnie nieznane sobie tereny. Tereny z obcą architekturą, przyrodą i klimatem. Na przykład o rodzinie wileńskich intelektualistów, którzy zaczęli na Wolinie nowe życie jako rybacy. Przystosowanie się do nowych warunków wymagało od nich wielkiego hartu ducha i siły woli. W pierwszych miesiącach po wojnie na terenach północno-wschodnich panowały straszliwa bieda i głód. A jednak – udało się! ©℗

Piotr Zychowicz

Czerwony pucz w Czechosłowacji

Jak wiadomo, komunizm do Europy Środkowo-Wschodniej został wprowadzony na bagnetach Armii Czerwonej. Każdy kraj miał jednak swoją specyfikę i – mimo że ostatecznie skończyło się na tym samym – implementacja totalitaryzmu przebiegała w różny sposób. W Polsce za „okres przejściowy" można od biedy uznać rządy Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej, do którego wpuszczono – używając trafnego określenia Cata-Mackiewicza – „kawalera jałtańskiego". Czyli Stanisława Mikołajczyka. Mimo tej maskirowki od samego początku komuniści mieli w Polsce pełną kontrolę.

Czechosłowacja, mimo że komuniści mieli olbrzymie wpływy, pozostała krajem demokratycznym. Po wojnie prezydentem został Edvard Beneš, a szefem dyplomacji Jan Masaryk. Dopiero zamach stanu z lutego 1948 r., wprowadził w Czechosłowacji dyktaturę proletariatu.

Przygotowany przez IPN tom zawiera 112 dokumentów wytworzonych głównie przez dyplomatów powojennej Polski akredytowanych w Czechosłowacji. Wśród nich znalazły się ściśle tajne szyfrogramy. Dokumenty te w ciekawy sposób przedstawiają kulisy puczu. Wynika z nich, że reżim warszawski bardzo interesował się tym, co się dzieje w Pradze. „Z terenu Czechosłowacji donoszą – czytamy w dokumencie z 24 lutego 1948 r. – że sytuacja rozwija się pomyślnie". Sytuacja rozwinęła się pomyślnie, więc nie było potrzeby udzielenia bratniej pomocy. Ta przydała się dopiero 20 lat później. ©℗

Piotr Zychowicz

„PRZEWRÓT KOMUNISTYCZNY W CZECHOSŁOWACJI 1948 ROKU"
(RED. NORBERT WÓJTOWICZ)
IPN

eprasa.pl baf56fd269

UJ: „wykład” zbira z SS

Podczas tzw. wykładu SS-Obersturmbannführera Brunona Müllera na Uniwersytecie Jagiellońskim Niemcy aresztowali 6 listopada 1939 r. 183 pracowników naukowych kilku wyższych uczelni (kilkanaście osób z grona aresztowanych nie było pracownikami naukowymi). Dodatkowo z mieszkania zabrano i dołączono do zatrzymanych prezydenta miasta Krakowa Stanisława Klimeckiego. Odbyło się to w ramach działań przeciwko polskim elitom intelektualnym, mającym w oczach narodowych socjalistów stanowić środowisko będące wylęgarnią tworzącego się ruchu oporu. Wszystkich aresztowanych przewieziono początkowo do więzienia przy ul. Montelupich, a potem przetransportowano do koszar 20. pułku piechoty. W wyniku rozlicznych interwencji koszary pułku opuściło 11 osób. Pozostałych – w liczbie 173 – przetransportowano 9 listopada koleją do Wrocławia, gdzie dojechali następnego dnia i umieszczono w trzech więzieniach: śledczym, karnym i policji bezpieczeństwa. Tam też zwolniono kolejne trzy osoby. Ci, którzy nie mieli tyle szczęścia, zostali deportowani 27 listopada do KL Sachsenhausen.

Jeden z więźniów – Witold Krzyżanowski – tak skonstatował pierwsze zetknięcie z esesmańską załogą obozu: „Z rąk »poczciwych« dozorców więziennych dostaliśmy się w jakieś szatańskie szpony”. Warunki życia w obozie były bardzo ciężkie. Otrzymywana niewielka ilość pożywienia wyczerpywała szybko siły witalne osadzonych. Dużą część z nich stanowiły osoby starsze, które chorowały na różne przewlekłe choroby, a niemożność leczenia powodowała, że ich stan zdrowia systematycznie się pogarszał. Te wszystkie powody oraz fakt znęcania się nad więźniami przez esesmanów doprowadził do śmierci kilkunastu uwięzionych. Jako pierwszy w Wigilię 1939 r. zmarł Antoni Meyer. Tylko cztery dni dłużej żył prof. Stanisław Estreicher. Styczeń 1940 r. przyniósł dalszych dziewięć zgonów.

Fakt, że ten tragiczny bilans – poza jednym przypadkiem – już nie wzrósł, należy zawdzięczać działaniom na rzecz uwolnienia naukowców, które w lutym 1940 r. przyniosły efekty. Największe znaczenie miał list z prośbą o uwolnienie najstarszych więźniów, który skierował bezpośrednio do generalnego gubernatora Hansa Franka kard. Adam Sapieha. Potwierdza to zapis w dzienniku urzędowym Franka zawarty pod datą 24 stycznia 1940 r. „Zezwolenie na wniosek arcybiskupa Krakowa na uwolnienie wszystkich profesorów”. Jak się okazało, wszystkich nie uwolniono. Zwalniano tych, którzy mieli powyżej 40 lat (a i to poza dziewięcioma) w liczbie 103 (jeden zmarł w obozie) po uprzednim omówieniu sprawy z SS-Reichsführerem Himmlerem. W KL Sachsenhausen pozostało jeszcze 55 osób. Znaczącą część z nich, bo aż 43, deportowano do KL Dachau, a innych do KL Buchenwald i KL Gusen.

W tych dwóch ostatnich obozach życie straciło kolejnych trzech naukowców, podwyższając statystykę ofiar śmiertelnych do 15. Następnie siedmiu zwolnionych naukowców zostało aresztowanych po raz wtóry i zmarło lub zostało rozstrzelanych podczas pobytu w więzieniach i KL Auschwitz. Przebywający we wspomnianych obozach naukowcy na skutek bardziej indywidualnych interwencji byli sukcesywnie zwalniani. Ostatni z więźniów – Kazimierz Piwowarski – opuścił KL Dachau 7 października 1941 r.

Wielu naukowcom pomimo odzyskania wolności nie dane było się nią długo cieszyć. Warunki pobytu w obozach odcisnęły swoje piętno na niektórych uczonych i aż 20 z nich zmarło, nie doczekawszy końca wojny. Te i wiele innych ciekawych szczegółów dotyczących sprawy aresztowanych profesorów znajdzie czytelnik w książce Ireny Paczyńskiej, po którą naprawdę warto sięgnąć. ©℗

Arkadiusz Karbowiak

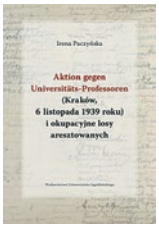

IRENA PACZYŃSKA
„AKTION GEGEN UNIVERSITÄTS-PROFESSOREN (KRAKÓW, 6 LISTOPADA 1939 ROKU) I OKUPACYJNE LOSY ARESZTOWANYCH”
WYDAWNICTWO UNIWERSYTETU JAGIELLOŃSKIEGO

HISTORYCZNE BITWY

Lwów ’44

Książka daje pełen ogląd wydarzeń w trzeciej dekadzie lipca 1944 r. w Małopolsce Wschodniej. Mimo fatalnych doświadczeń AK w akcji „Burza” na Wileńszczyźnie na początku lipca, mimo strat poniesionych przez żywioł polski i Obszary AK Lwów, Tarnopol i Stanisławów z rąk OUN/UPA, i tu żołnierze wierni legalnemu Rządowi RP dostali rozkaz ujawnienia się nacierającym od wschodu Sowietom i wspólnej z nimi walki przeciw Niemcom. Skończyło się tak jak w Wilnie. Pięć dni Polacy dzielnie wojowali ramię w ramię z Armią Czerwoną i otrzymywali podziękowania od sowieckich dowódców, a następnie podstępem skłoniono ich do złożenia broni, uwięziono oficerów, i zaprowadzono sowieckie porządki we Lwowie.

Pogrom Grupy Armii „Północna Ukraina” dopełnił klęskę Niemców na wschodzie latem 1944 r., po ich załamaniu się na Białorusi. Wynika to z opisu i skutków ofensywy, do której Sowieci użyli tu 1,1 mln żołnierzy, 13 tys. dział i moździerzy, 2050 czołgów i dział pancernych oraz 3250 samolotów. Przy tej potędze udział polskiego podziemia był w zdobyciu Lwowa marginalny. „Siły AK składały się z bitnej, lecz nielicznej lekkiej piechoty”, ale zajęcie tego miasta miało dla Polaków „pierwszorzędne znaczenie”. Trudno oprzeć się wzruszeniu lwowianki Jadwigi Jamróz na widok powstańca z biało-czerwoną opaską: „Płacząc, powtarzałam przerażonym kobietom, że »przyszedł polski żołnierz!«. Nie od razu zrozumiały, o czym mówię, bo ciągle płakałam, a ja nie wiedziałam, co się ze mną dzieje, bo jeszcze nigdy nie płakałam z radości”. Radości przedwczesnej… ©℗ ***Maciej Rosalak***

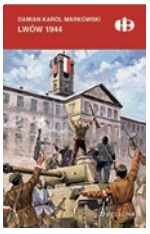

DAMIAN KAROL MARKOWSKI
„LWÓW 1944”
BELLONA

eprasa.pl baf56fd269

Jacek Bartosiak

Geopolityka /

Liczmy

Musimy stać się poważnym państwem, które ma szansę wygrać rozgrywkę z Rosją. A nie tylko rozpaczać i wołać innych na ratunek

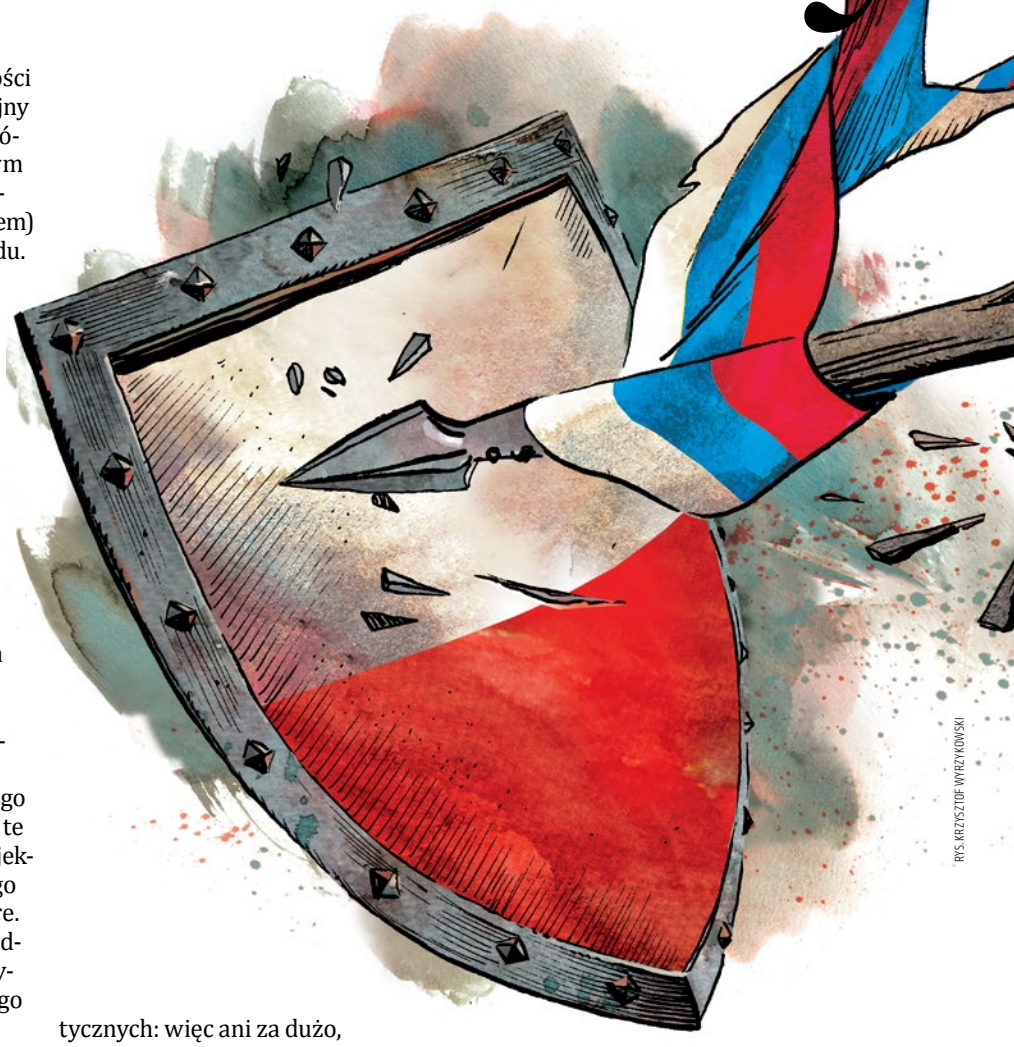

RYS. KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI

Rosyjskim punktem ciężkości jest instrumentarium wojny nowej generacji, dzięki któremu Rosja jest pożądanym czynnikiem (lub niechcianym, ale jednak czynnikiem) gry o równowagę z państwami Zachodu. Nie jest nim – chyba nie ma co do tego wątpliwości – z racji kwitnącej gospodarki, innowacyjności czy zalet swojego „wspaniałego" projektu cywilizacyjnego. Rosja nie jest atrakcyjna cywilizacyjnie, musi więc poprzez wojnę nowej generacji (groźbę i działania) mieć „sprawczość" wobec limitrofów [państw buforowych – przyp. red.]. Poprzez działania pozytywne (stabilizujące bezpieczeństwo) i negatywne (destabilizujące bezpieczeństwo) musi być udziałowcem w spółce, która się nazywa „system europejski".

Trzeba zatem pokonać rosyjskie instrumentarium wojny nowej generacji. Trzeba pokonać rosyjską siłę. Niby oczywiste, ale uświadomienie sobie tego prowadzi do radykalnych wniosków. I te wnioski staramy się opracować w projekcie „Dwudziestej wojny" prowadzonego przeze mnie ośrodka Strategy & Future.

Na to składają się setki pytań i zagadnień, które w tym miejscu jedynie zasygnalizuję na potrzeby zdania wstępnego raportu z naszych działań.

– Rosyjska wojna nowej generacji/wojna hybrydowa to nic nowego (z grubsza licząc, mieliśmy już 19 wojen z Rosją – stąd oczywista nazwa tej obecnej), wojna ograniczona, nielinearna, w której Rosjanie są świetni.

– Zgodnie z wiecznie aktualnym Clausewitzem wojna jest instrumentem politycznym, co wymaga skorelowania działań w ramach wojny do celów politycznych: więc ani za dużo, ani za mało siły kinetycznej, tylko „w sam raz".

– Podstawowym kierunkiem dla Rosji są jej zachodnie limitrofy (Wadim Cymburski); dzięki temu Rosja może prowadzić swoją grę o wpływ na równowagę w Europie.

– Niezbędne jest szczegółowe rozpisanie drabiny eskalacyjnej i wszystkich jej szczebli.

– Konieczna jest refleksja, co z polską wojną nowej generacji i działaniami proaktywnymi; potrzeba zmiany mapy mentalnej w kraju, tak żeby – jak pisał (znów) Jerzy Giedroyc – „wielbić wolność i być twardymi, a nie tylko wielbić wolność i być przy tym miękkimi".

eprasa.pl baf56fd269

Polska kontra Rosja

na siebie

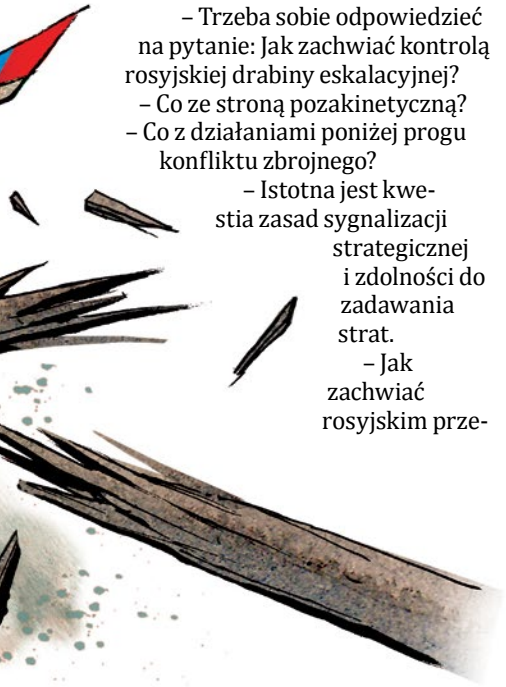

– Trzeba sobie odpowiedzieć na pytanie: Jak zachwiać kontrolą rosyjskiej drabiny eskalacyjnej?

– Co ze stroną pozakinetyczną?

– Co z działaniami poniżej progu konfliktu zbrojnego?

– Istotna jest kwestia zasad sygnalizacji strategicznej i zdolności do zadawania strat.

– Jak zachwiać rosyjskim przekonaniem o dominacji na drabinie eskalacyjnej?

– W jaki sposób zapewnić mobilność i manewr ogniowy w teatrze?

– Czy jesteśmy gotowi działać „oko za oko, ząb za ząb", czy tylko reaktywnie, patrząc, co zrobią nasi sojusznicy, którzy mogą nie mieć apetytu ani zdolności, by cokolwiek zrobić, zwłaszcza w ramach nieintensywnej wojny nowej generacji?

– Jak wykorzystać trwającą rewolucję w charakterze wojny, jak skorzystać z mnożnika technologicznego: sensory, zdolności kosmiczne (gdzie mniejsi, acz technologicznie i organizacyjnie sprawni, mogą więcej)?

– Jak podejść do pilnie potrzebnej nowej koncepcji operacyjnej w ramach aktywnej obrony? Wymaga to zmiany naszej polityki wobec Wschodu z ostatnich 30 lat i realnie wpłynie na stępienie rosyjskiej zdolności w wojnie nowej generacji, w tym w oczach Francuzów czy Niemców, Ukraińców czy Turków itp.

– Jak kontrolować percepcję przeciwnika oraz stron trzecich, które patrzą, kto wygrywa?

– Jak zapewnić kontrolę przekazu i mechanizmy wojny informacyjnej?

– Trzeba rozpisać na czynniki pierwsze postępowanie w ramach formuły Bismarckowskiej „negocjuj i walcz".

– Pytanie: wojna linearna czy nielinearna? Ograniczona czy nieograniczona?

– Jakie domeny będą kluczowe: ląd, morze, cyber, spektrum elektromagnetyczne, kosmos, powietrze?

– Jak prowadzić ćwiczenia już teraz, by demonstrować samodzielność strategiczną i wykazywać kontrolę własną drabiny eskalacyjnej, co zmusi Rosjan oraz Niemców i Francuzów do liczenia się z nami od zaraz, Amerykanów także?

– Jakie konkretne dyspozycje wydać w czasie pokoju na wypadek kryzysu i wojny, by od razu wejść w kryzys z szansą na kontrolę drabiny eskalacyjnej?

– Co z sojusznikami? Jakie dodają nam oni zdolności lub ograniczenia?

– Co ze Szwecją i z Ukrainą?

Powtórzę, bo to ważne ćwiczenie umysłowe: Rosja jest potrzebna mocarstwom zachodnim z powodu:

– energii (coraz mniej);

– położenia geograficznego (coraz bardziej, jeśli będzie powstawała Eurazja pod kierownictwem gospodarczym Chin i Europa będzie za Macronem podążała tropem samodzielności strategicznej; coraz mniej, jeśli nie będzie powstawała, a świat atlantycki pozostanie jednością);

– siły wojskowej realizowanej w wojnie nowej generacji dla stabilizacji peryferii Europy i dla gry o równowagę państw europejskich wobec Turcji, Chin, Bliskiego Wschodu, a może kiedyś nawet wobec USA (to skryte marzenie Moskwy, by być „siłą ekspedycyjną i wojskową projekcją siły" dla „miękkiego imperium europejskiego z samodzielnością strategiczną od USA" w zamian za kapitały, technologię i decydujący głos w swoim sąsiedztwie geopolitycznym).

Metody niekinetyczne są oczywiście preferowane w ramach wojny nowej generacji, ale są realizowane pod parasolem dominacji wojskowej w pełnym zakresie drabiny eskalacyjnej.

> **Czy jesteśmy gotowi działać „oko za oko, ząb za ząb", czy tylko reaktywnie, patrząc, co zrobią nasi sojusznicy, którzy mogą nie mieć chęci ani zdolności, by cokolwiek zrobić?**

Punktem ciężkości (Clausewitz, Schwerpunkt) jest po prostu pokonanie wojska rosyjskiego, również na poziomie demonstracji takich zdolności.

Musimy pamiętać (a o tym w Polsce właśnie zapominamy), by ściśle i zawsze trzymać się korelacji z celami politycznymi, jak przystało na poważne i trwałe państwo, które ma szansę wygrać rozgrywkę, a nie tylko rozpaczać i wołać innych na pomoc.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Powyższy tekst jest ciągiem dalszym artykułu, który ukazał się w poprzednim numerze „Historii Do Rzeczy".

eprasa.pl baf56fd269

Rafał A. Ziemkiewicz

/ Felieton

Kłamanie prawdą

/ **W Solidarności były kobiety klasowo nieuświadomione,** skoro przyłączyły się do patriarchalnego ruchu, mającego na celu ich zniewolenie...

Kobiety, nie przeszkadzajcie nam, my tu walczymy o Polskę!" – ten transparent wywieszony w czasie strajku sierpniowego na bramie stoczni wciąż wraca czkawką w propagandzie feministek i, ogólnie, lewicy. Nawet w obszarach tak niespodziewanych jak bój o duszę polskiej fantastyki. Jak wiedzą bowiem uważni czytelnicy, literatura ta, ongiś azyl polskich wolnościowców i konserwatystów, takich jak Janusz Zajdel i Maciej Parowski, znalazła się dziś, tak jak wiele innych dziedzin, pod ostrzałem hunwejbinów LGBT i feministek. Te ostatnie opierają swoje „wokeness" na stwierdzeniu, że w polskiej fantastyce było za mało kobiet. A nawet jak były – ta argumentacja mnie bawi szczególnie – to nie pisały po kobiecemu, tylko po męsku. I tu padają nazwiska „zdrajczyń", takich jak Ewa Białołęcka czy Magdalena Kozak.

W kwartalniku „Sfinks" – który warto zainteresowanym gatunkiem czytelnikom polecić po tym, jak „Nowa Fantastyka" się, powiedzmy politpoprawnie, „zgeiła" – polemizuje z tym feministycznym zrzędzeniem Konrad T. Lewandowski, przy okazji przypominając, jak to było z owym transparentem. Rzecz niby nie jest tajemnicą, ale nie zauważyłem, by tę manipulację prostowano w mainstreamie, więc odnotujmy tu jego tekst i wnioski z całej sprawy płynące.

Otóż taki transparent rzeczywiście przez pewien czas na bramie czy murze stoczni wisiał i nie był żadną prowokacją, tylko reakcją stoczniowców na propagandę PRL-owskiego „Dziennika Telewizyjnego". W kolejnych wydaniach okładał on bowiem strajkujących rozmowami z różnymi babami, na różne sposoby powtarzającymi to samo oskarżenie: chłopy, weźcie się do roboty, zamiast tam próżnować i nie wiadomo co robić, bo rodzina głodna, bo pieniądze potrzebne, o dzieciach myślcie, przez ten wasz strajk gniją na redzie portu cytryny, które władza dla nich sprowadziła...

Wszyscy oczywiście wiedzieli, że dzienniki TVP nie mają nic wspólnego z prawdą, że pokazywane tam pomstujące na strajkujących „my, kobiety polskie..." to albo osoby podstawione, albo starannie wybrane spośród aktywistek partyjnych idiotki, i ich opinie nijak się mają do tego, co naprawdę ludzie w Polsce myślą. Ale jednak ten właśnie wątek antystrajkowej propagandy musiał wyjątkowo robotników dotknąć, skoro poczuli się wywołani do tablicy i zobowiązani do odpowiedzi. Trudno nie zgodzić się z Lewandowskim, że fakt ten świadczy, dokładnie przeciwnie, niż twierdzą dziś feministki, o ogromnym znaczeniu kobiet w „patriarchalnym, katolickim" polskim społeczeństwie, a nie rzekomym ich tłamszeniu i odrzuceniu.

Wyciągnięcie tej sprawy po 30 latach od strajku przez lewackie media, obranie z historycznego kontekstu i przerobienie na feministyczny mem, mający dowodzić, jak bardzo źle traktowane były kobiety w kraju, w którym otrzymały prawa obywatelskie i polityczne ponad pół wieku wcześniej niż w postępowych krajach „starej Unii", to klasyczny przykład ulubionego zabiegu lewicowych fałszerzy, tzw. „kłamania prawdą". Był taki transparent? Był. Aha, no to już wszystko wiemy – Solidarność to był ciemny, klerykalny ruch, którego bunt miał tak naprawdę na celu zatrzymanie w Polsce emancypacyjnych zmian.

A że tak wielką rolę odegrały w nim kobiety? Widać to były kobiety klasowo nieuświadomione, skoro przyłączyły się do patriarchalnego ruchu, mającego na celu ich zniewolenie. Takie kobiety się nie liczą. Takie jak autorki piszące nie dość kobiecą fantastykę. ©℗

eprasa.pl baf56fd269

Piotr Semka

/ Felieton

Do pięć po dwunastej

Na początku lat 90. zaproszono mnie na jedną z modnych wówczas polsko-niemieckich konferencji pojednania do małej, cichej wsi na południe od Berlina. Konferencja nie była specjalnie porywająca, więc dla łyknięcia świeżego powietrza wybrałem się na dłuższy spacer po okolicy. Nagle natrafiłem na cmentarz z tysiącami charakterystycznych sowieckich grobów z czerwoną gwiazdą, a niedługo potem równie spory cmentarz żołnierzy Wehrmachtu.

Nazwa wsi nie kojarzyła mi się z żadną znaną mi bitwą z kwietnia i maja 1945 r. W miejscowej knajpie, pijąc kufelek piwa, zagadnąłem o te tajemnicze cmentarze sędziwego „localesa".

– Jak skąd tyle grobów? Przecież tu była 9 maja 1945 r. wielka bitwa Armii Czerwonej z otoczonymi oddziałami Wehrmachtu. Było to już po ogłoszeniu przez Stalina końca wojny – więc oficjalnie bitwy nie było. A jak milczały o niej oficjalne sowieckie komunikaty bojowe – to historycy Armii Czerwonej uznali, że lepiej o niej nie wspominać. Takich walk było więcej. W Kurlandii, nad Zalewem Wiślanym, na Morawach czy w Jugosławii.

Długotrwałość tych potyczek da się łatwo wyjaśnić. Wizja sowieckiej niewoli i mrozu Sybiru zachęcała do walki do upadłego. Najbardziej zaciekle stawiali opór naziści z norweskich, francuskich, flamandzkich, walońskich czy duńskich jednostek Waffen-SS, którzy byli pewni kulki w łeb od krasnoarmiejców.

Trudniej wyjaśnić opór w odosobnionych punktach oporu Niemców na zachodzie i na południu. Nawet najbardziej fanatyczni naziści nie wierzyli, że Brytyjczycy i Amerykanie na masową skalę rozstrzeliwują wziętych do niewoli Niemców. W grę wchodzić musiała po prostu fanatyczna wiara, że mimo zdobycia Francji czy Grecji przez aliantów dzięki wunderwaffe w końcu szala zwycięstwa przechyli się na stronę III Rzeszy.

> / Niemcy okupujący garnizony na Krecie i na Wyspach Egejskich, a także brytyjskie wyspy na kanale La Manche **poddali się Anglikom dopiero w maju 1945 r.**

A tych punktów oporu na zachodzie i na południu było całkiem sporo.

Do maja 1945 r. broniły się niemieckie garnizony na Krecie i na Wyspach Egejskich. Niemcy okupujący brytyjskie wyspy na kanale La Manche poddali się Anglikom dopiero 9 maja.

Równie długo walczyły niemieckie twierdze we Francji: Lorient, Saint Nazaire i La Rochelle, które złożyły broń 8 maja 1945 r.

Goebbels był tak dumny z tych symboli woli walki III Rzeszy, że gdy 30 stycznia 1945 r. przemawiał na premierze filmu „Kolberg" w Berlinie, to nie omieszkał zaznaczyć, że kopie filmu zrzucono na spadochronach dla załóg twierdz we Francji.

Szukałem w wielu książkach, dlaczego nie zdobyto się na wysiłek zdobycia tych niemieckich cierni w alianckim boku. Szczególnie dziwi to w wypadku gen. Charles'a de Gaulle'a, który fetował wyzwolenie każdej piędzi francuskiej ziemi spod niemieckiego panowania.

Tak samo dziwne są brak zainteresowania Londynu, trwająca jeszcze 10 miesięcy niemiecka okupacja wysp w kanale La Manche po inwazji na Normandię. Wydawałoby się wobec panowania Royal Fleet nad kanałem winno być wymogiem prestiżowym.

A jednak tak nie było. Trudno znaleźć inne wytłumaczenie niż chęć unikania strat w ludziach, gdzie tylko się da. To dobrze świadczy o planistach ze sztabów Eisenhowera i Montgomery'ego. Uprzedzę jednak triumf „pragmatyków". Analogii z decyzją o Powstaniu Warszawskim nie ma. Dla Londynu ciut dłuższa okupacja paru punktów we Francji i na kanale La Manche nie miała znaczenia. Dla AK los Warszawy miał znaczenie pierwszoplanowe.

17 sierpnia 1945 r. do portu Mar del Plata dopłynął U-Boot U 977, który przebił się przez Atlantyk z bazy w Norwegii. Niemcom nic to nie dało – Argentyńczycy wzięli załogę do niewoli, a okręt przekazali Amerykanom. We wrześniu 1945 r. zlikwidowano wreszcie zapomnianą przez Boga i ludzi niemiecką stację meteorologiczną na norweskim Spitsbergenie. To się nazywa zamrożenie konfliktu. ©℗

eprasa.pl baf56fd269

1812 r. / Wilno, Napoleon i Polacy

Od nadziei do horroru

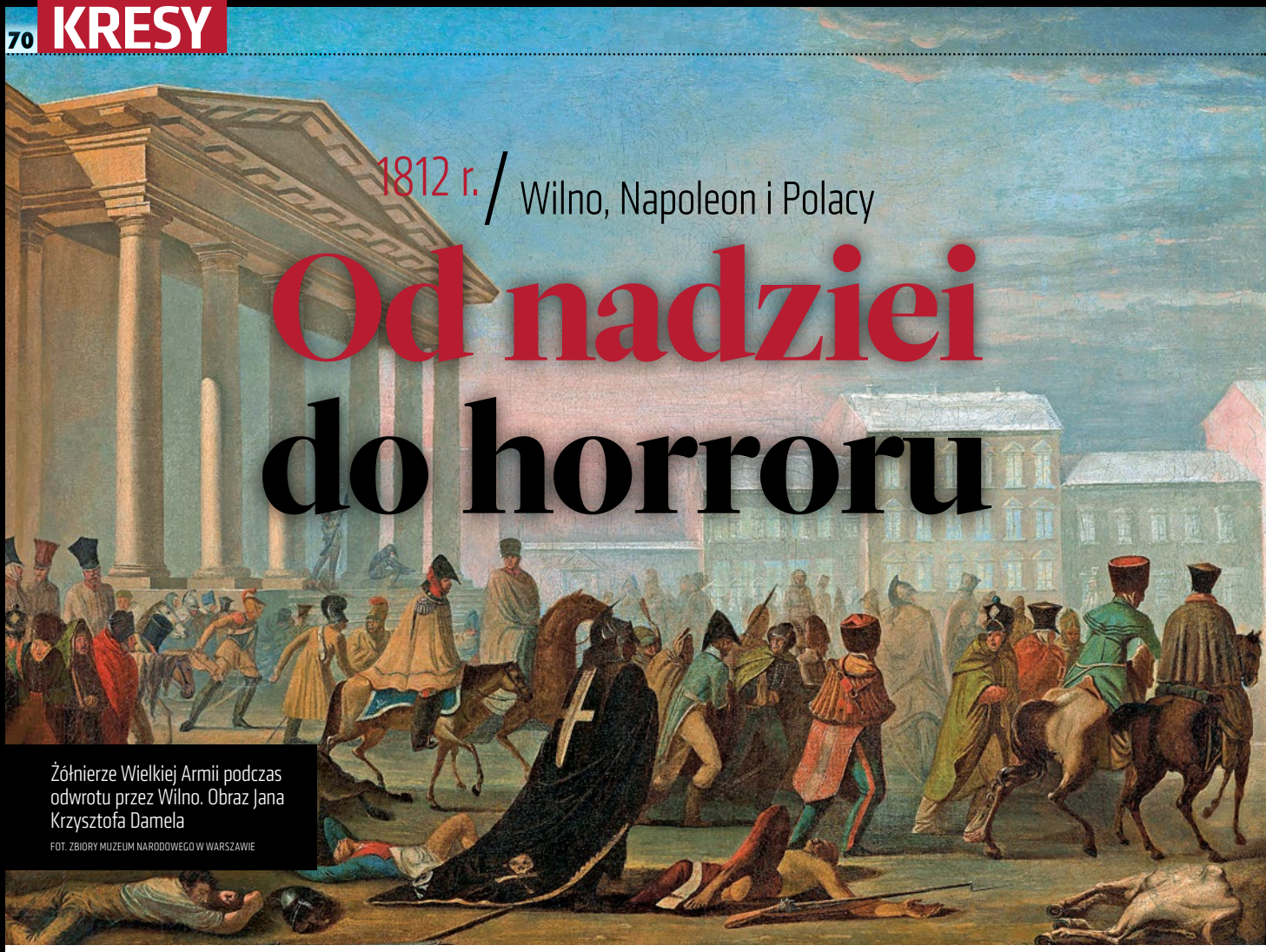

Żołnierze Wielkiej Armii podczas odwrotu przez Wilno. Obraz Jana Krzysztofa Damela

FOT. ZBIORY MUZEUM NARODOWEGO W WARSZAWIE

Tomasz Stańczyk

W czerwcu 1812 r. Wielka Armia zajęła Wilno. Po niespełna pół roku do miasta ściągnęły jej szczątki. W mieście doszło do dantejskich scen

Rok 1812 był czasem wielkich nadziei Polaków na odtworzenie Rzeczypospolitej. Nikt z nich nie miał chyba złudzeń, że powstanie ona znów w granicach sprzed pierwszego rozbioru. Niemniej jednak wojna Napoleona z Rosją dawała nadzieję na połączenie Księstwa Warszawskiego z ziemiami dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego. Nadzieje te i oczekiwania wzmogła odezwa wydana przez Napoleona 22 czerwca, tuż przed przekroczeniem Niemna przez Wielką Armię. Cesarz oświadczał w niej, że rozpoczyna się druga wojna polska.

Napoleon jednak realizował własne plany i reprezentował interesy Francji, a nie Polaków, co trudno mu mieć przecież za złe. Nie wykluczał z góry żadnej możliwości, ale z pewnością nie po to rozpoczynał wojnę przeciw Rosji, by spełniły się sny Polaków. Zwrot o drugiej wojnie polskiej był dobrze obmyślonym posunięciem. Miał umocnić wierność Polaków wobec Napoleona, a nieprzekonanych do niego zachęcić do współpracy i wzięcia udziału w wysiłku zbrojnym Wielkiej Armii.

Napoleon wszczynając „drugą wojnę polską", nie poinformował rozkazem swoich wojsk, że chociaż wchodzą na terytorium rosyjskie, to jednak za Niemnem mieszkają liczni Polacy – sojuszniczy naród Francji, nie można więc tych ziem traktować tak, jak można traktować ziemie wroga. Żołnierze Wielkiej Armii – a także liczni dezerterzy – maszerując do Wilna, poczynali sobie bezwzględnie, łupiąc i grabiąc. Inna to sprawa, że pewnie nie dopuszczaliby się takich czynów lub dopuszczaliby się sporadycznie, gdyby kwatermistrzostwo dostarczało im wszystkiego, czego potrzebowali.

Powitanie nad Wilią

Wilno nie było bronione. Aleksander I, który przebywał w mieście w momencie francuskiego ataku, po kilku dniach je opuścił, następnie uczyniło to wojsko rosyjskie. Miasto zostało zajęte 28 czerwca. Wejście oddziałów Wielkiej Armii, w tym także polskich, zostało generalnie

eprasa.pl baf56fd269

przyjęte z entuzjazmem przez wileńskich Polaków. Doktor Józef Frank, profesor uniwersytetu wileńskiego, pisał nawet, że „jakiś szał ogarnął Wilno". Były też jednak postawy pewnej rezerwy. Zresztą część elit na ziemiach dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego była pogodzona z rosyjskim panowaniem i związała się z Aleksandrem I. Należeli do nich Tomasz Wawrzecki, ostatni naczelnik powstania 1794 r. i Michał Kleofas Ogiński, autor słynnego poloneza „Pożegnanie z Ojczyzną".

Roman Sołtyk, dowódca oddziału polskich ułanów, wspomniał, że na ulicach Wilna były radosne i przyjazne tłumy, a „ze wszystkich okien wyglądały damy. Każda ręka wydawała się machać chusteczką, a okrzyki radości rozbrzmiewały nieustannie".

Coraz to nowe jednostki wkraczały do Wilna, więc entuzjazm po jakimś czasie osłabł. „Nie mogę powiedzieć, żeby nas przyjmowano zbyt uprzejmie – relacjonował Henryk Brandt. – Wojska, które przed nami przeszły, zebrały wszelkie honory należne oswobodzicielom ojczyzny i najlepsze kąski również". Brandt dodawał bez zdziwienia, że „przy tym mocno ucierpieli biedni oswobodzeni, rozumie się samo przez się". Na wojnie, jak to na wojnie.

Do Wilna wszedł także 8. Pułk Ułanów, którego dowódcą był książę Dominik Radziwiłł, ordynat nieświeski. Miał drogo zapłacić za zaangażowanie się po stronie Napoleona. Zamek w Nieświeżu został gruntownie obrabowany przez wojsko rosyjskie, dzieła sztuki wywieziono.

Po przybyciu do Wilna cesarz – odbierając klucze do miasta – wyraził sympatię dla sprawy polskiej, jednak wkrótce zapytał, ile racji żywnościowych mogą zorganizować Polacy dla jego wojsk. Gdy się dowiedział, że 6 tys., krzyknął wściekły: „6 tys., ha, ha, ha! 100 tys. natychmiast" (D. Nawrot, „Litwa i Napoleon w 1812 roku")

Wymagania Napoleona były jednak niemożliwe do spełnienia. Profesor Dariusz Nawrot zauważył, że kraj był na przednówku, zbiory w poprzednim roku były słabe, a do tego doszedł skutek rekwizycji żywności przez armię rosyjską. A podczas odwrotu Rosjanie grabili i łupili tak samo jak żołnierze z Wielkiej Armii, niszczyli też młyny i piekarnie.

Napoleon pozostawał w Wilnie przez ponad dwa tygodnie – rezydował w Pałacu Biskupim, dziś siedzibie prezydenta Litwy – także dlatego, by zaprowadzić dyscyplinę i porządek. Pobyt cesarza w mieście nad Wilią bynajmniej nie powstrzymał jego żołnierzy od rabunków.

Cesarz Napoleon I FOT. WIKIPEDIA

„Raz po raz powtarzał z rozpaczą – pisał prof. Nawrot – że popełniane są zbrodnie, apelował, by oszczędzać mieszkańców Litwy, których określał mianem naszych sprzymierzeńców". Szkoda, że nie napisał tego w odezwie, rozpoczynając wojnę z Rosją. A najsurowsze zarządzenia i rozstrzeliwania winnych grabieży prawie nic nie pomogły. W Wilnie miał zostać rozstrzelany kapral przyłapany na próbie kradzieży w jednym z wileńskich kościołów.

Nie czekając na decyzję cesarza w sprawie polskiej, patriotycznie nastawieni Polacy – oczywiście dominowała młodzież – zebrali się w wileńskiej katedrze, odśpiewali „Te Deum" i ogłosili uroczyście akt połączenia się Polski (w Warszawie proklamowano właśnie restytucję Królestwa Polskiego) z Litwą. Była to deklaracja wznowienia unii polsko-litewskiej.

1 lipca w Wilnie Napoleon ogłosił powstanie Komisji Rządu Tymczasowego Litwy. Rzecz jasna, nie po to, by wesprzeć ową deklarację ogłoszoną w katedrze. Jego cel był zupełnie inny: komisja miała zorganizować na uwolnionych terenach administrację służącą zmobilizowaniu jak największych „sił i środków" – jak mawiają wojskowi – dla potrzeb Wielkiej Armii. Marian Kukiel, autor książki „Wojna 1812", oceniał, że komisja była organem okupacyjnej administracji francuskiej.

Cesarz przyjął w Wilnie delegację z Warszawy, formalnie już reprezentantów Królestwa Polskiego. Jednak nie potwierdził, że Polska się odrodziła. Szczerze mówił, że ma różne sprzeczne interesy do pogodzenia i rozstrzygnięcia. Wywołało to wielki zawód naszych rodaków. Na uwagę zasługują słowa Napoleona o Rosjanach wypowiedziane w Wilnie, że muszą być odrzuceni „na swe zlodowaciałe pustynie, żeby nie przychodzili tutaj i nie wtrącali się do spraw cywilizowanej Europy przez co najmniej dwadzieścia pięć lat" (A. Zamoyski, „1812, Wojna z Rosją").

Wileńska umieralnia

Niespełna pół roku później, 8 grudnia, szczątki Wielkiej Armii – ci, którzy wydostali się znad Berezyny i których nie zabił mróz i głód – nadciągnęły do Wilna. Jeśli wydawało im się, że wejście do miasta będzie końcem koszmaru, to się strasznie pomylili. Zaczęło się od tego, że francuska wojskowa administracja Wilna nie każdego wpuszczała do miasta.

„Ale któż zdoła wyrazić nasze zdumienie, kiedy pod miastem uzbrojeni żołnierze zabronili nam wejść, bo wolno było wpuszczać wojsko idące w porządnym szyku" – wspomniał Henryk Brandt.

Komendant miasta ocenił, że tylko karne, niezdemoralizowane oddziały nie będą rabować magazynów wojskowych i mieszkańców. A poza tym właśnie priorytet w przeżyciu mieli mieć pełnowartościowi jeszcze żołnierze.

Przed bramami Wilna rozgrywały się straszne sceny. „Kto się odważył wejść w tłum, ten nie mógł liczyć, że się z niego wydobędzie – wspominał Brandt. – W dodatku słońce zaczęło się zniżać i robiło się coraz zimniej. Tłum wzrastał z każdą chwilą. Konający i zmarli pomieszani byli z żywymi". Mróz tego dnia sięgał zaś poniżej –30 st. C. Próby wejścia przez wąską Ostrą Bramę do miasta zamieniły się w dantejskie sceny, w zatorze tratowano się nawzajem.

„Christian von Martens widział oficera, który został tak mocno przyparty przez tłum do działa, że brzuch pękł mu, a wnętrzności wypłynęły na zewnątrz". Inny oficer wspominał, że zgniatany przez tłum, już żegnał się z życiem,

eprasa.pl baf56fd269

gdyż znalazł się na ziemi i byłby zadeptany. „Niebawem wyrósł na nas stos złożony z dziesiątków ludzi, którzy straszliwie krzyczeli, ponieważ mieli połamane ręce i nogi lub byli miażdżeni przez tłum. Jeden z rzucających się rozpaczliwie koni uniósł mnie nagle w górę i upadłem w jakimś pustym miejscu, gdzie mogłem się unieść i przebrnąć przez bramę (A. Zamoyski, „1812. Wojna z Rosją").

Ostatecznie fala zdesperowanych żołnierzy zalała Wilno, nie respektując wyznaczonych przez komendanturę miejsc gromadzenia się i zakwaterowania oddziałów. W tym celu m.in. opróżniono klasztory, usuwając z nich zakonników. Jedni żołnierze wdzierali się do domów, szukając kwatery i żywności – rabowano też magazyny, upijano się zdobytą wódką – Inni pukali do drzwi z prośbą, by ich wpuszczono. „Trudno nie podziwiać mieszkańców Wilna, którzy otworzyli przed nimi swoje domy – stwierdzał Adam Zamoyski. – Przybysze byli na wpół przytomni, pokryci sińcami i otwartymi ranami, brudni i straszliwie zawszeni.

Niestety, nie wszyscy mieszkańcy Wilna okazali miłosierdzie i pomagali wycieńczonym oraz ledwo żywym żołnierzom. Aleksander Fredro wspominał: „Żydzi wyrzucali chorych na ulicę, albo ich zabijali bez wielkiego zachodu, jeżeli spodziewali się jakiej zdobyczy w pieniądzach lub w jakim kosztowniejszym mundurze" (Aleksander Fredro, „Trzy po trzy"). Czasami Żydzi zwabiali żołnierzy pod pozorem dostarczenia im ciepłego ubrania i żywności i „podpitych lub sennych zabijali i z bogactw obdzierali" – wspomniał Józef Grabowski, oficer ze sztabu marszałka Berthiera.

Wilno zamieniło się w wielką umieralnię skrajnie wyczerpanych, niedożywionych, chorych i rannych żołnierzy, a epidemia tyfusu plamistego robiła też swoje. Bywało, że pijani żołnierze zasypiali na mrozie i zamarzali na śmierć. „Nie było kupy śniegu lub stosu śniegu – opowiadał Fredro – żeby z niej nie wyglądały nogi i ręce – umundurowane – nikt już ich nie obdzierał. Po wąskich ulicach (zaułkami w Wilnie zwanych) przez całą zimę można było widzieć po kilka trupów o ścianę opartych, którym szyderstwo nie szczędziło różnych dodatków. Ten miał wiecheć niby bukiet, ten w ręku drąg niczym karabin, a tamten patyk niby fajkę. Stali, jak na targach w zimie stoi zamarzła zwierzyna. Na wiosnę dopiero zbierano i wywożono trupów drabiniastymi wozami".

Odwrót Wielkiej Armii spod Moskwy. Grafika z XIX w.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Katastrofa na Górze Ponarskiej

Wbrew rozkazom Napoleona – który tylko przemknął przez Wilno w drodze do Paryża – jego marszałkowie postanowili nie bronić Wilna. Zdawali sobie sprawę z rozpaczliwego stanu szczątków Wielkiej Armii. Wiedzieli, że nie mają dostatecznej liczby sprawnych i pełnych sił żołnierzy, by stawić opór. Odwrót z Wilna zamienił się 10 grudnia w katastrofę – może bardziej prestiżową dla wizerunku Wielkiej Armii niż militarną.

Droga wiodła przez podwileńską Górę Ponarską. Była oblodzona. Wiedziano, że to przeszkoda dla taborów, dla dział. Polski oficer na rozkaz marszałka Murata wyznaczył inną drogę. Niestety!

„Gwardia wyruszyła z Wilna głęboką nocą – pisał Andrzej T. Tyszka – i w rezultacie wozy jadące przodem straciły orientację w terenie. Zamiast skręcić w lewo, w kierunku Troków, jak uczynił to korpus polski, poszły głównym szlakiem kowieńskim, prowadzącym właśnie do owej fatalnej przeszkody, której starano się uniknąć („Dał nam przykład Bonaparte. Wspomnienia i relacje żołnierzy polskich 1796–1815", t. II).

Wozy i armaty ślizgały się na oblodzonym trakcie wiodącym przez Górę Ponarską, wpadały na siebie, rozbijały się, źle podkute konie – na co zwracali na próżno uwagę polscy oficerowie – łamały nogi. Powstał nieopisany chaos – powiększony przez ataki Kozaków – z którego skorzystali zdemoralizowani żołnierze i wzięli się do rabowania. „Była to druga Berezyna – oceniał Henryk Brandt – tylko że tu wystąpiło jeszcze jawniej zezwierzęcenie nicponiów i rabusiów".

W tym chaosie przepadły kasa cesarska, zdobyte sztandary, porzucono też działa. „Srebro stołowe, mundury haftowane, klejnoty, tabakierki, zegarki i złoto – wyliczał Józef Grabowski – objuczyło łupieżców tak, iż niejeden ruszyć się nie mógł". Zajęci rabowaniem wpadali pod szable Kozaków, którzy też zagrabili resztkę łupów wywleczonych z rozbitych furgonów.

Po wejściu wojsk rosyjskich do Wilna nastąpiła fala mordów i grabieży dokonywanych przez Kozaków. „Jak zgodnie stwierdzają pamiętnikarze, straszną kartę zapisał plebs miasta, w dużej części złożony z ludności żydowskiej, która mszcząc się za doznane krzywdy i grabieże, wskazywała miejsca pobytu rannych

eprasa.pl baf56fd269

i chorych, a nawet sama dopuszczała się mordów w celach rabunkowych" (Dariusz Nawrot, „Litwa i Napoleon w 1812 roku"). Mordowali francuskich żołnierzy także Kozacy, nie oszczędzając leżących w szpitalach.

Za miastem zabijali rozbitków z Wielkiej Armii chłopi litewscy, fama się rozniosła, że żołnierze mają przy sobie kosztowności zrabowane w Rosji. Nieopisanym barbarzyństwem popisał się rosyjski dowódca, który nie chcąc się obciążać jeńcami, wypędził ich na pole i obstawił żołnierzami, nie dając żywności. „Wskutek tego – wspominał Antoni Białkowski – zaraz pierwszej nocy dużo jeńców namarzło, a pozostali przy życiu wzięli się do trupów, obrzynając z nich ciała, które palili przy ogniu i tym się żywili".

Trudno ocenić ilu żołnierzy Wielkiej Armii zmarło w Wilnie w grudniu 1812 r. Fredro uważał, że liczba 40 tys., o której słyszał, jest przesadzona. Jeśli tak, to niewiele. Przybywszy do miasta Aleksander I nakazał pochowanie zwłok, niekiedy palono je na stosach. W 2001 r. odkryto jeden z kilku masowych grobów w Wilnie, w następnym ekshumowano szczątki ponad 3 tys. żołnierzy, głównie w wieku do 25 lat. Zostały one pochowane na cmentarzu Antokolskim.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Święto Łukaszenki

Tomasz Stańczyk

Aleksander Łukaszenka zapowiedział ustanowienie na Białorusi nowego, radosnego święta – Dnia Jedności Narodowej. Będzie obchodzone 17 września. Tego bowiem dnia w 1939 r. Armia Czerwona – w porozumieniu z Niemcami – wtargnęła w granice II Rzeczypospolitej. A potem do sowieckiej Białorusi – której rodzime elity zostały uprzednio spacyfikowane i wymordowane przez ludzi Józefa Stalina – dołączono tzw. zachodnią Białoruś. Rzecz jasna, odbyło się to „demokratycznie", w drodze „referendum". I, oczywiście, ludność zagarniętych przez Związek Sowiecki ziem, w tym Polacy, „opowiedziała się" masowo za przyłączeniem ich do sowieckiego państwa. Głosowało za tym ponad 90 proc. mieszkańców, inny wynik nie wchodził w rachubę.

Dla Łukaszenki ważne jest, że ziemie białoruskie zostały wówczas zjednoczone w jednym – komunistycznym – państwie. Usiłując siać nieufność między Białorusinami i Polakami, sugeruje, że Polska ma apetyt na Grodno, na odzyskanie dawnych swoich ziem. Ostatnio Łukaszenka przypuścił też atak na katolików na Białorusi, grożąc im: „Doigracie się!". Katolik to najwyraźniej podejrzany człowiek – tak samo uważano za sowieckich czasów – nawet może „zdrajca" ojczyzny. Oczywiście, dziś nie można mówić o stereotypie Polaka katolika na Białorusi. Wielu katolików to przecież Białorusini. Widać jednak, że dla Łukaszenki Białorusin katolik jest tak samo zły jak Polak katolik. Zapewne według Łukaszenki najlepiej by było, żeby obywatel Białorusi był prorosyjskim prawosławnym, wyznającym także wiarę w niego samego.

A co do ustanowienia przez Łukaszenkę 17 września Dniem Jedności Narodowej, to poniekąd nawet dobrze się stało. Polacy mogą sobie dzięki temu przypomnieć, jak od tamtego dnia białoruscy, a także żydowscy komuniści strzelali do polskich żołnierzy oraz mordowali polskich ziemian. Przygotowujący się do obrony Grodna polscy żołnierze musieli wyprawić się do Skilda, by stłumić wybuchłą tam 18 września rebelię miejscowych komunistów, którzy opanowali miasteczko i ustanowili władzę sowiecką, czekając na triumfalny wjazd czołgów Armii Czerwonej. W Mołodowie miejscowy komitet rewolucyjny aresztował i zamordował Henryka Skirmuntta, ziemianina, poetę, kompozytora. Jego los podzieliła siostra – Maria – która nie chciała opuścić brata. Ciała Skirmunttów zakopano w lesie.

Ciekawe, czy 17 września 2021 r. Łukaszenka będzie wychwalał tych wrześniowych „bohaterów" – dywersantów i morderców, którzy wnieśli swój skromny wkład do stalinowskiego zjednoczenia. A jeśli Łukaszenka uważa 17 września 1939 r. za dzień szczęśliwy dla Białorusinów, to logiczne jest, że powinien postawić w Mińsku pomnik Józefowi Stalinowi, „zjednoczycielowi". Albo przynajmniej publicznie mu podziękować w Dniu Jedności Narodowej.

Faktem jest, że mniejszość białoruska w II Rzeczypospolitej nie była traktowana tak, jak być powinna. I część Białorusinów uznała dzień 17 września 1939 r. za wyzwolenie. Wkrótce jednak wszyscy mieli się przekonać o gorzkiej prawdzie, gdy w mroźną lutową noc 1940 r. Sowieci deportowali nie tylko „złych" Polaków, lecz także „złych" Białorusinów. A potem było pół wieku sowieckich rządów. A teraz są rządy Łukaszenki w państwie, któremu przywrócił on herb, przypominający sowiecki, i barwy narodowe z epoki komunizmu. ©℗

eprasa.pl baf56fd269

Lechfeld, 955 r. / Zwycięstwo Niemców nad Madziarami

Otton I pod Lechfeld, mal. Michael Echter

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Żyzne pole krwawej bitwy

Maciej Rosalak

Z całkowitej klęski wojowniczych Madziarów zrodziło się cesarstwo niemieckie, ale także... królestwo schrystianizowanych Węgier

Gdy plemiona węgierskie przybyły w drugiej połowie IX w. ze wschodu do wielkiej doliny nad środkowym Dunajem, stały się zmorą sąsiednich państw. Hordy na poły koczowniczych, a na poły prowadzących osiadły tryb życia dzikich wojowników, które docierały nawet do Lombardii, Hiszpanii i Normandii, plądrowały ziemie niemieckie, z Bawarią na czele. Trudno było ich pokonać, bo potrafili uderzyć znacznymi siłami, a walczyli skutecznie na wzór Hunów, którzy łupili Europę kilka wieków wcześniej. Stąd też sądzono, że nazywa się ich imieniem poprzedników, wznosząc w świątyniach modły: De sagittis Hungarorum libera nos Domine – Od strzał Hungarów (czyli inaczej Węgrów, Madziarów) uchroń nas Panie!

W rzeczywistości związek ugrofińskich Madziarów z Hunami był żaden – poza tym, że w innej już epoce przemierzali te same rozległe tereny lasostepów od Uralu po Wołgę, prąc następnie na początku IX w. na zachód przez niziny nadczarnomorskie aż do Dunaju. Ruch ten wymuszało zerwanie z chaganatem chazarskim, który w owym czasie skupiał pod swoją władzą koczowni-

eprasa.pl baf56fd269

cze plemiona zachodniego Wielkiego Stepu. Po przekroczeniu w 862 r. Karpat Węgrzy zdominowali żyjące w wielkiej Kotlinie Panońskiej ludy i skonsolidowali własny związek 10 plemion, złożonych z 50 szczepów.

Każdy ze szczepów mógł wystawić do boju kilkuset konnych wojowników, którzy łącznie stanowiliby znaczącą w średniowieczu, 20-tysięczną armię. Przewodził gyula – wódz, książę wyłoniony spośród innych przywódców plemiennych, mający – jak i oni – własną, stałą drużynę, dzięki której mógł wymuszać posłuch. Gdy jednak niemal co roku zrządzał łupieską wyprawę na bliższych lub dalszych sąsiadów, nikogo do uczestnictwa zmuszać nie miał powodu. Ziomkowie jak jeden mąż stawiali się pod rozkazy. Ówcześni Węgrzy, dorywczo tylko zajmujący się rolnictwem i wytwórczością, żyli ze zrabowanych dóbr i sprzedaży zniewolonych ludzi.

Między 899 a 970 r. odnotowano pół setki węgierskich najazdów, które pozostawiały za sobą pobojowiska i zgliszcza. Najeźdźcy przerażali, bez litości porywali kobiety, dzieci i mężczyzn nadających się do pracy i na sprzedaż, nie oszczędzali życia niemowląt i starców. Walczyli konno, a ich specjalnością było celne strzelanie podczas jazdy z rogowych łuków. W boju używali włóczni, toporów, maczug i innej broni obuchowej. Miecz był jeszcze u nich rzadkością. Od ciosów chroniły ich skórzane hełmy i kaftany, niekiedy nabijane metalowymi łuskami.

Strategia polegała na niespodziewanej ofensywie w zaskakującym kierunku, z użyciem sił wystarczających do przełamania zbrojnej obrony przeciwnika. Jeśli było to niemożliwe, to stosowano wojnę podjazdową. Dobremu rozeznaniu wrogich sił służyli szpiedzy oraz wywiadowcze rajdy. Wypisz wymaluj – późniejsze o trzy wieki najazdy Mongołów. Podobna była też ich taktyka – atak z zaskoczenia, pozorowana ucieczka, nieoczekiwany zwrot zaczepny, uderzenia z boku i z tyłu dzięki ukrytym odwodom lub szybkim obejściom.

Wydawało się, że Madziarzy są niezwyciężeni, bo pasmo ich zwycięstw trwało nieprzerwanie do 933 r. Wtedy to Henryk I Ptasznik z rodu Ludolfingów – książę Saksonii od 912 r. i król Niemiec od 919 r. – pokonał najeźdźców nad rzeką Unstrutą w Turyngii, niedaleko Merseburga. Dzięki temu triumfowi wojsko obwołało go ojcem ojczyzny, a plemiona niemieckie w podzielonym i targanym konfliktami kraju bardziej zaczęły się integrować. Trzeba przy tym pamiętać, że w 919 r. bitwa pod Puchen zakończyła się klęską Henryka, a po pięciu latach dalszych niepowodzeń został zmuszony w 924 r. do zawarcia rozejmu i płacenia Madziarom trybutu. Ich przegrana nad Unstrutą bynajmniej nie przerwała jednak węgierskich najazdów. Miał tego dokonać syn Henryka I – Otton.

Kampania 955 r.

Otton I został elekcyjnym królem Niemiec w 936 r. mając 24 lata. Koronował się w Akwizgranie u grobu Karola Wielkiego, jakby wskazując drogę, którą chce podążać. Nie była ona łatwa, albowiem u jej początku musiał pokonać bunt książąt Saksonii, Bawarii, Lotaryngii i Frankonii wywołany zresztą przez swych rodzonych braci. Następnie z teutońską konsekwencją podbijał ziemie Słowian połabskich, a granice zakładanych przezeń marchii dotarły do Odry. To z nim wiąże się początek niemieckiego Drang nach Osten. Miał jednak poważny kłopot na ziemiach niemieckich, do których docierały najazdy Madziarów.

W 954 r. – przełamując słaby opór niemiecki – Madziarzy splądrowali wiele okolic i bez przeszkód wrócili do siebie z bogatymi łupami. Osłabienie prestiżu króla Ottona było po myśli bawarskich możnych, którzy wezwali Węgrów do kolejnego najazdu w następnym roku. Zaproszenie z ochotą przyjęli wodzowie Bulcsú, Léla i Súra, którzy zgromadzili całą armię i z początkiem lipca zaczęli pustoszyć Bawarię oraz Szwabię, zdobywając m.in. zamożny klasztor Tegernsee oraz bawarskie miasto Freising, siedzibę biskupa. Po miesiącu skoncentrowali oddziały – liczące zapewne ok. 10 tys. lekkozbrojnych jeźdźców – nad rzeką Lech, by ruszyć na Augsburg, frankońskie miasto, które stało się siedzibą biskupstwa już w VI w.

8 sierpnia Madziarzy przypuścili szturm na mury, które jednak – solidnie wcześniej wzmocnione przez biskupa Udalryka (po śmierci ogłoszonego świętym) – oparły się najeźdźcom. W newralgicznym miejscu obrońcom dodawał ducha sam Udalryk odziany w liturgiczne szaty. Wśród licznych uchodźców, którzy szukali schronienia w mieście, znajdowało się jeszcze dwóch innych biskupów – Michael z Ratyzbony i Starkhard z Eichstätt. Ten ostatni poległ. Madziarzy 9 sierpnia przypuścili szturm z jeszcze większą zaciętością i – kto wie – czy nie wtargnęliby do Augsburga, gdyby alarmujące sygnały z obozu nie wezwały ich do odwrotu.

Dzięki bawarskiemu kolaborantowi Węgrzy zostali bowiem uprzedzeni o zbliżającej się odsieczy, którą od 7 sierpnia z Ulm wiódł sam król Otton I.

Madziarska specjalność – strzelanie z konia w galopie

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl baf56fd269

Na pograniczu słowiańskim, gdzie szerzył wiarę ogniem i mieczem, pozostawił on część sił, a z nielicznymi oddziałami Sasów szedł na południe ku Augsburgowi. Po drodze dołączali nie zawsze wierni mu wasale z Bawarii, Frankonii, Lotaryngii, Szwabii, a także tysiąc doborowych Czechów. Wszyscy mocno zaniepokojeni węgierskim najazdem, odłożyli na bok wewnętrzne waśnie. Wreszcie brat bp. Udalryka – graf Dietpold – przyprowadził chętnych do walki obrońców miasta. I siły się liczebnie wyrównały, a szanse zwycięstwa – biorąc pod uwagę uzbrojenie wczesnośredniowiecznych rycerzy – odwróciły. Kiedy jednak król ujrzał mury Augsburga, Węgrów już pod nimi nie było. Szykowali się do kolejnego zwycięstwa w tej samej okolicy, w której pokonali siły frankońskie 45 lat wcześniej…

Krwawa rzeka Lech

Wojska niemieckie spędziły noc w lasach na zachód od Augsburga, a rankiem 10 sierpnia Otton I postanowił poszukać wrogów i rozbić ich na drugim brzegu rzeki Lech, gdzie – jak król bezpodstawnie przypuszczał – mieli się znajdować. Po uroczystej mszy świętej wojsko ruszyło spod miasta na południe w kilkukilometrowej kolumnie. Szli na południowy zachód od Augsburga, na obszarze pomiędzy rzeką i szerokim na siedem kilometrów lasem zwanym Rauher Forst. Posuwali się. niejako w ciemno, bo nikt nie wiedział, czy i gdzie Madziarzy kryli się w pagórkowatej, porośniętej drzewami i krzewami okolicy.

Według kronikarza Widukinda Otton miał do dyspozycji osiem „legionów", co często interpretuje się jako oddziały liczące ok. tysiąca zbrojnych. Jeśli przyjmiemy tę interpretację, to na czele królewski brat Henryk prowadził trzy legiony Bawarczyków, w drugim rzucie postępował z jednym legionem Franków książę Konrad, a obok niego sam król z licznymi Sasami i Turyńczykami, pod chorągwią ze świętym Michałem, wodzem niebiańskich zastępów, i z bezcenną relikwią – włócznią św. Maurycego, której grot był zarazem relikwiarzem, bo zawierał gwóźdź z Krzyża Pańskiego. Lotaryńskich rycerzy przywiódł – kiedy i jakie miejsce zajął w szyku, tego Widukind nie wyjaśnia – waleczny książę Konrad Czerwony. W trzecim rzucie szedł z dwoma legionami książę szwabski Burchard, a na końcu tabor ochraniany przez legion Czechów.

I nagle przykra niespodzianka spotkała tych na przedzie i tych na końcu. Dziko wyglądający jeźdźcy szyjący długimi strzałami z łuków, dźgający włóczniami, rąbiący toporami i walący maczugami wpadli zarówno na oddziały bawarskie z przodu, jak i – kilka kilometrów dalej – na tabory z tyłu. Najpierw Czesi, a następnie Szwabi nie wytrzymali uderzenia i poszli w rozsypkę. Szybka riposta Lotaryńczyków uratowała czeskie i szwabskie niedobitki, a także odbiła tabory. Był to przełom w ciągu wydarzeń, zwłaszcza że i na przedzie Bawarczycy oraz Frankowie odparli węgierski atak. Zginął jednak ten, który w dużej mierze dokonał przełomu – Konrad Czerwony. Jak pisał Widukind, książę rozluźnił zapięcie zbroi pod szyją, aby zaczerpnąć powietrza w panującym tego dnia strasznym skwarze, i w tym momencie węgierska strzała przebiła mu gardło…

Węgrzy cofnęli się, skupili szyki, a ich wodzowie przygotowali wojowników do rozstrzygającego natarcia. Działo się to jednak na otwartej przestrzeni, gdzie rycerze odziani w kolczugi, z żelaznymi hełmami na głowach i z prostymi, znakomitymi mieczami w rękach mieli znacznie większe szanse zyskania przewagi. I wykorzystali ją. Starcie zakończyło się wyraźną przegraną i ucieczką Madziarów. W pościgu Niemcy zabijali każdego ujętego Węgra, zajęli też obóz wroga i uwolnili trzymanych tam jeńców. Jednak król nie ruszył w dalszą pogoń.

Z przekazów źródłowych wynika, że rozpętała się burza, spadły ulewne deszcze i nurty Lecha wezbrały. Otton spędził noc w Augsburgu, ale rozkazał strzec dostępnych jeszcze, wcześniej ufortyfikowanych przepraw przez rzekę. I to stało się przyczyną całkowitej zagłady armii Madziarów, których śmiercionośne łuki zamokły i nie nadawały się do użytku. Wyłapywano i zabijano wszystkich. Ze szczególnym okrucieństwem mszczono się za własny, wieloletni strach przed madziarskimi najeźdźcami. Wodzów Bulcsú, Léla i Súra zabrano do Ratyzbony i powieszono. Do tak groźnych najazdów węgierskich już potem nie doszło.

Cesarz i król

Prawdziwy koniec tej historii nastąpił jednak dla Niemiec siedem lat później, a dla Węgier – za 18 oraz 45 lat. Zwycięstwo pod Lechfeld zwiększyło prestiż i znaczenie Ottona I zarówno wewnątrz, jak i poza granicami Niemiec. W latach 60. uzależnił on Czechy, Włochy i Danię, a niewykluczone, że pobierał też trybut od Mieszka I. Prowadził w Italii wojny z cesarstwem bizantyjskim i w latach 70. skłonił je do uznania jego praw do tytułu cesarza. Bizantyjczycy postawili warunek, że Otton nie będzie nazywał się cesarzem „rzymskim". Jednak już wcześniej jego koronacji na cesarza rzymskiego dokonał – 2 lutego 962 r. w Rzymie – papież Jan XII.

I ta data wyznacza początek Świętego Cesarstwa Rzymskiego, potocznie zwanego Starą lub Pierwszą Rzeszą. Państwo to formalnie istniało do 1806 r. W historiografii używana jest często całkowicie nieformalna nazwa Święte Cesarstwo Rzymskie Narodu Niemieckiego (po raz pierwszy pojawiła się w piśmiennictwie w 1441 r., ale wcześniej i potem nigdy w dokumentach urzędowych), bardziej odpowiadająca stanowi faktycznemu.

Natomiast pokonani – a ściślej biorąc, ród Arpadów, który przejął władzę nad plemionami Madziarów – wyciągnęli

Miecz z X w. (u góry grot włóczni św. Maurycego)
FOT. ARCHIWUM

epraw.pl pat56fd269

z klęski daleko idące wnioski. W 973 r. książę Gejza wysłał posłów do cesarza z prośbą o pokój i pomoc we wprowadzeniu chrześcijaństwa. Pomocy udzielili czescy duchowni i niemieccy rycerze, którzy przybyli do Węgrów wraz z Gizelą bawarską, z okazji jej ślubu z następcą tronu – księciem Vajkiem (o parę lat młodszym od Bolesława Chrobrego). Gdy został ochrzczony, przybrał imię Stefana. Jego wychowawcą został Wojciech Sławnikowic, późniejszy święty trzech narodów – Polaków, Czechów i Węgrów właśnie.

Zwłaszcza z drugim Arpadem wiąże się niebywały wzrost znaczenia Węgier w Europie. Stały się krajem w pełni chrześcijańskim, cywilizowanym i silnym, o tak dużych osiągnięciach wewnętrznych i zewnętrznych, że cesarz Otton III zgodził się, aby papież Sylwester II posłał Stefanowi wspaniałą złotą koronę zwieńczoną krzyżem apostolskim, a wraz z nią list, w którym oficjalnie uznawał władcę Madziarów za katolickiego króla Węgier. Koronacja odbyła się albo w Dzień Narodzenia Pańskiego (25 grudnia) 1000 r., albo w Nowy Rok (1 stycznia) 1001 r. Papież Grzegorz VII kanonizował go w 1083 r.

Od czasów króla Stefana węgierskie państwo poza obecnym terytorium obejmowało – ogólnie biorąc – ziemie dzisiejszej Słowacji, rumuńskiego Siedmiogrodu, Chorwacji i Słowenii. Na północy opierało się o Tatry, na wschodzie o Karpaty Wschodnie, na zachodzie – o rzekę Litawię, będącą do dziś granicą z Austrią, a na południu docierało do Adriatyku i Żelaznych Wrót Dunaju. Parę wieków walczyło z inwazją Turków Osmańskich na Europę, w pełni zasługując na miano antemurale christianitatis. Kraje zwycięskiej Ententy zmusiły rząd Węgier po pierwszej wojnie światowej do podpisania w Trianon pokoju, wyrządzającego Węgrom dziejową krzywdę, dotąd niewynagrodzoną. Z wymienionych Krajów Korony Świętego Stefana w 1920 r. niewiele zostało naszym bratankom. 3,5 mln Węgrów – trzecia część narodu – znalazło się wtedy na ojczystej ziemi poza granicami własnego państwa. Zauważmy, że traktatu tego nie podpisały wtedy (i nigdy) tylko dwa kraje: USA

Krzywogębni

Maciej Rosalak

Przydomek „Krzywoustego" otrzymał Bolesław III – wedle powszechnego mniemania – z powodu defektu twarzy. Powodów wystąpienia wady fizycznej wymieniano kilka, ale darujmy sobie ich roztrząsanie, prawdziwą przyczyną wydaje się bowiem krzywoprzysięstwo, które Bolek popełnił wobec przyrodniego, i w dodatku starszego, brata Zbyszka. Obydwaj walczyli o całą schedę po ojcu Władysławie Hermanie, który – umierając – podzielił Polskę na dwie części, przyznając każdą z nich innemu. Pozostawmy na boku także dyskusję, który miał rację: czy Zbyszek dochowujący wierności woli ojca, czy Bolek wojujący o całość państwa. Ówczesnymi rodakami nie wstrząsnął nawet fakt, że ten drugi zwabił pierwszego na naradę i go oślepił. To był modny w tamtych czasach sposób eliminacji przeciwnika politycznego z gry, zwłaszcza wśród Piastów. Bolek mu jednak przyrzekł, że u niego w gościnie będzie całkiem bezpieczny… Czyli bezczelnie skłamał, złamał złożoną przysięgę. Okazało się, że ma, jak wtedy mówiono, krzywą gębę. Stąd nazwa „krzywoustego". Straszliwe kalectwo spowodowało szybką śmierć Zbigniewa, a krzywoprzysięstwo tak wzburzyło arcybiskupa gnieźnieńskiego Jana ze Żnina, że obłożył sprawcę ekskomuniką. To z kolei uniemożliwiało jego koronację.

W tym numerze „HDR" prof. Mikołaj Iwanow wysuwa tezę, że pomysł na „Polskę Krzywoustego" – czyli mniej więcej w granicach PRL – podrzuciła Stalinowi podczas wojny Wanda Wasilewska. Ciekawe. Ale nie dlatego piszę o Bolesławie III. Nasunęło się mianowicie skojarzenie jego niechlubnego przydomka z twórczością paru naszych historyków. Jedni, na przykład, za wszelką cenę pragną udowodnić polską odpowiedzialność za Holokaust. Znana sprawa; odbywają się procesy sądowe z powództwa cywilnego. Inny z profesorów popełnił niedawno na łamach „Gazety Wyborczej" panegiryk na cześć Niemców, będący zarazem niewybrednym paszkwilem na Polaków. Wynika z niego, że bez naszych – bez porównania wyżej cywilizowanych sąsiadów – nie potrafilibyśmy ani zbudować i rozwinąć państwa, ani pisać i czytać, a niemal każdy wybitny Polak był z pochodzenia Niemcem. To wszystko odbywało się w warunkach wprost idyllicznych. Nie było najazdów zza Odry, dramatycznej obrony Niemczy i Głogowa, fałszerstw, kłamstw i brutalnej agresji krzyżackiej, paszkwilu Jana Falkenberga na soborze w Konstancji, perfidii – „po linii narodowościowej", a jakże – Zygmunta Luksemburskiego, przewrotnej grabieżczości Wielkiego Fryca i wszystkich jego następców, kulturkampfu Bismarcka, rugów pruskich, hakaty, chłosty dzieci we Wrześni za modlitwę po polsku. O drugiej wojnie światowej nie ma co wspominać. Moi rodzice cudem przeżyli okupację w Warszawie, a nawet rzeź Woli, i opowiadali, do czego byli zdolni übermeschen pana profesora.

Z kolei polityk Radosław Sikorski błysnął ostatnio znajomością historii – ze szczególnym uwzględnieniem ustaleń „wielkiej trójki" z Teheranu, Jałty i Poczdamu – wysuwając śmiałą tezę, że nie należą się nam ze strony Niemiec żadne odszkodowania za straty wojenne, ponieważ oddali na naszą korzyść piątą część przedwojennego terytorium. Cóż, używając określenia tego byłego szefa dyplomacji, kolejny raz „zrobił laskę" Niemcom. Można się było tego po nim spodziewać. Ale dlaczego naszym kosztem innym „robią laskę" historycy? ©℗

eprasa.pl baf56fd269

U–Bootwaffe

Michał Mackiewicz,
pracownik naukowy Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie

Działania na Atlantyku w okresie drugiej wojny światowej zostały zdominowane przez niemieckie okręty podwodne – U–Booty

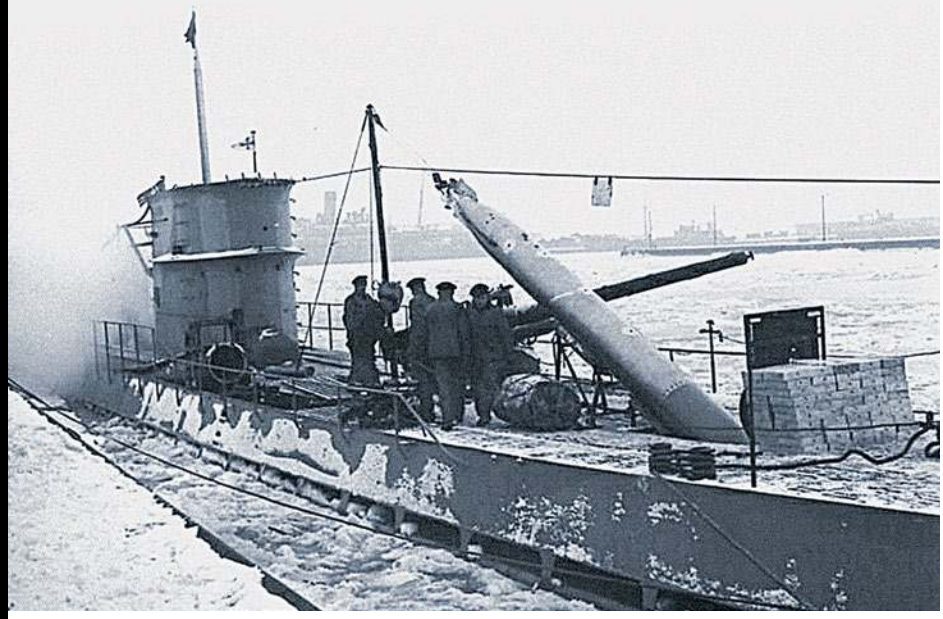

Do ich zasadniczych zadań należało atakowanie statków transportowych, natomiast walka z okrętami wojennymi nie była priorytetem. Pomimo ograniczeń wersalskich w latach dwudziestolecia międzywojennego niemieccy konstruktorzy intensywnie pracowali nad nowymi wynalazkami. Dzięki temu we wrześniu 1939 r. Kriegsmarine dysponowała 57 sprawnymi okrętami podwodnymi (w tym 25 nowoczesnymi), a dalsze 136 było w trakcie budowy. W ciągu całej wojny „koniem roboczym" U-Bootwaffe i jednocześnie najliczniej produkowanym typem był VIIC (577 okrętów). Bazował na zaprojektowanym w latach 30. typie VII, a do służby wszedł już w trakcie wojny. Wyjątkowo solidnie zbudowany okręt miał długość 66,5 m, szerokość 6,2 m i wyporność w zanurzeniu sięgającą prawie 885 ton; w krytycznych momentach mógł zejść na głębokość sięgającą nawet 250 m, chociaż maksymalnie określano ją na 200. Załogę stanowiło czterech oficerów, dziewięciu podoficerów i 31 marynarzy.

Wielką zaletą typu VIIC był wynoszący zaledwie 27 sekund czas awaryjnego zanurzenia. Dwa silniki Diesla o łącznej mocy 3200 KM pozwalały jednostce rozwinąć prędkość prawie 18 węzłów, natomiast silniki elektryczne o mocy 750 KM, które stanowiły napęd okrętu będącego w zanurzeniu, zapewniały prędkość 7,6 węzła. Potrzeby uzupełniania tlenu i ładowania akumulatorów powodowały, że okręty podwodne przebywały pod wodą stosunkowo krótko, tylko w sytuacjach koniecznych. Zasięg w zanurzeniu wynosił dla typu VIIC ok. 80 mil morskich przy prędkości czterech węzłów (czyli odpowiednio 148 km i ok. 7,5 km/h), podczas gdy na powierzchni – 8500 mil morskich, przy średniej prędkości 10 węzłów.

Zwielokrotnienie walorów bojowych U-Bootów nastąpiło w 1944 r., kiedy to po raz pierwszy zastosowano słynne chrapy (Schnorchel). Były to dwie połączone ze sobą rury, z których jedna pobierała powietrze, a druga oddawała spaliny z silników Diesla. Chrapy znajdowały się w specjalnym wycięciu kadłuba i stawiane były do pionu za pomocą oddzielnego mechanizmu. Dzięki nim okręt będący w zanurzeniu peryskopowym mógł praktycznie cały czas pozostawać pod wodą, bez konieczności wynurzania się. Zastosowano je również na VIIC, ale na szczęście nie zdążyły zmienić losów wojny. Do standardowego wyposażenia U-Bootów należały radary oraz systemy wykrywania i zakłócania wrogich stacji radiowych, chociaż w tej kategorii wyposażenia Niemcy byli daleko w tyle za aliantami.

Podstawowym uzbrojeniem każdego U-Boota były oczywiście torpedy. Stosowano kilkadziesiąt typów torped o różnych napędach i właściwościach. T-1 o napędzie spalinowym miała kaliber 533 mm, masę 1538 kg i zawierała stosunkowo mało materiału wybuchowego, jedynie 280 kg. Jej zaletą była duża szybkość (do 40 węzłów) i zasięg (nawet do 12 km), ale ślady bąbelków powietrza i plamy oleju pozwalały na jej łatwe zauważenie i uniknięcie ataku. O wiele bardziej śmiercionośne okazały się torpedy z napędem elektrycznym (kilka typów); były co prawda wolniejsze od T-1, ale prawie niezauważalne. Wyposażono je w żyroskopy i inne urządzenia utrzymujące odpowiednią głębokość, a także w programatory regulujące zmiany kursu, dzięki czemu były niezwykle celne, zwłaszcza wobec dużej grupy statków. Miały zapalniki magnetyczne. Część torped z napędem elektrycznym wyposażono w samonaprowadzające zapalniki akustyczne (od 1943 r.), które obierały za cel obiekt wydający głośny dźwięk. Aby temu przeciwdziałać, alianckie jednostki holowały przynętę – pasy hałasujących pod wodą obijających się o siebie blach. ©℗

eprasa.pl baf56fd269

Mundur w kolorze feldgrau

Sukienne sorty Wehrmachtu, wykonywane z wełny z domieszką wiskozy (włókna celulozowe – sztuczny jedwab), miały kolor szarozielony (feldgrau). Kurtka wz. 36 (Feldbluse M36), uznawana przez niektórych za ideał wojskowej elegancji i praktyczności, była jednorzędowa, ze wzmacniającymi obszyciami, zapinana na pięć odkrytych metalowych guzików i miała cztery kieszenie z fałdami i klapami zapinanymi na guziki. W stanie wszyte były metalowe haki służące do podtrzymywania pasa głównego. Kołnierzyki i przypinane naramienniki, na których umieszczano barwę broni (biały – piechota, czerwony – artyleria, zielony – strzelcy górscy etc.) oraz stopień wojskowy, były ciemnozielone. Na kołnierzyku znajdowały się patki w postaci dwóch haftowanych szarych lub srebrnych (u oficerów) belek; pośrodku wzdłuż każdej z nich biegła wypustka w barwie danej broni.

Na prawej piersi, tuż nad kieszonką, naszywano godło państwowe. Integralnym elementem kurtki był podkołnierzyk, czyli przypinany guzikami tekstylny pasek zabezpieczający szyję żołnierza przed otarciami. Spodnie były w nieco innym odcieniu szarości, wysokie w stanie, z wszytym z tyłu paskiem regulującym obwód i zewnętrznymi guzikami do przypinania regulaminowych szelek. Proste w kroju i długie, zaprojektowane zostały specjalnie do noszenia z wysokimi sięgającymi za pół łydki butami marszowymi (Marschstiefel) sporządzonymi z czernionej krowiej skóry. Do butów stosowano skarpetki. ©℗

Pancerne początki

1. Pułk Czołgów, utworzony w ramach Armii Polskiej we Francji, stał się pierwszą pancerną jednostką w historii Wojska Polskiego. Zaczęto go organizować dopiero w marcu 1919 r. w Martigny-les-Bains (Wogezy) na bazie mającego za sobą bogate doświadczenie bojowe francuskiego 505. Pułku Artylerii Specjalnej (505 Régiment d'Artillerie Spéciale). W maju wciąż trwała intensywna organizacja pułku i dopiero w czerwcu przerzucono go do Polski, jako jedną z ostatnich bojowych jednostek Błękitnej Armii. Pułk liczył wówczas 841 oficerów i żołnierzy (w tym 388 Francuzów) oraz 120 renault FT zorganizowanych w pięć kompanii po 24 wozy każda. Były to 72 czołgi z armatą kal. 37 mm i 48 uzbrojonych w kaem kal. 8 mm. Do tego dochodził imponujący, jak na nasze warunki, park motorowy sekcji transportowej, w tym kilkadziesiąt samochodów osobowych, półciężarowych i ciężarowych, a także ciągniki, motocykle oraz sekcja reperacyjna (specjalistyczne warsztaty). 1. Pułku Czołgów użyto na froncie przeciwbolszewickim, a jego chrztem bojowym był udział w walkach o Bobrujsk w końcu sierpnia 1919 r.: 2. kompania wspierała pułki wielkopolskie w udanym ataku na miasto. ©℗

Gidzi Napoleona

Gidzi (les guides, dosłownie przewodnicy – eskorta dowódców) byli nieodłącznymi towarzyszami Napoleona Bonapartego od czasów kampanii włoskiej. Formacje tego rodzaju pojawiały się już w XVII wi., ale powołanie tej najsłynniejszej miało miejsce w 1796 r. i wiązało się z dramatycznym epizodem, kiedy to przyszły cesarz został zaskoczony podczas odpoczynku w namiocie przez austriackich ułanów i omal nie trafił do niewoli, salwując się ucieczką w samej bieliźnie. Dostrzegł wówczas potrzebę utworzenia stałego oddziału chroniącego naczelnego dowódcę i cały sztab, co zaowocowało powstaniem elitarnego oddziału, mającego w przyszłości przekształcić się w Pułk Strzelców Konnych Gwardii.

W jego składzie znaleźli się zarówno kawalerzyści (guides à cheval), jak i żołnierze piechoty (guides à pied) oraz artyleria (dwa ośmiofuntowe działa). Gidzi wykazali się wielką brawurą pod Arcole, co dało początek ich legendzie. Podczas kampanii w Egipcie Bonaparte dokonał gruntownej reorganizacji formacji. Dzięki żołnierzom pochodzącym z innych jednostek jej liczebność zwiększyła się przeszło dwukrotnie, do 10 kompanii. Opuszczając w 1799 r. Afrykę, Napoleon zabrał ze sobą kilkuset gidów. Po 1800 r. tradycję tej formacji kontynuowali strzelcy konni gwardii, czyli Régiment de chasseurs à cheval de la Garde. ©℗

eprasa.pl baf56fd269

Walka z pożarem / Od Rzymianina Marka Krassusa do Amerykanina Birdsilla Holly'ego

Motopompa

Tymoteusz Pawłowski

Nowoczesna straż pożarna powstała wówczas, gdy pojawiła się motopompa i pożary przestały być zmorą miast

Najbogatszym człowiekiem Imperium Rzymskiego był Marek Licyniusz Krassus. Majątek zdobył dzięki temu, że zorganizował w Rzymie prywatną straż pożarną. Gdy wybuchał pożar, pojawiał się Marek Krassus i proponował właścicielowi płonącego budynku, że kupi go – po odpowiednio niskiej cenie. Gdy właściciel przyjmował ofertę, ludzie Marka Krassusa gasili pożar, a gdy oferta nie została przyjęta – bezczynnie przyglądali się pożarowi...

Mniej więcej 100 lat później cesarzem rzymskim został Neron. Był to rozsądny i skuteczny władca, ale nie miał szczęścia do historyków, którzy przedstawili go w bardzo niekorzystnym świetle. (Historię cesarstwa najpierw pisali arystokraci, a później chrześcijanie, czyli grupy zwalczane przez cesarza). Oskarżali go o m.in. o to, że w 64 r. podpalił Rzym. Faktycznie, Neron miał coś wspólnego z pożarami – to on zorganizował publiczną straż pożarną w Wiecznym Mieście i to on wydawał pierwsze przepisy przeciwpożarowe.

W kolejnych tysiącleciach pożary były jednak zjawiskiem zwyczajnym, szczególnie groźnym dla gęsto zabudowanych miast. Niemal każde miasto przeżyło swój „wielki pożar", z reguły niszczący całą zabudowę i zmuszający do budowy miasta od fundamentów albo do masowej przeprowadzki. Czasami prowadziło to do powstania zupełnie nowej jakości: gdy w 1527 r. wielki pożar strawił Lwów, miasto odbudowano, nadając mu nowoczesny wówczas, renesansowy wygląd i zmieniając w najładniejsze polskie miasto. Gdy w 1595 r. spalił się krakowski Wawel, król Zygmunt III Waza – który w dużej mierze przyczynił się do zaprószenia ognia – przeniósł królewską siedzibę do Warszawy.

Najważniejszym „wielkim pożarem" był ten, który strawił w 1666 r. Londyn. Doprowadził on bowiem do wykształcenia się nowoczesnej ochrony przeciwpożarowej. Jednym z jej elementów było ścisłe przestrzeganie przepisów (które istniały od zawsze, a zapisane były chociażby w prawie magdeburskim, na podstawie którego powstawały w Europie miasta). Drugim było powstanie przedsiębiorstw ubezpieczeniowych. Trzecim – powstanie nowoczesnych straży pożarnych. Z początku były one finansowane przez towarzystwa ubezpieczeniowe i gasiły pożary tylko ubezpieczonych budynków, ale stopniowo na ich podobieństwo powstawały straże miejskie: najpierw ochotnicze, później półzawodowe. W połowie wieku XVIII przyjęto w kontynentalnej Europie zasadę, że za akcję gaśniczą nie pobiera się opłat.

Straż pożarna

Pierwsza w pełni zawodowa miejska straż pożarna została zorganizowana w Edynburgu w 1824 r. Kolejna powstała w Londynie w roku 1832. Najprawdopodobniej wyprzedziłaby ją Warszawa – ale rosyjskim władzom w Petersburgu

eprasa.pl baf56fd269

Wielki pożar Londynu w 1666 r. i pompa wodna

FOT. MUSEUM OF LONDON, WIKIPEDIA

wydanie zgody na utworzenie warszawskiej straży pożarnej zajęło 34 lata: oczekiwanie trwało od roku 1829 do roku 1863. W tym samym czasie powstawały zawodowe straże pożarne w innych państwach, co było oczywiście związane z rozwojem technicznym. Do tego czasu głównym środkiem gaśniczym były albo wiadra podawane z rąk do rąk, albo... strzykawki o pojemności kilku litrów. W XVIII w. pojawiły się co prawda pierwsze pompy, ale powszechne stały się dopiero w kolejnym stuleciu. Aby je skutecznie wykorzystać, potrzebna była bowiem sieć wodociągów albo studnie głębinowe.

Wraz z rozbudową wodociągów – a więc wraz z dostępem do wody w dużych ilościach – pompy strażackie stawały się coraz większe. W połowie XIX w. pompy – przewożone parokonnym wozem – obsługiwało już z reguły czterech ludzi. W tym czasie do napędu pomp starano się wykorzystać silniki, ale starania przez długi czas nie zamieniały się w sukces.

Za wynalazców motopompy strażackiej uważało się dwóch inżynierów: amerykański Szwed John Ericsson oraz Anglik John Braithwaite. Pompę napędzaną silnikiem parowym zbudowali w 1829 r. Ich pierwszeństwo jest jednak iluzoryczne, bo nie odnieśli sukcesu. Ich parowa motopompa zbytnio wyprzedzała swoje czasy: mogła w ciągu minuty wyrzucić z siebie dwie tony wody, ale ówczesne wozy konne mogły przewieźć tonę wody, a wystarczająco wydajnych wodociągów nie było w żadnym mieście świata...

Dlatego też za prawdziwego twórcę motopompy powinien zostać uznany Amerykanin Birdsill Holly. Jego motopompa była dużo mniejsza, ale sukces zawdzięczał systemowemu podejściu do problemu. Wraz z motopompami sprzedawał – opatentowane przez siebie w 1869 r. – hydranty. Miasta kupowały je, montowały do sieci wodociągowej, a jako premię mogły kupić parowe motopompy. One również przewożone były wozami konnymi, dopiero w początkach XX w. coraz popularniejsze stawały się pompy napędzane silnikami spalinowymi i osadzone na podwoziach samochodowych.

Straż techniczna

Wraz z XIX w. mijał już czas „wielkich pożarów" miast. Organizacja straży pożarnej i jej nowoczesne wyposażenie – chociażby aparaty tlenowe, które pojawiły się równolegle z motopompami – zasłużyły się tu tylko częściowo. Dużo większe znaczenie miały zmiany w strukturze miast. Podstawową przyczyną pożarów było zapalenie się sadzy w kominie, a nawet niewielki pożar błyskawicznie rozprzestrzeniał się wśród drewnianej zabudowy.

W XX w. coraz częściej domy miały centralne ogrzewanie i coraz rzadziej budowano je z drewna. Przedostatni „wielki pożar" w Polsce strawił w 1921 r. drewniany Pińsk – stolicę województwa poleskiego przeniesiono wówczas do Brześcia. Ostatni „wielki pożar" rozpoczął się 1 kwietnia 1945 r., gdy Armia Czerwona podpaliła „wyzwolony" dzień wcześniej Gdańsk. Z 10 tys. domów ostało się nieco ponad 300.

Druga wojna światowa – wraz z rozwojem bezpiecznego murowanego budownictwa i eliminacją kominów – przyniosła jeszcze jedną zmianę: straż pożarna powoli przestawała być pożarną, a zaczęła być strażą techniczną. Pożarów było co prawda mniej, coraz większe było jednak niebezpieczeństwo awarii przemysłowych, a obywatele republik – w przeciwieństwie do poddanych dawnych monarchów – wymagali od swoich państw pomocy w razie klęsk żywiołowych. Miejskie straże pożarne trzeba było również objąć ogólnopaństwowym nadzorem, aby – w razie katastrofy przemysłowej, naturalnej albo bombardowania lotniczego – skoncentrować siły tam, gdzie są one akurat potrzebne.

Motopompy coraz rzadziej służą do gaszenia pożarów, coraz częściej zaś do osuszania zalanych w wyniku powodzi piwnic, sprzątania skutków awarii przemysłowych czy opróżniania glinianek w poszukiwaniu zwłok topielców. Stara nazwa straży pożarnej pozostała jednak w większości języków. Włosi i Francuzi wciąż mają „pompiarzy", Amerykanie i Brytyjczycy – „brygady ogniowe". Jedynie Niemcy zorganizowali Straż Techniczną – Technische Nothilfe, obecnie noszącą nazwę Technisches Hilfswerk. Było to związane z federacyjną strukturą państwa: straże ogniowe podporządkowane były (i są) miastom i landom, Straż Techniczna – władzom centralnym. To właśnie „zwyczajni Niemcy" z Technische Nothilfe – a nie „naziści z SS" – wysadzili w powietrze warszawski Zamek Królewski.

Lipiec jest najbardziej gorącym miesiącem w Polsce. Jest również miesiącem z największą ilością opadów. Oby strażacy – zarówno zawodowi, jak i ochotniczy – mieli jak najmniej obowiązków.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl baf56fd269

Rysują / Krzysztof Wyrzykowski i Maciej Jasiński

WOJSKO POLSKIE DOWODZONE PRZEZ HETMANA POLNEGO KORONNEGO STANISŁAWA ŻÓŁKIEWSKIEGO STACJONOWAŁO POD CAROWYM ZAMISZCZEM, GDZIE BLOKOWAŁO ODDZIAŁY ROSYJSKIE ZAMKNIĘTE W UMOCNIONYM OBOZIE. ŻÓŁKIEWSKI PRZYGOTOWYWAŁ SIĘ DO STARCIA Z GŁÓWNYMI SIŁAMI KNIAZIA DYMITRA SZUJSKIEGO, WSPARTYMI NAJEMNIKAMI SZWEDZKIMI POD KOMENDĄ JAKUBA PONTUSSONA DE LA GARDIE. OKAZJA NADARZYŁA SIĘ, 3 LIPCA 1610 ROKU, GDY DO POLSKIEGO OBOZU PRZYBYŁO KILKU DEZERTERÓW Z ARMII NAJEMNEJ I ZDRADZIŁO SZCZEGÓŁY ROZSTAWIENIA WOJSK SZUJSKIEGO.

* KONIECZNOŚĆ W NASZYM POŁOŻENIU, NADZIEJA W MĘSTWIE, OCALENIE W ZWYCIĘSTWIE.

PO DOTARCIU W POBLIŻE OBOZU ROSYJSKIEGO, POLSCY ŻOŁNIERZE ZAJĘLI SIĘ ROZBIERANIEM PŁOTÓW I ZASIEKÓW, KTÓRE UTRUDNIAŁYBY SZARŻĘ POLSKIEJ JAZDY, PODPALONO RÓWNIEŻ POBLISKĄ WIEŚ.

WOJSKO ROSYJSKIE ZŁOŻONE W DUŻEJ MIERZE ZE SŁABO UZBROJONYCH CHŁOPÓW, NIE MIAŁO SZANS W STARCIU Z DOŚWIADCZONĄ W BOJU POLSKĄ JAZDĄ, KTÓRA WIELOKROTNIE POWTARZAŁA SZARŻĘ.

TRUDNIEJSZA WALKA TOCZYŁA SIĘ NA LEWYM SKRZYDLE, GDZIE BYŁY WOJSKA NAJEMNE. JEDNAK GDY ŻÓŁKIEWSKI SKIEROWAŁ TAM ODDZIAŁY, ZAJĘTE DO TEJ PORY ŚCIGANIEM UCIEKAJĄCYCH ROSJAN, UDAŁO SIĘ PRZEŁAMAĆ OPÓR SZWEDÓW I ZMUSIĆ ICH DO WYCOFANIA SIĘ. PODJĘTO TEŻ ZARAZ PERTRAKTACJE, W WYNIKU KTÓRYCH ZNACZNA CZĘŚĆ NAJEMNIKÓW ZASILIŁA SZEREGI POLSKIE.

ZDAJĄC SOBIE SPRAWĘ Z TEGO, ŻE BITWA JEST PRZEGRANA, DYMITR SZUJSKI UCIEKŁ, A W ŚLAD ZA NIM TAKŻE INNI ROSYJSCY DOWÓDCY. POLACY ZAŚ BEZ WIĘKSZEGO OPORU ZDOBYLI OBÓZ WROGA PEŁEN CENNYCH RZECZY I PIENIĘDZY PRZEZNACZONYCH NA OPŁACENIE NAJEMNEJ ARMII.

BITWA POD KŁUSZYNEM STOCZONA 4 LIPCA 1610 ROKU OKAZAŁA SIĘ PRZEŁOMOWA. PRZY NIEWIELKICH STRATACH, UDAŁO SIĘ ŻÓŁKIEWSKIEMU ROZBIĆ WIELOKROTNIE LICZNIEJSZE SIŁY ROSYJSKIE. TRIUMF TEN UTOROWAŁ DROGĘ DO DETRONIZACJI CARA WASYLA SZUJSKIEGO I OBWOŁANIA CAREM POLSKIEGO KRÓLEWICZA WŁADYSŁAWA ORAZ WKROCZENIA WOJSK POLSKICH DO MOSKWY.

eprasa.pl baf56fd269

Sławomir Cenckiewicz

/ Felieton

Wygrałem!

9 lipca br. wygrałem proces! Chodzi o wyrok sądu w procesie, który wytoczył mi prezes Światowego Związku Żołnierzy AK prof. Leszek Żukowski (którego pełnomocnikiem był mec. Roman Giertych) po tym, jak – w reakcji na jego publiczne wypowiedzi i ataki na mnie – w polemice prasowej zacytowałem zapis z karty rejestracyjnej SB („Skończyły się czasy krępowania wolności badań naukowych", „Do Rzeczy", 15 lipca 2018 r.).

Chcę od razu wyjaśnić przede wszystkim jedną kwestię: to nie był proces o to, czy Leszek Żukowski był agentem SB, jak sugerują niektórzy! Był to natomiast proces o to, czy sposób (a pośrednio treść) zaprezentowania przeze mnie zapisu karty rejestracyjnej SB o Żukowskim w artykule prasowym w „Do Rzeczy" naruszył jego dobre imię. Moje stanowisko od początku było jednoznaczne: nie napisałem artykułu o tym, czy Żukowski był lub nie był agentem SB. W swojej polemice prasowej wezwałem go jedynie do tego, by do kwestii zarzutu agenturalności – formułowanego wobec niego od lat – zechciał się publicznie ustosunkować. I tylko tyle! Żukowski nie przyjął tego wyzwania i wytoczył mi proces.

I sąd w osobie sędziego Rafała Schmidta w rewelacyjnym ustnym uzasadnieniu uznał m.in., że dochowałem rzetelności, przygotowując polemikę, zaś jej forma i treść nie mogą zostać uznane – jak chciał mec. Giertych w pozwie z 1 października 2018 r. – za obraźliwe i naruszające dobre imię Żukowskiego ze względu na zawarcie w niej „nieprawdziwych informacji o tym, że prezes Światowego Związku Żołnierzy AK był tajnym współpracownikiem Służby Bezpieczeństwa" (cytat z pozwu).

> / Dzięki procesowi zebrano całość dokumentacji SB, a sam prezes ŚZŻAK uznał w końcu, że powinien poddać się autolustracji

Natomiast, co warto podkreślić, niejako skutkiem pozwu prof. Żukowskiego, mojej odpowiedzi na pozew, zaprezentowanych wniosków dowodowych w postaci dokumentów i samego procesu stało się wyjawienie wszystkich dostępnych materiałów SB na temat prof. Żukowskiego. Mało tego, jednym ze świadków w procesie był archiwista IPN, który w związku z moim wnioskiem naukowym przeprowadził kwerendę na temat Żukowskiego. I jeszcze jedno: sąd powołał biegłego do oceny materiałów SB na temat Żukowskiego, w efekcie czego biegły napisał w końcowej części opinii z 22 marca 2021 r. m.in., że jego zdaniem „Żukowski był najprawdopodobniej kontaktem poufnym SB, co wiązało się z podjęciem tajnej i świadomej współpracy z SB".

I kwestia ostatnia: w efekcie powyższych faktów podczas rozprawy sądowej 9 czerwca 2021 r. mec. Giertych poinformował sąd, że Leszek Żukowski zwrócił się do IPN z wnioskiem o autolustrację i... w związku z tym mecenas złożył wniosek o zawieszenie postępowania sądowego (do czasu rozstrzygnięcia postępowania lustracyjnego) w wytoczonym mi procesie, na co sąd nie przystał!

Podsumowując, dzięki temu procesowi zebrano całość dokumentacji SB na temat Żukowskiego, a sam prezes ŚZŻAK uznał w końcu, że powinien poddać się autolustracji mimo formułowanych wcześniej sugestii (także na str. 2 pozwu przygotowanego przez mec. Giertycha) na temat rzekomego zlustrowania przez IPN (świadczyć o tym miało pismo IPN z 6 lutego 2014 r. o tym, że nazwisko Leszka Żukowskiego nie znajduje się na tzw. liście Wildsteina).

A zatem niech Biuro Lustracyjne IPN i sąd RP rozstrzygną sprawę Żukowskiego. A wszystkich zainteresowanych sprawą odsyłam do akt procesowych i do archiwum IPN.

Wszystkim, którzy mnie wspierali – dziękuję! ©℗

eprasa.pl baf56fd269

DO RZECZY
HISTORIA DO RZECZY

Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości ani prawa do przyszłości.

Józef Piłsudski

STRAŻNIK PAMIĘCI

STRAŻNIK PAMIĘCI 2021

WIĘCEJ INFORMACJI: DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI

PARTNER GŁÓWNY PZU

PARTNER Grupa Inwest HM Inwest S.A.

eprasa.pl baf56fd269